

SIECI

**MAREK BUDZISZ:
KTO WALCZY Z CPK,
NARAŻA
BEZPIECZEŃSTWO
POLSKI**

**CZARNECKI:
IDŹMY DO WYBORÓW.
MOBILIZACJA
WSZYSTKO
ROZSTRZYGNIE**

**WOJCZYK
OSTRZEGA:
KATALOŃSKI SCENARIUSZ
DLA ŚLĄSKA**

**ROKITA
OSTRO
O PRÓBACH
ARESZTOWANIA
PREMIERA IZRAELA**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

22 (600) 2024

27 V - 2 VI 2024

CENA: 11,90 zł

(w tym 8% VAT)



MATEUSZ MORAWIECKI

PANIE TUSK, DOŚĆ OSZUSTW!

**„DOKUMENTY, KTÓRE PODPISYWAŁ, WYPOWIEDZI, KTÓRE NAGRYWAŁ,
JASNO WSKAZUJĄ, ŻE WSPÓLNIE Z NIEMCAMI GRAŁ NA RZECZ ROSJI,
A MY Z JEJ AGRESJĄ W REGIONIE I WPŁYWAMI W POLSCE WALCZYLIŚMY”**

- MÓWI NAM BYŁY PREMIER, WICEPREZES PiS

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



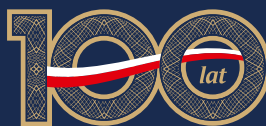
9 772544 269403

22

7b618d4ac



NARODOWY
BANK POLSKI



STULECIE UTWORZENIA
BANKU POLSKIEGO SA
I WPROWADZENIA
ZŁOTEGO DO OBIEGU

Srebrna moneta kolekcjonerska o nominale 1 zł
100. rocznica wprowadzenia złotego do obiegu



Metal: Ag 999/1000 • Wymiary: 40,00 × 40,00 mm • Masa: 28,28 g
Stempel: lustrzany, selektywne złocenie • Brzeg (bok): gładki
Nakład: do 10 000 szt. • Projektantka: Urszula Walerzak • Emitent: NBP
Na zlecenie NBP monety wyprodukowała Mennica Polska SA

*Narodowy Bank Polski niezależny od rządu i parlamentu
oraz stabilna własna waluta są finansową podstawą
rozwoju gospodarczego Polski i wzrostu dobrobytu jej obywateli.*

Prof. Adam Glapiński
Prezes Narodowego Banku Polskiego

Emisja wartości kolekcjonerskich stanowi okazję do upamiętniania ważnych historycznych rocznic i postaci oraz do rozwijania zainteresowań polską kulturą, nauką i tradycją.

Wartości kolekcjonerskie do nabycia w Oddziałach Okręgowych NBP
oraz w sklepie internetowym: [KOLEKCJONER.NBP.PL](https://kolekcjoner.nbp.pl)

Niemiecka lista

Nie ma dnia, by rząd koalicji 13 grudnia nie pochwalił się skreśleniem ważnego projektu przygotowanego przez poprzedników. Już nie tylko Centralny Port Komunikacyjny, nie tylko odłożony w nieznana przeszłość atom, nie tylko obwodnice miast, lecz także porty, w tym zbożowe, i bardzo wiele innych inwestycji. Ministrowie snują się po studiach radiowych i telewizyjnych, opowiadają banialuki, odsłaniają swój infantylizm i brak elementarnej wiedzy. Widać, że każdy w tym rządzie ma bardzo dużo czasu. Nic się nie dzieje, nic nie robią. Polska jako wielka budowa zamiera na naszych oczach, plan ambitnej Polski jest skreślany.

Czy jest jakiś klucz do zrozumienia tego, czego jesteśmy świadkami? Sądzę, że tak: to niemiecki interes gospodarczy, polityczny i wojskowy. Wszędzie tam, gdzie Berlin dostrzegł zagrożenie, następuje kasacja, anulowanie, opóźnienie. Jestem przekonany, że istnieje lista tego typu przedsięwzięć do zniszczenia i ktoś w rządzie, zapewne na jego szczycie, pilnuje jej konsekwentnej realizacji.

Jednocześnie mamy listę niemieckich żądań i te z kolei są wdrażane z żelazną konsekwencją. Mają problem z używanymi samochodami elektrycznymi, *de facto* szmelcem do kosztownego złomowania? Polski rząd dopłaci do ich zakupu! Niemiecki przemysł potrzebuje zbytu na wiatraki? Postawi się tuż przy domach Polaków. Trzeba zleceń w sferze militarnej? Polska sfinansuje część fantastycznej europejskiej tarczy rakietowej.

Narzuca się wniosek, że rządzą nami ludzie z „partii zewnętrznej”, traktujący naszą ojczyznę jak kolonię, którą rządzi się w imieniu imperium, dbając jedynie o to, by łupieni tubylcy się nie zorientowali, co się dzieje i nie podjęli buntu. Są w Unii Europejskiej kraje tak rządzone. Zdemolowane demograficznie, wciąż biedne, z rozkradanymi funduszami unijnymi. Brukseli to nie przeszkadza, bo ważne, że siedzą cicho, a dobrze opłacone lokalne establishmenty pilnują miejscowych. Ciekawie mówi o tym w wywiadzie dla naszego tygodnika (na str. 19–23) Mateusz Morawiecki. „Tania energia z Rosji, tania siła robocza z Europy Środkowo-Wschodniej, niemal darmowy parasol obronny ze Stanów Zjednoczonych plus eksport do Chin na wysokich marżach” – opisuje model rozwojowy Niemiec, w którym nam przeznaczono los biednych peryferii.

Bez względu na to, jakie mamy poglądy polityczne, to, co się dzieje w Polsce, powinno być sygnałem alarmowym. Bez taniej energii nie będzie w naszym kraju przemysłu i produkcji, centrów rozwojowych – staniemy się skansenem. Szybciej niż myślimy w niektórych regionach może wrócić plaga bezrobocia. Do tego pakt migracyjny radykalnie pogorszy jakość życia milionów Polaków.



**Michał
Karnowski**

Michał Karnowski

Lisowi wolno wszystko?

To niebywały skandal! 20 miesięcy potrzebowała warszawska prokuratura, by zakończyć proste – wydawałoby się – śledztwo ws. odrażających zachowań Tomasza Lisa wobec podwładnych. Wątki były dwa. Ten bardziej bulwersujący zakończył się przedawnieniem. Czy taki mógł być plan od samego początku?

Z uzasadnienia postanowienia o umorzeniu wylania się wstrząsający obraz natarczywego predatora, którego więcej niż dwuznaczne zachowania powinny się zakończyć na ławie oskarżonych. Pani (!) prokurator ustaliła, że Lis łapał pracujące z nim kobiety za twarz i mimo protestów całował, wkładał palce w dziury w spodniach na wysokości uda czy domagał się wykonywania makijażu w swojej sypialni. Zeznania o takich obrzydliwych manierach śledcza odebrała dopiero wiele miesięcy od wszczęcia postępowania. Już wtedy wiedziała, że na nic się zdadzą, bo na wstępie zakwalifikowała czyny Lisa ledwie jako... naruszenie nietykalności cielesnej, co przedawnia się po roku od popełnienia. Miała inne wyjścia, lecz z nich nie skorzystała.

Drugi wątek dotyczył złośliwego naruszania praw pracowniczych, czyli mobbingu. Tu też ustalono, że Lis był zmorą podwładnych. Oddajmy głos pani prokurator, bo sama to dobrze podsumowała: „[...] jego grubiańskie zachowania, dowcipy z seksualnym podtekstem, straszenie utratą pracy, władczy styl zarządzania budziły coraz większy sprzeciw podległych mu osób”. Ludzie się go bali, byli „w stanie dygotania”, straszeni zwolnieniem, wielokrotnie padali ofiarami chamstwa, a gdy nieliczni skarżyli się wyżej, konsekwentnie słyszeli, że nie wolno im o tym mówić – wymóg poufności o tym, co się dzieje w koncernie Ringier Axel Springer Polska.

Tu śledcza wykonała jeszcze bardziej żaloszny fikołek i napisała: „Tomasz Lis nie był mobberem. Był szefem, którego styl zarządzania zatrzymał się w latach 90.”. Cóż to za idiotyzm! Ani dziś, ani ćwierć wieku temu to nie było czymś normalnym i akceptowalnym. Zapewne gdyby sprawa dotyczyła postaci z innej strony politycznego sporu, ta musiałaby się bronić przed sądem.

Teraz ruch należy do prokuratora generalnego, który może nakazać wznowienie śledztwa. Czy były Rzecznik Praw Obywatelskich tym razem stanie po stronie ofiar, praw kobiet i dostrzeże przesłanki do zbadania molestowania, czy też pozwoli na to, by celebryci mieli status świętych krów, które publicznie pozwalają sobie na najbardziej obłeśne zachowania?



**Marek
Pyza**

Marek Pyza



24 Reset mózgów Konrad Kołodziejski



58 Tajemnice misji Witolda Pileckiego Stanisław Flużański



65 Mona i całe piękno świata Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 GRANICA WSTYDU**
Krzysztof Feusette
- 9 RÓŻA, KOLCE I CHOROBA**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 POWOŁAĆ KOMISJĘ
DS. WPŁYWÓW NIEMIECKICH**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 CO WYBIERAMY**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA ANNY HOP**
Michał Korsun
- 17 MOŻNA TO ZATRZYMAĆ**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 ALE WSTYD**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

- 19 Z MATEUSZEM MORAWIECKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowsky

KRAJ

- 24 RESET MÓZGÓW**
Konrad Kołodziejski
- 27 Z MARIUSZEM BŁASZCZAKIEM**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 31 ZANIECHANIE BUDOWY
CPK TO IGRANIE
Z BEZPIECZEŃSTWEM POLSKI**
Marek Budzisz
- 34 PREZYDENCKIE PRZYSPIESZENIE**
Stanisław Janecki
- 36 Z RYSZARDEM CZARNECKIM**
rozmawia Maciej Walaszczyk
- 38 BRZYDKI SENTYMENT
AMBASADORA IZRAELA**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 40 WOJNA Z KRZYŻEM**
Goran Andrijanić

ŚWIAT

- 42 ARESZTOWAĆ PREMIERA IZRAELA?**
Jan Rokita
- 45 NIE KAŻDY MUSI BYĆ ŻOŁNIERZEM**
Korespondencja tygodnika „Sieci”

- 48 NOWA GWIAZDA CZY
POLITYCZNY METEOR?**
Grzegorz Górny
- 50 POWTÓRKA Z URSULI?**
Dariusz Matuszak
- 52 HOLENDERSKI WIATRZAK ZMIAN**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

- 54 KATALOŃSKI SCENARIUSZ
DLA ŚŁĄSKA?**
Małgorzata Wołczyk
- 57 NIE NAGRAŁO SIĘ...**
Dominik Zdort

HISTORIA

- 58 TAJEMNICE MISJI
WITOLDA PILECKIEGO**
Stanisław Flużański

SIECI KULTURY

- 65 MONA I CAŁE PIĘKNO ŚWIATA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 68 EASY RIDER**
Robert Tekieli
- 69 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 70 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

- 72 MOJE SZLAKI: JAROSŁAW NOWAK**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 73 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 74 SKOJARZENIA**
Wojciech Reszczyński
- 75 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 76 SYNDROM BUHOLTZA**
Aleksander Nalaskowski
- 77 W DRODZE DO LIKWIDACJI
I DELEGALIZACJI DEMOKRACJI**
Samuel Pereira
- 78 CIEKAWOSTKA SOCJOLOGICZNA**
Andrzej Zybortowicz

GOTOWI NA WSPANIAŁE...
WSPOMNIENIA-WESTCHNIENIA-WRAŻENIA?

©NBC UNIVERSAL

COLUMBO, PON.-CZW. 20:00, WEEKENDY 14:50

Sprawdź!
antena^{HD}

AUSTRALIJCY POSZUKIWACZE ZŁOTA, PON.-PIĄT. 18:00

77TV, PIĄTEK 22:00, PON.-PIĄT. 12:00

OGLĄDAJ NAS U OPERATORÓW

DVB-T	CANAL+	VECTRA	UPC	PLAY	INEA	TOYA	ORANGE
15	58	161	167/126	42	72/247	112	248

Sygnalista nadaje

 Szef rządu i lider PO zadeklarował, że nie będzie walczył o najwyższy urząd w państwie. „Nie. Słyszałem kolejne jakieś spekulacje, są jakieś artykuły, komentarze i [...] mówię to w sposób taki jednoznaczny: nie, nie będę kandydował w wyborach prezydenckich” – oświadczył **Donald Tusk** w TVP Info. Jak dodał, jest cała grupa kandydatów zdeterminowanych, by walczyć o prezydenturę: „A ja mam tutaj do wykonania naprawdę bardzo dużo roboty. Parę miesięcy ani lat nie starczy, żeby to wszystko wysprzątać, więc ja mam naprawdę co robić”. Jedno się zgadza: sprzątanie po Tusku zajmie lata.

 Dopytywany, czy obecny prezydent stolicy **Rafał Trzaskowski** będzie kandydatem PO na prezydenta kraju, premier odparł: „Ja byłbym bardzo zadowolony, gdyby spróbował ponownie”. Zdaniem Tuska, ostatnie wybory prezydenckie „nie były sfalszowane w sensie takim, że ktoś zmienił wyniki czy dopisywał – ja tego nie twierdzę – ale one były w sposób oczywisty nieuczciwe. Wykorzystano całą maszynę państwową przeciwko Trzaskowskiemu, więc jestem przekonany, że gdyby wybory były w pełni uczciwe, gdyby państwo zachowywało się neutralnie w czasie tych wyborów, to Rafał Trzaskowski byłby prezydentem RP” – ocenił. No to zobaczymy w przyszłym roku. Najlepszy czas prezydent Warszawy ma już za sobą.

 Tymczasem według dobrych źródeł na najbliższe dwa tygodnie Tusk ma jeden cel – zrobić wszystko, by nie przegrać wyborów europejskich. Nawet o 0,0001 proc. głosów, byle tylko być na pierwszym miejscu. Jeśli PiS wygra dziesiąty raz z rządu, zacznie się zmieniać po-

zycja KO w koalicji. Do tego dojdzie gigantyczne rozczarowanie we własnym elektoracie. Już dziś wyniki są fatalne dla Tuska. Tylko co piąty wyborca Platformy (!) rozumie decyzję o ucieczce kilku ministrów do Brukseli, a tylko co trzeci wyborca PO zdecydowanie pozytywnie ocenia działania rządu. To katastrofa jak na ledwie pół roku rządzenia.

 W badaniach zaczyna wychodzić, że to ekipa, która nie dowozi tematów, co kontrastuje z pamięcią o rządach PiS. A nie ma widoków, by coś się tu zmieniło. W KPRM zero pomysłów, króluje chaos i jednoosobowe zarządzanie wszystkim przez Tuska. Tu najlepszym przykładem Tarcza Wschód, o której konstytucyjni ministrowie dowiadawali się z transmisji w telewizji. Stąd potem „szybie” Siemoniaka na temat bagien i mokradeł, a także Tuska, który pytany na konferencji o szczegóły zapowiedział, że poprosi MON o przygotowanie... prezentacji multimedialnej.

 Dołożmy do tego ogłoszenie powołania komisji u Bodnara bez Bodnara, który bawił wtedy na spektaklu teatralnym w Brukseli. I że na nowego szefa MAP powołał człowieka, który jest świetnie oceniany z każdej strony, ale nie ma bezpośredniego kontaktu z premierem – aby się umówić na spotkanie, musi dzwonić do asystentki Tuska. Premier wie także, iż za rogiem czyha gniew ludu w związku z podwyżkami. PO kieruje się więc w stronę partii wielkomiejskiej – wyłącznie tu ma sukcesy, u najzamożniejszych, którzy nie przejmą się rosnącymi cenami. Ale to z kolei zamyka ją w getcie. I dzieje się to szybciej, niż można się było spodziewać.

W kontekście wyborów do Parlamentu Europejskiego Tusk panicznie boi się niskiej frekwencji. Badania, które dostaje, wskazują, że przy niespełna 40 proc. będzie remis w mandatach (po 19 dla PiS i PO, 6 lub 7 dla Trzeciej Drogi, 5 dla Konfederacji i 4 dla Lewicy), ale każdy spadek frekwencji – a na to się zanoszą – oznacza coraz gorsze wyniki KO. Już pod progiem 37 proc. PiS dostaje 20 mandatów, KO – 19, Trzecia Droga – 6, Konfederacja – 5, a Lewica – 3. Dlatego premier mobilizuje swoich ultrasów. Ale i tu nie ma wielkich sukcesów. Kluczem do władzy koalicji 13 grudnia było zwiedzenie „normalsów”. Prześladowania opozycji szybko ich odstraszyło, tym bardziej że obecna władza nie ma hamulców.

Co będzie po wyborach? Nic, ta sama jazda co dotychczas, ale uzasadniana rzekomą blokadą ze strony prezydenta. To też ma być argument dla Brukseli – nic nie robimy, bo przeszkadza Andrzej Duda, ale w 2025 r. wszystko dopniemy. Tyle że nie dopną. Bo w badaniach już zaczyna być widoczne, że ludzie się orientują, iż ten rząd nic nie robi i nie mówi nawet „sprawdzam” prezydentowi. W sumie: wzbierają procesy, które w końcu wybrzmia. Potrzeba tylko katalizatora, a prawdę o leniwym, jałowym, szkodliwym rządzie będzie słychać głośno od Bałtyku do Tatr.

W sprawie mediów publicznych podstawowy komunikat jest taki, że się nie zatrzymamy, idziemy ścieżką wyznaczoną przez ministra Sienkiewicza – powiedziała PAP ministra kultury **Hanna Wróblewska**. I dodała: „Plan działania obejmuje wszystkie litery alfabetu – od A do Z. Jeśli komuś się wydaje, że przyszła miła pani zamiast siepacza Sienkiewicza, więc teraz będzie inaczej, jest w błędzie”. Szczerze mówiąc, nie mieliśmy wątpliwości w tej sprawie. Ale spokojnie, wolna Polska wróci i wszystko rozliczy. Wszystko.

Jarosław Kaczyński zrecenzował operację władzy związaną w wykorzystaniem Tomasza Mraza, byłego dyrektora Departamentu Funduszu Sprawiedliwości, który dziś oskarża Zbigniewa Ziobrę i jego środowisko. Prezes PiS ocenił, że Mraz dostał się do Ministerstwa Sprawiedliwości „najprawdopodobniej już jako agent”. „Najpierw spełnił pierwszą część swojej roli, doprowadził do wewnętrznej awantury, a następnie przeszedł do kolejnej” – mówił. I dodał: „Wykorzystują kogoś, kto jest oszustem. Jeżeli to, co do mnie dociera, jest prawdziwe, mamy do czynienia z oszustwem. Stoi za nim ktoś, kto – jeśli Polska byłaby praworządnym krajem – znajdowałby się gdzieś indziej. Jesteśmy przekonani, że to jest kryminalna akcja obecnej kryminalnej władzy”. Ta sprawa jest bardzo ciekawa i może zaszkodzić bardzo wielu środowiskom poza PiS.



Brutalnie atakowana Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji nie podjęła decyzji w sprawie przyznania na kolejne 10 lat koncesji dla spółki TVN S.A. na nadawanie programu TVN Style. Jak wyjaśniła w komunikacie, „zdaniem przewodniczącego przyznanie koncesji dla programu TVN Style mogłoby wiązać się ze złamaniem polskiego i europejskiego prawa”. Do sprawy odniósł się ambasador USA w Polsce. „Wszystko, co podkopuje wiarę w przewidywalność klimatu inwestycyjnego w Polsce, jak wczorajsze oświadczenie KRRiT kwestionujące zasadność prowadzenia działalności w Polsce przez amerykańską firmę podważa nasze wspólne wartości, dwustronne interesy i praworządność” – oświadczył Mark Brzezinski. Cóż, nie cała Polska jest już kolonią mocarstw. Są jeszcze wyspy niepodległości.

„W Polsce nie mamy już do czynienia z naruszeniem praworządności i dlatego w nadchodzących dniach proponuję, by Komisja Europejska wycofała wniosek dotyczący procedury z art. 7 wobec Polski” – poinformowała dziennikarzystę w Brukseli wiceszefowa KE Věra Jourová. „Widzimy determinację [polskich władz – red.] w działaniach mających na celu naprawę systemu sądownictwa i systemu prokuratorskiego” – dodała. Król jest nagi. Unia Europejska to dziś cynizm, przemoc, brutalność i kłamstwa wobec tych, którzy nie chcą padać na kolana. W tej chwili nie widać drogi wyjścia, ale nic nie trwa wiecznie. Trzeba myśleć.

Grupa intelektualistów z prof. Janem Żarynem na czele zaapelowała do Andrzeja Dudy o niepodpisywanie ustawy o języku śląskim. „Ewentualne podpisanie przez Prezydenta RP ustawy honorującej tzw. język śląski jako język regionalny rodzić będzie niepokojące następstwa. Stanowiąc podstawę do ubiegania się o środki z budżetu państwa oraz o fundusze europejskie przez organizacje *de facto* wspierające proces budowania separatyzmu śląskiego. Tendencje związane z budowaniem odrębności Śląska są podyktowane celami bieżącymi, w tym paneuropejskimi. Polityka regionalizacji Polski i Europy wpisuje się bowiem w podstawowe działania instytucji Unii Europejskiej, w tym zapisane w Europejskim Obszarze Oświaty, zmierzającej do centralizacji władzy na Starym Kontynencie przy jednoczesnym osłabianiu spójności państw narodowych i przywiązania do wartości chrześcijańskich, tak mocno związanych z ludem Śląska” – czytamy w dokumencie. Tak, to jest bardzo ważny moment. Kto nie rozumie, o co w tym naprawdę chodzi, ten wystawia sobie bardzo kiepskie świadectwo.

Granica wstydu



KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Meldujcie.

Szczerba: No więc, dostarczyliśmy pizzę. To znaczy kanapki. W sensie, że zupe.

Joński: Po prostu, strawę dla du...

Tusk: Nie kończcie. Ja tu jestem incognito.

Kierwiński: To znaczy?

Budka: Niewidzialny.

Kierwiński: Kumam.

Tusk: Na pewno?

Kierwiński: A o so chozi? Kierwa, snowu pogłos...

Tusk: A kto to jest?

Kierwiński: Htóry?

Tusk: Ten, co biega z workiem na wierzchu.

Budka: Franio. Głupek wioskowy.

Tusk: Tutejszy?

Budka: Nie, no od nas. A co to, mało mamy takich?

Kierwiński: Jak ty coś powiesz, Borysław, to budki zrywać.

Tusk: Ja wam partii nie wybierałem. Meldować.

Szczerba: To czytaj, Darku...

Joński: Sam, k..., czytaj. Co ja, czytało jestem?

Szczerba: No ty raczej nie. Ty myślałeś, że pomnik Małego Powstańca to jest mały Joński. Skoro miałeś dziewięć lat, jak wybuchło?

Joński: Znalazł się, ekspert szczerbaty. Kto kozę na komisji widział?

Szczerba: A kogo od świń wyzywali?

Joński: A kto ma jedynek na liście?

Szczerba: Kto na basenie rur pilnował?

Joński: Przynajmniej umiem wodę sprawdzić! A ty rąbiesz drewno jak porąbany!

Kierwiński: Sam jeseń nawalony!

Tusk: Czy mnie się wydaje, że ty dzisiaj Sienkiewicza przerabiałeś?

Kierwiński: In... in... szyli po anjelsku „w”, szyli dablju, in... synu... synu...

Tusk: Do mnie mówisz?

Budka: Jagow Brukseli łapać nie będę. Jajuz mam z prawnikiem pełne ręce w nocniku.

Kierwiński: In... synu... nu... Akcje! Insynukacje...

Tusk: Co mu jest?

Kierwiński: „Mu”? So, ja, krowa jestem? Szy jednak mosze przewodniszasy szukl... stłuktur... gdzie to było... w stolicznej?

Tusk: O, właśnie. Teraz, kiedy żegnasz się...

Kierwiński: W imię ojca i syna...

Sterczewski: A miało być świeckie państwo...

Kierwiński: Młody... znasz się „Sterczu”? Już ty nas z panem premierem nie ucz, jak bagno robić, okej?

Joński: Będzie komisja nowa?

Tusk: Po dziurki w czajce mam wasze komisje. Teraz bagno budujemy na granicy z Łukaszenką.

Szczerba: A on nam tak kibicował...

Tusk: Już sobie przypomniałem, czemu macie piątkę na liście. Na pamiątkę ilorazu.

Budka: Genialne. Złapałem.

Sterczewski: To co, mogę się przelecieć?

Tusk: W jakim sensie?

Sterczewski: Po granicy. Jak nie ma puszeków, to się nie wypierniczę.

Tusk: Nigdzie nie będziesz latał. Tam jest teraz wojna!

Joński: O kierwa, a myśmy tam ze śpiworami biegali...

Kierwiński: Ty sobie, kierwa, kierwy kierwą nie wysieraj, bo jak ci „Bobas” w scerbę przylutuje, to ci przycisków na komisji zabraknie...

Szczerba: Panie premierze, ja sobie nie życzę, żeby ten cham, ten... ten... strażak tak się odzywał do przewodniczącego komisji do spraw... Od czego ty jesteś, Darek?

Joński: Od Pegasususa. Nie, od kopertowych. Tych, co Kidawa się wywaliła.

Sroka: Panie premierze, ja bardzo nie chcę przeszkadzać, ale...

Tusk: To niech pani nie przeszkadza.

Sroka: Ale ja chciałam o raporcie z komisji...

Tusk: Jutro pani dostanie.

Joński: A my?

Tusk: Z Flapem?

Szczerba: Nie rozumiem...

Tusk: Wam, Flip, przysłemy w ostatniej chwili. Żebyście czegoś nie ośmieszili, zanim naprawdę będzie śmieszne.

Joński: Ja ci, Misiu, wytłumaczę. Raporty będą na czas.

Szczerba: To może zupkę, panie przewodniczący?

Tusk: Jaką macie?

Joński: Barszcz białoruski. Żeby czuli się, jak w domu. I ruskie, o ile koza Szczerby nie zżarła po drodze.

Szczerba: Miały się popsuć?

Tusk: Komu wyście tej zupy dawali? Nie wiecie, że to przestępcy są? Na rosyjskich wizach opłacani?

Kierwiński: Jak to? Szeciesz mówił pan przewodniszasy, że biedni ludzie! No ludzie, to ja na holenderską granisę szłem...

Budka: Gdzie?

Kierwiński: No granisę Hollandowej. Ale, o, nie, w to „Bobasa” nie wkłesisie, na pewno nie młaskałem...

Szczerba: Chyba „nie klaskałem”?

Kierwiński: Chyba nie.

Tusk: I dobrze. To jest straszna kobieta. Dwie osoby poprzez wudu uśmierciła, a z takimi to nigdy nie wiadomo, w co wierzą i dla kogo robią.

Joński: Świetne słowa. Tylko żebym dobrze zrozumiał, bo ja mam z tym problemy, od kiedy mi rurę w aquaparku przytkalo, to teraz my będziemy granicy bronić?

Tusk: Zawsze broniliśmy. Tylko po prostu głosowaliśmy przeciwko. Byliśmy naprzeciwko, więc tak zagłosowaliśmy. Lepszy brak zapory niż zapor, która spełnia swoją rolę tylko w 90 proc. Liczycie?

Kierwiński: Adin, dwa, tri, cztery...

Budka: Jego trzeba wyciszyć, bo ten pogłos go zabije.

Tusk: W bagno pójdzie, to przejdzie.

Szczerba: Jakie bagno? Ja znowu nic nie wiem.

Joński: Przecież mówił pan przewodniczący, że będziemy tarczę budowali za 10 mld.

Sterczewski: Ale tam już są bagna. Takie, że biegać nie idzie!

Tusk: I o to chodzi. Najszybciej robisz coś, co jest zrobione.

Kierwiński: Szepraszam, że się wtrąsę. Ale tak jest. Na sztyklad gasiś pożar, jak jest ugaszony, to jest lan moment, please. A jak się jara, to dłuższej. Taka Marywilka...

Tusk: To ruskie.

Szczerba: Już podaję. O, kierwa... Skończyły się.

Róża, kolce i choroba

Gdy Stalińska wygłaszała swoją nienawistną mowę o PiS jako chorobie, ani Hołownia, ani Kosiniak-Kamysz nie zareagowali na ten konfrontacyjny język

Po uznanie atomu za źródło czystej energii, po zatrzymanie dyrektywy budynkowej i podatku od samochodów spalinowych. Po europejskie bezpieczeństwo i poczucie wspólnoty. Polska 2050 idzie Trzecią Drogą do wyborów, które zdecydują jaką Europę zostawimy naszym dzieciom” – napisał na platformie X (d. Twitter) Szymon Hołownia, gdy ogłaszał listę jedynek koalicji Polski 2050 i PSL.

Kilka dni później dodawał jeszcze, że będzie walczył o polskie interesy: „W wyborach europejskich sprawa jest prosta: Trzecia Droga, pierwsza lista, pierwszy wybór. Chodźcie z nami do silnej Polski walczącej o swoje interesy w Europie: asertywnie, ale bez brawury”.

Wygląda na to, że ta trzecia droga Hołowni i Kosiniaka-Kamysza wiedzie zygzakiem, bowiem jedyneką w okręgu 12, obejmującym Dolny Śląsk i Opolszczyznę, jest Róża Thun, która w Parlamencie Europejskim głosowała za paktem migracyjnym, centralizacją UE (chodzi o zmiany w traktatach), wszystkimi dyrektywami i rozporządzeniami Zielonego Ładu, w tym dyrektywą budynkową. Ciężko uznać te rozwiązania za zgodne z interesem Polski. Co więcej, pani Thun w rozmowie z Beatą Lubecką w Radiu ZET przyznała, że z dyrektywą budynkową wcale nie zamierza walczyć i przepisy te popiera, a dla Polaków ma znakomitą radę: kredyty na termomodernizację. „Izolacja domów oszczędza nam mnóstwo pieniędzy i zapewne będą na to zorganizowane kredyty, po to, żeby mobilizować nas wszystkich, abyśmy domy izolowali i wydawali mniej pieniędzy. Niewykluczone, że będzie można wziąć tanie kredyty. Jak wiadomo, tani kredyt jest najbardziej opłacalną rzeczą na świecie” – przekonywała Thun. Już widzę euforię starszych osób, które będą się musiały zapożyczyć, by realizować fanaberie unijnych instytucji.

W tej sytuacji ciężko nie przypomnieć innego polityka, który zachęcał młodych Polaków do brania kredytów. Był nim były prezydent Bronisław Komorowski. Podczas spaceru po Krakowskim Przedmieściu w Warszawie odpowiadał na zada-

wane mu pytania. Jeden z uczestników wydarzenia zapytał prezydenta, w jaki sposób jego siostra, która po trzech latach znalazła pracę i zarabia 2 tys. zł, ma kupić sobie mieszkanie. Prezydent odpowiedział, że powinna zmienić pracę i wziąć kredyt. Uzupełniając wypowiedź, zaznaczył, że w Polsce bezrobocie spada, dlatego wyjazd do pracy do Anglii nie jest dobrym rozwiązaniem. Wszystko skończyło się tym, że Komorowski przejechał niewidomą zakonnice w ciąży na pasach, czyli przegrał wybory.

Choć Róża Thun twierdzi, że Parlament Europejski je potrzebuje, a ona potrzebuje jego, może się okazać, że takich rad, jak te dotyczące kredytów, nie potrzebują wyborcy.

To jednak nie wszystkie kręte ścieżki list Trzeciej Drogi do PE. Innym kolcem jest Dorota Stalińska, która kandyduje z drugiego miejsca w okręgu nr 4, czyli Warszawa i okoliczne powiaty. Podczas jednego ze spotkań z wyborcami pani Stalińska stwierdziła, że PiS to nie Polska, to choroba. „Przez lata przekonywaliśmy Europę, że PiS to nie jest Polska, że to tylko chwilowa przypadłość Polski, którą da się pokonać. 15 października zrobiliśmy pierwszy krok w wyleczeniu tej choroby” – mówiła aktorka na wiecu.

Problem jednak w tym, że teoretycznie Trzecia Droga chce zwalczać taki język. Podczas telewizyjnego orędzia marszałek Sejmu Szymon Hołownia przekonywał, że „polaryzacja rodzi radykalizm. Radykalizm rodzi chaos. Chaos osłabia nas względem zewnętrznych wrogów. Ostudzenie temperatury sporu to kwestia wagi państwowej”.

Na platformie X niedawno zaś pisał: „Potrzebujemy w Polsce i w Europie pokoju, zjednoczenia i wspólnoty. Trzecia Droga jest po to, by pokazać to i tym z prawej, i tym z lewej strony. Bo jedność to nasza najsilniejsza broń przeciw zewnętrznym wrogom”. Jednak gdy Dorota Stalińska wygłaszała swoją nienawistną mowę o PiS jako chorobie, po obu jej stronach stali i Szymon Hołownia, i Władysław Kosiniak-Kamysz. Obaj uśmiechnięci od ucha do ucha, żaden nie zareagował na ten konfrontacyjny język. I wcale nie był to śmiech przez łzy. Ten zostaje wyborcom.

Dorota Losiewicz





Od tygodnia na Nowej Kaledonii, francuskim terytorium zamorskim położonym 1,5 tys. km na zachód od Australii, trwają zamieszki. W strzelaninach między zwolennikami niepodległości i żandarmerią zginęło już sześć osób, a straty liczy się w setkach milionów euro. Emmanuel Macron wysłał na wyspę 600 dodatkowych żandarmerów, do których mogą wkrótce dołączyć oddziały Legii Cudzoziemskiej.

Zamieszki zaczęły się po tym, jak Paryż zdecydował o reformie systemu głosowania, w wyniku której Kanakowie, autochtoniczna ludność stanowiąca 40 proc. populacji archipelagu, straciłaby możliwość decydowania, kto będzie sprawował władzę na wyspach. Chodzi

jednak nie tylko o kwestie polityczne. Na głównej wyspie archipelagu znajdują się jedno z największych światowych złóż niklu (Nowa Kaledonia jest jego trzecim producentem na świecie). To właśnie w związku z eksploatacją tego minerału, jednego z kluczowych w procesie transformacji energetycznej (produkcja akumulatorów), na Nową Kaledonię napłynęli liczni specjaliści z Francji i innych krajów Unii, co zaniepokoiło Kanaków sprzeciwiających się nadawaniu przyjezdnym praw wyborczych.

W tle konfliktu są także kwestie związane z rywalizacją geostrategiczną, bo Macron chce wykorzystać Nową Kaledonię do wzmocnienia obecności Francji w regionie. Paryż myśli też

o konkurowaniu z Pekinem w zakresie produkcji samochodów elektrycznych i nie chce dopuścić do sytuacji, w której autonomiczne władze wysp zaczęłyby współpracę z chińskimi firmami.

W tej sprawie pojawił się też inny, ciekawy wątek. Otóż francuski minister spraw wewnętrznych Gérald Darmanin oskarżył Azerbejdżan o inspirowanie i finansowanie zamieszek. Władze tego kraju w odpowiedzi na rosnące zaangażowanie Paryża we wspieranie Armenii zorganizowały w ub.r. spotkanie przedstawicieli ruchów separatystycznych z obszarów będących pozostałością francuskiego imperium kolonialnego – Martyniki, Gujany, Nowej Kaledonii i Polinezji Francuskiej. Co więcej, w kwietniu w ramach wspierania „ruchów narodowowyzwoleńczych i antykolonialnych” Azerbejdżan podpisał umowę o współpracy z separatystami z Nowej Kaledonii. Zdaniem Darmanina właśnie to stało się bezpośrednią przyczyną wybuchu zamieszek.

Marek Budzisz

Miasto 15-minutowe bez dyskusji

Wszystkich zadających niewygodne pytania w sprawie „15-minutowego miasta” władze Oxfordu będą traktować jako „dokuczliwych obywateli”. Mogą ich lekceważyć i unikać z nimi kontaktów. Uchwałę w tej sprawie podjęła rada miejska słynnego ośrodka uniwersyteckiego z inicjatywy radnych Partii Pracy.

„Jeśli obywatel uporczywie zachowuje się w sposób uznawany za niedopuszczalny”, po rozważeniu różnych innych środków urzędnik „może podjąć decyzję o odmowie wszelkich kontaktów z obywatelem”. To brzmi niewiarygodnie, ale sformułowane tak reguły „zarządzania irytującym zachowaniem obywateli” właśnie weszły w życie.

Problem pojawił się, gdy władze hrabstwa Oxfordshire zaczęły wprowadzać motywowany „klimatycznie” program 15-minutowych miast, a Oxford wpisał go do swojego planu rozwojowego. Jego idea polega na tym, aby mieszkańcy uzyskali dostęp do wszystkich najpotrzebniejszych do życia miejsc w zasięgu 15 min spacerem od domu. Wyjeżdżanie autem poza wyznaczoną dzielnicę byłoby ograniczone do 100 dni w roku, wyjazdy powyżej tego limitu byłyby karane grzywną w wysokości 70 funtów.

Obawy przed ograniczaniem przemieszczania się, szczególnie osób starszych i chorych, spotęgowało zainstalowanie w mieście filtrów ruchu. Ich zadaniem jest ograniczanie liczby samochodów w określonych godzinach i rozładowanie korków. Z tego powodu



radni i urzędnicy odbierali od zaniepokojonych, domagających się wyjaśnień mieszkańców tysiące telefonów i e-maili. Ludzie obawiali się bowiem, że projekt, którego konsekwencją będzie zwiększenie nadzoru nad ich życiem, jest pilotażem i elementem projektu szerszego, wokół którego istnieje wiele niejasności. Co więcej, twórca tej koncepcji Carlos Moreno określił zachowanie zaniepokojonych mieszkańców jako „sprzymierzenie się z elementami antydemokratycznymi”. Z planistycznych koncepcji usunięto więc zapis o wdrażaniu reguł „15-minutowego miasta”, ale zarazem zatwierdzono odmowę kontaktów i udzielania jakichkolwiek wyjaśnień „dokuczliwym obywatelom”. Tylko dlatego, że obawiają się wdrażania totalitarnych pomysłów przypominających im więzienie na wolnym powietrzu.

Maciej Walaszczyk



Czyszczenie internetu

Chiny

W chińskich mediach społecznościowych niedozwolone będzie pokazywanie ostentacyjnego bogactwa i rozrzutności. To kolejny etap walki władz w Pekinie z niepożądanymi zachowaniami społecznymi.

Chińskim mediom społecznościowym, takim jak TikTok, często zarzuca się zły wpływ na psychikę odbiorców, zwłaszcza tych najmłodszych. Wiele filmików umieszczanych przez użytkowników promuje zachowania destrukcyjne i rozmaite patologie. Pojawiają się głosy, że to celowa strategia mająca na celu demoralizację i osłabienie zachodnich społeczeństw. Z tego powodu w niektórych krajach, np. w Stanach Zjednoczonych, rozważa się ograniczenie lub nawet zakaz działania chińskich mediów społecznościowych.

W samych Chinach wspomniane media działają według zupełnie innych zasad. Władze w Pekinie doskonale zdają sobie sprawę z wpływu, jaki internet wywiera na społeczeństwo. Chińska sieć jest w dużym stopniu odizolowana od światowej i poddana kontroli. Nie chodzi wyłącznie o cenzurę, ale również o promocję pożądaných treści. W przeciwieństwie do zachodniego internetu, eksponuje się więc np. materiały edukacyjne lub patriotyczne.

W 2016 r. chińskie władze rozpoczęły kampanię na rzecz „oczyszczania internetu”. Jej najnowszym elementem jest promowanie „pozytywnych” oraz „zorientowanych na wartości” treści slu-

żących stworzeniu „cywilizowanego, zdrowego i harmonijnego środowiska społecznego”. Firmy z branży mediów społecznościowych, takie jak Weibo, Tencent, Douyin i Xiaohongshu, zostały zobowiązane do usuwania ze swoich platform materiałów pokazujących nadmierny luksus czy ostentacyjną konsumpcję. Niedozwolone więc będzie chwalenie się drogimi samochodami, ubraniami i wszelkim przepychem.

Wytłumaczeniem tej polityki jest prawdopodobnie chęć ukrycia gwałtownie rosnących nierówności ekonomicznych w Chinach. Według dostępnych danych z 2015 r., 10 proc. najbogatszych mieszkańców Chin dysponowało 41 proc. bogactwa w tym kraju i ten udział nadal rośnie – dla porównania w Stanach Zjednoczonych wskaźnik ten wyniósł wtedy prawie 45 proc. (dziś ponad 67 proc.).

Kampania walki z konsumpcyjnym modelem życia odbywa się nie tylko w internecie. W ostatnich latach władze wzywały również do „kompleksowej reformy” branży ślubnej, aby wyeliminować drogie wesela i prezenty ślubne. Walczono także z plagą tatuaży, chirurgią plastyczną oraz „niewłaściwymi” ubiorami. Piętnowano również marnotrawstwo żywności.

Chiny intensywnie walczą z zachodnimi wpływami kulturowymi, które są uważane za groźne i demoralizujące. Władze w Pekinie sądzą, że to ostatnie objawy życia cywilizacji zachodniej i z niecierpliwością oczekują jej upadku.

Konrad Kołodziejski

Życie seksualne Czechów

Czechy

W Czechach przeprowadzono pierwsze w historii kraju zakrojone na szeroką skalę badania dotyczące życia seksualnego mieszkańców tego państwa. Narodowy Instytut Zdrowia Psychicznego szczegółowo przepytał w tej sprawie aż 6669 dorosłych respondentów.

Wyniki potwierdzają powszechną łatwość w dostępie do pornografii wśród dzieci. Średni wiek, w którym ankietowani w wieku 18–25 lat po raz pierwszy oglądali tego typu treści, wyniósł 14,5 lat dla kobiet i 14,2 lat dla mężczyzn. Dla porównania: wśród osób w wieku 65–75 lat kobiety przeciętnie zetknęły się po raz pierwszy z pornografią, gdy miały 31,8 lat, a mężczyźni, gdy mieli 28,4 lat. Dziś dziewczęta w Czechach pierwsze doświadczenia seksualne mają średnio w wieku 17,5 lat, a chłopcy – 18,3 lat, a więc znacznie wcześniej niż kiedyś.

Uzyskane wyniki nie były dla badaczy zaskoczeniem – poza jednym aspektem, który mocno ich zadziwił. Mogłoby się wydawać, że w dobie panseksualizmu, którym prześiknięta jest kultura masowa, bezpruderyjni Czesi powinni prowadzić niezwykle intensywne życie seksualne. Tymczasem okazuje się, że statystyczny mieszkaniec tego kraju współżyje rzadziej niż raz w miesiącu (kobiety średnio – 0,71 raza w miesiącu, a mężczyźni – 0,99 raza). Nawet wśród najbardziej rozbudzonej seksualnie grupy wiekowej, czyli młodzieży między 18 a 25 rokiem życia, odsetek ten jest zaskakująco niski: wynosi 1,7 raza w miesiącu dla kobiet i 1,3 raza dla mężczyzn.

Wyniki badań wydają się więc potwierdzać tezę Mary Eberstadt, że rewolucja seksualna przyniosła oziębłość seksualną. Oswojenie od najmłodszych lat z pornografią, brak tabu, wszechobecność obrazów erotycznych, uprzedmiotowienie ludzkiego ciała, oderwanie popędu od budowania relacji wcale nie sprzyjają życiu płciowemu. Przesyt powoduje zubożenie, tłumy witalności, utrudnia podniecenie. Rośnie liczba samotniczych uzależnień, a brakuje intymnych zbliżeń. Jeszcze jeden zatruty owoc rewolucji seksualnej.

Grzegorz Górny

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Powołać komisję ds. wpływów niemieckich

Premier, zirytowany pomówieniami o wpływy Rosji „takiej jaką ona jest”, powołał komisję pozaparlamentarną. To zrozumiałe, w parlamentarnej komisji musieliby uczestniczyć posłowie z wszystkich klubów, a to jest nie do zniesienia dla szefa rządu, „takiego jakim on jest”. W tej sytuacji logicznym i pożądanym posunięciem opozycji byłoby powołanie komisji ds. wpływów niemieckich, „takich jakie one są”.

Choć wspólnie z Niemcami należymy do dwóch wspólnot międzynarodowych: NATO i UE, niestety często nie zachowują się oni jak wspólnicy, lecz jak przeciwnicy, podejmujący niekorzystne dla nas działania. Geopolityka stała się strefą wielkich wstrząsów i zagrożeń. Coraz bliżej jej do geotektoniki. Jeżeli płyty tektoniczne NATO i Unii mają się rozjechać, należy przewidzieć konsekwencje.

Państwo niemieckie zachowuje się coraz bardziej absurdalnie ze swoją potrzebą przywództwa. Koniecznie chce rządzić Europą, konstruując utopijne projekty, pozornie atrakcyjne, w istocie nic nie warte. Rozsypujące się przy zderzeniu z rzeczywistością, tak jak teoria, że rolnictwo nie jest Europie



**Jan
Pietrzak**

potrzebne. Przykład inny – wymiana elektrowni atomowych na wiatrakowe. Najpierw zamknęli elektrownie, a potem zaczęli stawiać wiatraki. Nie mam przy sobie suwaka logarytmicznego, ale na oko można przyjąć, że zastąpienie energii atomowej przez powiewy wiatru wymaga ok. 100 tys. wiatraków. Podobny paradoks dotyczy wymarzonej wymiany napędu spalinowego na elektryczny w samochodach. Inny szaleńczy pomysł – horrendalne opłaty za „emisyjność” domów.

Uważaj MY, Europejczycy, nie mamy nic przeciwko nowym technologiom. Nie chcemy wracać do furmerek, ziemianek, telefonów na korbkę, telewizorów Wisła. Natomiast nie może być tak, że koszty ekologicznych nowinek zawsze ponoszą Polacy, a zyski zawsze zgarniają Niemcy. Nie było takiej umowy.

Wspomniana nadmierna emisyjność zabudowy na terenach naszych ziem zachodnich spowoduje tak wysokie koszty utrzymania, że Polaków nie będzie na to stać. Wicie, komu odsprzedadzą? Niemcom, którzy zgromadzeni w ziomkostwa już czekają. Taka jest prawda, „jaką ona jest”. Powołać komisję! **✓**

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Przywileje

To będzie trudny tekst. Trudny, bo dotyczący kwestii niesłychanie drażliwych. Pewnie wzbudzi protesty, może niektórych oburzy.

Otóż parki Disneyland (takie popularne ośrodki rozrywki) właśnie ogłosiły, że będą ściślej kontrolować, czy ich klienci, którzy legitymują się niepełnosprawnością, powinni mieć pierwszeństwo wstępu do ich przybytków.

Nie zamierzam zajmować się motywacjami parków, fałszerstwami, których ponoć dokonują ich klienci udający inwalidów. Zainteresowała mnie sama idea tego, że niepełnosprawni mają ułatwiony dostęp do rozrywki.

Rozumiem, że zapewniamy im wygodny dostęp do urzędów, podjazdy do mieszkań, toleruję też, że miasta gwarantują im specjalne miejsca parkingowe (choć moi przyjaciele się buntują, twierdząc, że pół miasta należy do samochodów „inwalidów”, zazwyczaj jeżdżących ekskluzywnymi SUVami).

Ale pytam: czy niepełnosprawni powinni mieć nadzwyczajny dostęp do atrakcji? Czy powinni bez kolejki wchodzić do parków rozrywki? Dlaczego? Wszak to nie naród, nie społeczeństwo, spowodowało ich choroby, problemy, urazy... Czemu więc gwarantuje im przywileje?

Jak napisałem: nie mam nic przeciw temu, żeby wyrównywać ich szanse w codziennych sytuacjach. Mój kolega



**Dominik
Zdort**

niedawno nakrzyczał na ważnego arcybiskupa za to, że w siedzibie Episkopatu nie ma podjazdu dla wózków. Nawet jeśli miał rację, to uważam, że był niegrzeczny, bo jednak warto szanować hierarchów. Ale „wyrównywać” nie znaczy preferować, wyróżniać.

Problem istnieje. Ile szacunku i wyrównywania szans inwalidów, a ile przywilejów? Czy rzeczywiście te przywileje, te przeliczne niebieskie miejsca parkingowe, pierwszeństwa wstępu do muzeów, aquaparków, na stadiony, są uzasadnione? Niezbędne? Dlaczego rodzina z kilkorgiem dzieci musi godzinami czekać na wejście, a facet na wózku ma prawo wjechać poza kolejką?

Trzymam kciuki za ich zdrowie, za rehabilitację, za możliwość normalnego życia w świecie, który zazwyczaj jest dostosowany dla zdrowych i pełnosprawnych. Ale czy dopuszczanie inwalidów na specjalnych zasadach do parków disneyowskich i innych tego typu atrakcji mieści się w granicach zdrowego rozsądku i ma cokolwiek wspólnego z równością?

Wystarczy zlikwidować ten przywilej, a oszustów udających niepełnosprawnych nie będzie. Tak po prostu. **✓**

*Autor jest senior research fellow w projekcie
Ordo Iuris Cywilizacja*

Co wybieramy

Czy uznajemy, że jako naród mamy wpływ na nasz zbiorowy los? Odpowiedź na to pytanie jest osią obecnego sporu politycznego w Polsce.

Z jednej strony występują rzecznicy poglądu, że tak naprawdę nic od nas jako wspólnoty nie zależy, a jedyne co możemy, to indywidualnie, na naszą mizerną skalę bogacić się i „płynąć w głównym nurcie”, a więc podporządkować się europejskim potęgom, a właściwie jednej, czyli Niemcom. Największym nieszczęściem jest dla nas próbować prowadzić podmiotową politykę, co spowodować musi retorsje Europy, czytaj Berlina, który ukarze nas, wstrzymując fundusze europejskie i zablokuje nasz rozwój. Musimy we wszystkim podporządkować się europejskim (niemieckim) możnym, bo sny o niezależności to brząkanie szabelką, które skazuje nas na klęskę.

Podejście takie oznacza rezygnację z samodzielnej polityki i ogranicza demokratyczne władze(?) Polski do administrowania krajem w formach przewidzianych przez zarządców UE. Establishment III RP, czyli rządząca koalicja i dominujące ośrodki opiniotwórcze, wydają się perspektywę tę przyjmować z entuzjazmem.

Z drugiej strony występuje obóz prawicy, który uważa, że nawet przy obecnym stanie przynależności do Unii możemy prowadzić politykę i walczyć o nasz zbiorowy interes.

Tym, którzy zarzucą mi, że obraz ten jest karykaturalny, zalecam wywiad z Bartłojem Sienkiewiczem z 2018 r. zamieszczony w piśmie Klubu Jagiellońskiego „Pressje”. Były minister jest chyba najbardziej zaufanym wykonawcą polityki Donalda Tuska i jak sam mówi analitykiem jego rządu, a w wypowiedzi dla elitarnego magazynu pozwala sobie na większą szczerść, niż zazwyczaj czynią to liderzy PO.

Prowadzący wywiad Krzysztof Mazur formułuje zarzut: „Filozofii »cieplej wody w kranie« można postawić zarzut, że rezygnuje ona z jakichkolwiek aspiracji, nie daje w ogóle szansy, by próbować wyrwać się z rozwoju zależnego. Z definicji zatem skazuje nas na peryferyjność. Możemy jedynie skoncentrować się na absorpcji środków europejskich oraz dalszym uzależnianiu się od Niemiec”.

Sienkiewicz odpowiada: „U źródła tak rozumianej doktryny »cieplej wody w kranie« leżało głębokie poczucie własnej słabości, którą można przezwyciężyć nie w wyniku krążenia idei, ale poprzez codzienne budowanie zasobności. O tym często się nie mówi, bo i nie jest to powód do dumy, ale wszystkie cztery kraje Europy Środkowej funkcjonują jako elementy wewnętrznej gospodarki Niemiec. Na tych samych zasadach funkcjonuje również Polska, gdyż nasza gospodarka jest ściśle uzależniona od niemieckiej. Strategia Tuska wynikała ze świadomości tej zależności”.

Oto clou postawy nie tylko Sienkiewicza, lecz także całego obozu. Musimy się podporządkować, bo przodkowie postawili nas w takim położeniu, a próba zmiany tego prowadzić

będzie do katastrofy na miarę rozbiorów, chociaż nie wiadomo dlaczego mamy się tym przejmować skoro niepodległości i tak nie mamy, ani w dostępnej nam perspektywie mieć nie będziemy.

Sienkiewicz demonstruje nieskrywaną pogardę dla ogółu, którym powinny zarządzać świadome stanu rzeczy (czyli własnej podległości) elity. Wywodzi, że z „socjologicznej” perspektywy nie ma żadnej narodowej wspólnoty, a jedynie agregat grup interesów. Idee to „prawicowa propaganda”. Polskie problemy z instytucjami są efektem zadawnionego braku do nich zaufania w naszym kraju. Ich cywilizowaną formę wypracowała współczesna Europa, a jeśli nie będziemy ich kopiować, to stoczmy się do poziomu Azerbejdżanu czy Afryki albo doprowadzimy do neohitlerizmu.

Tego, że współczesny Zachód sam deklaruje, że zaprzeczył swojej tradycyjnej cywilizacji, a więc i sensowi swoich instytucji, Sienkiewicz nie dostrzega. Brak refleksji jest charakterystyczny dla intelektualistów dominującego obozu. Jedyne uzasadnienie ich równie apodyktycznych, co arbitralnych tez jest przeświadczenie, że przecież „wszyscy” to wiedzą.

W rzeczywistości ich pewniki są na niczym nie oparte, żyjemy w niezwykle dynamicznej sytuacji, która coraz szybciej się zmienia i otwiera dla nas duże możliwości działania. Nawet wydawałoby się perfekcyjnie funkcjonujący tandem niemiecko-francuski zacina się coraz mocniej. Katastrofalny dla naszego kraju projekt UE, który usiłuje narzucić nam europejski establishment, jawi się jako coraz bardziej wątpliwy i w żadnym wypadku nie jesteśmy nań skazani. Dziś, w przełomowym momencie historycznym, rola Polski na kontynentalnym agonie niepomniernie wzrasta, czego – jak widać – liderzy PO nie pojmują albo nie chcą rozumieć. Ich wyobrażenia mają charakter samospełniających się oczekiwań i faktycznie pozbawiają naszą wspólnotę jakichkolwiek szans.

Ale przecież zgodnie z tezami Sienkiewicza wspólnoty nie ma, jest tylko układ partykularnych interesów. Podporządkowywanie Polski Niemcom stwarza nadzieję indywidualnych karier dla organizatorów tego procesu. Oczywiście na miarę ich osobistych ambicji.



Walizka Anny Hop

choreografki, artystki Polskiego Baletu Narodowego

Uwielbiam podróżować. Nie zdarzyło się, żebym jakiegś żalowała. Wszystkie, czy to zawodowe, czy prywatne, inspirują mnie i uczą o świecie, o ludziach, o sobie. Zjeżdżałam w większości Europę, byłam także w Chinach, Egipcie, Dubaju i Kanadzie, sporo czasu spędziłam w Skandynawii. Nie byłam jeszcze w Stanach, Ameryka Południowa też jest jeszcze przede mną. Jeżeli będzie okazja, chciałabym lepiej poznać Azję oraz Afrykę. Najlepiej z przyjaciółmi. Zdecydowanie chcę więcej podróżować.



NOTESY

Bez nich nigdzie się nie ruszam. Robię w nich notatki, zapisuję myśli, pomysły i inspiracje, jest w nich też lista zadań do wykonania, każdego dnia nowa. Nic nie zastąpi pisanie i szkicowania na papierze. Mam sporo notesów tematycznych albo przeznaczonych stricte dla danego tematu.

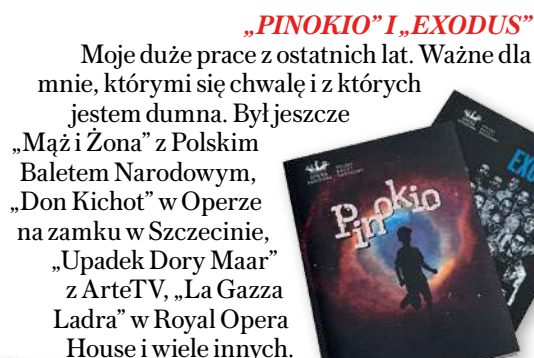
ZEGAREK

i w ogóle biżuteria, którą uwielbiam. Elegancki zegarek vintage jest moją pamiątką z podróży i bardzo go lubię. To moja biżuteria i zarazem symbol dobrej energii, wszystkiego pozytywnego, co przychodzi do mnie niespodziewanie w nieoczekiwanych miejscach.



„1000 I JEDNA OPERA”

Wszędzie szukam inspiracji i tego, co mogę robić. Mam marzenie, żeby wyreżyserować operę i to także jest obszar moich zainteresowań. Oprócz tej lektury wnikliwie studiuję „Przewodnik baletowy”. Te kompendia wiedzy na temat różnych oper i baletów są dla mnie źródłem wiedzy i natchnienia.



Zawsze muszę mieć wygodne buty do chodzenia, bo lubię podróżować i poznawać nowe miejsca, spacerując. Podczas spacerów lubię też rozwiązywać różne problemy, myśleć, planować. To dla mnie świetna forma relaksu.

Do długich i krótkich
rozmów, do słuchania
muzyki, gdy ćwiczę i układam
choreografię. Ponieważ są bezprzewodowe,
mogę się w nich ruszać i tańczyć.

Na specjalne okazje, a ponieważ
nigdy nie wiadomo, kiedy taka
nadejdzie, zawsze mają swoje
miejsce w walizce.

A blue leather camera case with a camera and two photos. The camera is a silver and blue digital SLR. The case is open, showing a small photo of a person and a larger photo of a person in a dynamic pose.

To taka romantyczna i sentymentalna zabawka. Pozwala uchwycić moment i natychmiast przelać na papier fotograficzny.

PROJEKTY

Projekty kostiumów oraz projekty scenograficzne do „Pinokia” lub innego spektaklu, który tworzę w danym czasie. Często pracuję podczas wyjazdów. To

Lubię przywozić z podróży
perfumy, bo są to zapachy, które
kojarzą mi się z jakimś miejscami,
ludźmi, sytuacjami. Wspomnienia
zamknięte w buteleczce.

Zbieram. Czasami są to magnesy lub wyjątkowe przedmioty. Za każdym razem, gdy gdzieś wyjeżdżam, idę do muzeum czy galerii i chciałabym stamtąd zabrać jakieś dzieło sztuki, mogę zrobić to legalnie właśnie w formie pocztówki. Moje trofea wieszam na ścianie inspiracji i czerpię z nich lub дарuję komuś bliskiemu jako pamiątkę z podróży.

Projekty kostiumów oraz projekty scenograficzne do „Pinokia” lub innego spektaklu, który tworzę w danym czasie. Często pracuję podczas wyjazdów. To jest element mojej profesji i współpracy ze wspaniałymi twórcami, w przypadku „Pinokia” z Małgorzatą Szabłowską (scenografia, multimedia, światło) oraz Katarzyną Rot (kostiumy), a także Lidią Wajdyk-Szmańdą (charakteryzacja), z Martą Kluczyńską (dyrygentka i opieka muzyczna) i Piotrem Stańczykiem (mój asystent).

Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**



Męczyzna zadaniowy

Z Sebastianem Skoczniem, głównym aktorem serialu „Korona królów. Jagiellonowie”, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Dzieci, również dla króla, to największy skarb?

Sebastian Skoczeń: Jagiello bardzo zależało na stworzeniu dynastii. Długo się to nie udawało. Urodziła się jedna córka, ale zmarła zaraz po porodzie, potem kolejna [z Anną Cylejską, ustanowioną dziedziczką tronu polskiego i litewskiego, którą jednak ojciec przeżył o trzy lata – przyp. red.]. Dopiero u schyłku życia król spłodził następców tronu [z ostatnią, czwartą żoną Zofią Holszańską].

Strategie małżeńskie i monarsze zaczęły w końcu działać?

Myszę, że Jagiello był typem mężczyzny zadaniowego. Niestety mało przebywał ze swoimi żonami. Cały czas chciał z bliska doglądać państwa. Jeździł to na Litwę, to na Żmudź. Czysty pragmatyzm sprawiał, że w tych podróżach nie towarzyszyły mu żony. Co nie znaczy, że nie były dla niego ważne.



Przypomnijmy, w jakim momencie życia bohatera zaczął pan grać króla Jagiellę?

Po śmierci Jadwigi. W sytuacji bardzo trudnej, także politycznie. Został władcą poprzez ślub z królową. Musiał użyć wielkiego sprytu, inteligencji i przenikliwości, by poradzić sobie z polskimi panami. Oni potrzebowali władcy marionetkowego, którym będzie można łatwo sterować, a trafili na twardego przeciwnika.

Był pan z bohaterem przez kilkadziesiąt lat jego życia.

I bardzo się zbliżyłem do tej postaci. Ciężko było mi się z nią żegnać.

(Emisja odcinka, w którym król umiera, wciąż jeszcze przed widzami, tymczasem 1 czerwca minie 590 lat od śmierci założyciela dynastii Jagiellonów)

Fot. TVP

Wspólnie Pilnujemy Polski



Wspierając Fundację Media w Polsce, wspierasz rozwój wolnych mediów i niezależnego dziennikarstwa

Fundacja Media w Polsce powstała w odpowiedzi na potrzebę ochrony i promowania wspólnych, patriotycznych wartości, pobudzania świadomości obywatelskiej, a także ochrony pluralizmu mediów, w szczególności w zakresie rozwoju niezależnego dziennikarstwa.

www.mediawpolsce.org

WESPRZYJ NASZE DZIAŁANIA



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę lub do banku

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z Polityką RODO

Dane do wpłaty darowizny na pocztę lub w banku:

Nazwa odbiorcy: Fundacja Media w Polsce
Nr konta: 67 1240 1242 1111 0011 3470 0721
Tytuł wpłaty: Darowizna na cele statutowe
Waluta: PLN Kwota:
(tu wpisz kwotę darowizny)

Można to zatrzymać



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Można odnieść wrażenie, że część opinii publicznej jest przeświadczona, iż procedowane w strukturach unijnych zmiany traktatów, w szczególności te dotyczące prawa migracyjnego, są nieuniknione i niemożliwe do powstrzymania. Bierność w obliczu grożącej Polsce utracie suwerenności oraz bezpieczeństwa militarnego i osobistego to postawa oczekiwana przez wszystkich, którzy źle życzą Polsce. Dlatego tak istotnym jest zagłosowanie w wyborach do Parlamentu Europejskiego i w przyszłorocznych wyborach prezydenckich.

W obecnej sytuacji politycznej, przyjmując, że wszystkie rządy państw członkowskich osiągnęłyby konsensus w sprawie zmiany traktatów Unii Europejskiej, nadal będzie możliwe ich zablokowanie na etapie ratyfikacji. Ratyfikacja umowy międzynarodowej przekazującej kompetencje organizacji międzynarodowej następuje w Rzeczypospolitej Polskiej w drodze decyzji prezydenta RP, po uzyskaniu zgody dwóch trzecich Sejmu i dwóch trzecich Senatu.

Zgodnie z orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego w sprawie zgodności z konstytucją traktatu lizbońskiego przekazanie kompetencji na rzecz UE wymaga zgody, stosownie do art. 90 konstytucji, niezależnie od tego, czy następuje w drodze umowy międzynarodowej, czy na skutek uproszczonej procedury zmiany (!). Według sędziów TK art. 90 stanowi normatywną kotwicę suwerenności i wyznacza granicę przekazania kompetencji na rzecz UE. Może to nastąpić tylko wtedy, gdy nie zagraża tożsamości i suwerenności narodu oraz konstytucyjnych podstaw państwa. TK podkreślił, że suwerenność RP i jej niepodległość w warunkach członkostwa w UE oraz na zasadach określonych w konstytucji oznaczają potwierdzenie prymatu narodu polskiego do stanowienia o własnym losie.

Sędzia sprawozdawca wskazał, że „granice przekazania kompetencji na rzecz UE stanowią czynniki wyznaczające tożsamość konstytucyjną RP. Składają się na nią uszanowanie zasad polskiej państwowości, demokracji, zasady państwa prawnego, zasady sprawiedliwości społecznej, zasad określających podstawy ustroju gospodarczego, zapewnienie ochrony godności człowieka i praw oraz wolności konstytucyjnych”. Wedle ustnego uzasadnienia wyroku konstytucja RP zachowuje nadrzędną i szczególną moc w stosunku do wszystkich umów międzynarodowych, także tych, które dotyczą przekazania kompetencji władz krajowych w niektórych sprawach.

Koalicja rządząca nie dysponuje wystarczającą większością w żadnej z izb dla wyrażenia zgody na ratyfikację. W razie wyrażenia zgody przez parlament prezydent nadal mógłby ją zawetować lub zaskarżyć do TK albo odmówić ratyfikacji. Obecna większość parlamentarna być może próbowałaby uzyskać zgodę na ratyfikację w drodze referendum, w którym wystarczyłaby aprobaata większości obywateli wyrażona przy ponad 50 proc. uprawnionych do głosowania.

W strukturach unijnych nie zawsze przestrzega się procedur, tak jak to miało miejsce choćby w przypadku ostatnio przyjętego paktu migracyjnego, który zamiast jednomyślnie został przy-

jęty większością głosów, co pozostaje w sprzeczności z obowiązującymi traktatami. Uzyskanie przez ugrupowania konserwatywne większej liczby miejsc w europarlamencie niż obecnie sprawi, że inicjatywy zmiany struktury UE rodem z komunistycznego manifestu z Ventotene Spinellogo będzie można zablokować właśnie z poziomu mandatu parlamentarnego. W przypadku uzyskania odpowiednio wysokiego wyniku w wyborach europejskich przez ugrupowania konserwatywne będzie można stworzyć grupę, która realnie wpłynie na skład Komisji Europejskiej i wybór jej przewodniczącego. KE to organ posiadający wyłączną inicjatywę prawodawczą w Unii. Członkowie Komisji wykonują funkcje powierzone im przez przewodniczącego i podlegają mu. Komisarze mogą zawnioskować o ponowne procedowanie rozwiązań, które w obcym kształcie są śmiertelne dla suwerenności Polski i mają dewastujący wpływ na możliwości dalszego rozwoju. KE ponosi odpowiedzialność przed Parlamentem Europejskim. Jeżeli PE przyjmie wniosek o wotum nieufności wobec Komisji, wszyscy jej członkowie są zobowiązani do złożenia dymisji. 

Od redakcji



*Z głębokim żalem zawiadamiamy, że w dniu 20 maja 2024 r.
zmarła w wieku 81 lat*

EWA SIKORSKA-TRELA

Posel AWS na SEJM RP III kadencji

*Wieloletnia Przewodnicząca KZ NSZZ „Solidarność”
Uniwersytetu Gdańskiego*

*Msza Święta pogrzebowa zostanie odprawiona
w dniu 29 maja 2024 r. o godzinie 11
w Kościele pw. św. Stanisława Kostki w Gdańsku
przy ul. Abrahama 38.*

*Pogrzeb odbędzie się tego samego dnia po mszy św.
na Nowym Cmentarzu w Pruszczy Gdańskim
przy ul. Obrońców Pokoju 14 o godzinie 13.*

Przyjaciele z Gdańska

TRENDY I OWĘDY

Ale wstyd

Bezwstydnie kopiują głupie rzeczy z Ameryki. Ale wstyd”. Tak Elon Musk, właściciel platformy X (d. Twitter), jeden z najbardziej opiniotwórczych obywateli naszego globu, skomentował informacje o tym, że w Warszawie zakazano krzyży w budynkach administracji stołecznej. Trudno nie łączyć tego wpisu z osobą prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego, który z dumą o zakazie informował. To niebywały cios w fajnowarszawkę. Cios zupełnie niespodziewany, bo przecież ludzie Platformy robią u nas za przedstawicieli zachodniej cywilizacji. To ich ambasador Stanów Zjednoczonych nieustannie namaszcza na jedynie słusznych. To ich dopieszczają Bruksela i pieniądze Sorosa. A tu nagle ku satysfakcji ciemnogrodu Elon Musk ewidentnie opiliował prezydenta Trzaskowskiego. Chociaż z tym „ale wstyd” amerykański miliarder przesadził. Przesadził z braku wyobraźni.



Ryszard Makowski

Nikt na świecie nie wyobraża sobie standardów politycznych, jakie u nas są na porządku dziennym. Tu nie ma pojęcia „wstyd”. Parę lat temu obecny premier kpł z tego, że PiS stawia zapórę na granicy z Białorusią, a dziś bez mrugnięcia okiem stanął na czele krucjaty wzmocnienia tejże granicy. Ma na to pójść 10 mld zł. Za te pieniądze mają powstać taktyczne mokradła i bagna. To się musi udać, bo ta ekipa ma wybitnych specjalistów od zmieniania Polski w bagno. Przełożenie wajchy ugodziło w burmistrza Michałowa. Aktywista PO chciał się przypodobać władzy centralnej i w parku stanął płaskorzeźby szkalujące Straż Graniczną. I jest ambas. Wstyd za tego burmistrza i za grupę wsparcia hybrydowych nachodźców jednak pozostanie.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

Z POWODU PRZEDAWNIEŃ ZOSTAŁ UNIEWINNIONY REDAKTOR NACZELNY PEWNEGO TYGODNIKA, W KTÓRYM ZACHOWYWAŁ SIĘ JAK LIS W KURNIKU.



SIECI

ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ ODZIOBY, MAREK PYZA, MARGIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ,
MAREK BUDZISZ, LESZEK DEJGOSZ,
KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA,
GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-
ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI,
CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB
MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NAŁASKOWSKI,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,
JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT
TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN,
MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,
MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOTEJKA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.ŁABĘCKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WEJĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: A. WIKTOR, W. RADWAŃSKI, J. SKARZYŃSKI/APPEASTNEWS,
L. OSTALOWSKI/REPORTER, R. PIETRUSZAK/APR, MAT. PRAWSE, SHUTTERSTOCK

Panie Tusk, dość oszustw!

Gdy zobaczyłem, jak próbuje fałszować historię obrony granicy wschodniej przed hybrydową napaścią Łukaszenki i Putina, pomyślałem, że żadna operacja mnie już nie zdziwi. On naprawdę nie ma wstydu.
Kot trzy razy odwrócony ogonem

Jacek i Michał Karnowscy
rozmawiają z **Mateuszem**
Morawieckim, wiceprezesem
Prawa i Sprawiedliwości,
prezesem Rady Ministrów
w latach 2017–2023

Prawo i Sprawiedliwość jako partia rzekomo prorosyjska – to główna linia kampanii wyborczej obozu Donalda Tuska. Pańska formacja ma pomysł, jak walczyć z tak obezwładniającymi kłamstwami?

Mateusz Morawiecki: To klasyczna sytuacja, w której złodziej krzyczy: „Łapać złodzieja!”. Jak rozumiem, w tej chorej narracji dowodami na naszą prorosyjskość mają być wyjazd do obłożonego jeszcze Kijowa z udziałem premiera Jarosława Kaczyńskiego i moim? Przekazanie napadniętym Ukraincom w rozstrzygającym momencie 300 czołgów i masy innego sprzętu? Przyjazne otwarcie granic Polski dla ludzi, którzy uciekali przed wojną, udzielenie im pomocy? Organizowanie regionu i Europy na rzecz wsparcia Kijowa? Przekop Mierzei Wiślanej? Zwalczanie Nord Stream 1 i Nord Stream 2 w czasie, gdy przyjaciele Tuska forsowali te inwestycje? W każdej uczciwej rozmowie bezwstydnosć tego kłamstwa zostaje ujawniona po minucie.

W uczciwych mediach, a z tym często jest problem.

Dlatego trzeba stale przypominać słowa Tuska, który mówił, że chce



współpracować z Rosją taką, jaka ona jest, który dał zielone światło do współpracy naszych służb specjalnych z rosyjską FSB czy Radosława Sikorskiego, który zaprosił Ławrowa na spotkanie z ambasadorami. Te fakty są już wystarczającym dowodem na reset z Rosją, którego dokonywała tamta ekipa, a przecież takich wypowiedzi i idących za nimi czynów jest o wiele więcej.

Czy kampania 2023 r. nie nauczyła nas, że operacji manipulacyjnych rozwijanych przez Donalda Tuska i jego media nie należy lekceważyć?

I nikt tego nie robi. Musimy mieć świadomość, że oni stosują goebbelsowską regułę, iż kłamstwo powtórzone tysiąc razy w uszach odbiorców staje się prawdą. Powtarzamy, że atakują nas ludzie, którzy z Rosją współpracowali wtedy, gdy śp. prezydent Lech Kaczyński i prezes Jarosław Kaczyński byli wyszydzani jako „rusofoby”, bo ciągle ostrzegali elity polityczne i polskie społeczeństwo przed Rosją. Atakują nas dzisiaj farbowane lisy, próbujące się przebrać w szatki zatroskanych wpływami Rosji. To wielka operacja kłamstw i manipulacji, przeciwstawiamy się jej z całą mocą. Także na tych łamach mówię twardo: panie Tusk, dość oszustw! Dokumenty, które pan podpisywał, relacje biznesowe, zgoda na współpracę z FSB, wypowiedzi – to wszystko jasno wskazuje, kto grał na rzecz Rosji, a kto walczył z jej agresją w regionie i jej wpływami.

Dlaczego przy dzisiejszej wiedzy polityka ekipy Tuska w latach 2007–2015 była aż tak prorosyjska?

Łaskawsze dla nich wyjaśnienie jest następujące. Tamte rządy realizowały przede wszystkim cele niemieckiej polityki i europejskiego mainstreamu, a tam panowała wtedy nie tylko moda na reset z Putinem, lecz przede wszystkim plan modelu gospodarczego opartego m.in. na współpracy z Rosją. Można go opisać w kilku słowach: tania energia z Rosji, tania siła robocza z Europy Środkowo-Wschodniej, niemal darmowy parasol obronny ze Stanów Zjednoczonych plus produkcja przenoszona do Chin na wysokich marżach. To był model niemiecki, holenderski, austriacki – oni wszyscy stali wokół tego wielkiego zaworu, przy którym uroczyście otwierali Nord Stream. A Tusk był tu politycznym podwykonawcą.



Dokumenty, które Tusk podpisywał, relacje biznesowe, zgoda na współpracę z FSB, wypowiedzi – to wszystko jasno wskazuje, kto grał na rzecz Rosji, a kto walczył z jej agresją w regionie i jej wpływami

rzeczywistość do góry nogami. Długofalowy cel to rozmycie prawdy, tak by już nie było ważne, co kto naprawdę robił. W ten sposób czyny Tuska i jego ekipy, ich błędy i grzechy wobec państwa polskiego, naszego bezpieczeństwa mają zostać utopione w wytwarzanym przez nich teraz szumie dezinformacyjnym. W mojej ocenie chcą zamazać dowody, uniknąć odpowiedzialności politycznej, a może i innej.

Stoją za tą kampanią kłamstw jakieś cele polityczne?

W bliskim planie chodzi po prostu o zmobilizowanie najbardziej radykalnych grup wyborców przed wyborami europejskimi. By to zrobić, jest gotów wywrócić

Te ataki idą coraz dalej. Ostatnio w spocie PO pojawiło się przedstawienie Prawa i Sprawiedliwości z ludzkimi czaszkami i zarzut, że to wy zniszczyliście polską armię.

Z tego spotu śmiało się pół internetu i wcale się nie dziwię. Każdy, kto chce



zachować choć trochę uczciwości, przyzna, że to my przeprowadziliśmy szeroko zakrojoną modernizację polskiej armii po okresie jej zwijania w czasach PO-PSL, np. zwijaniu jednostek wojskowych na wschodzie kraju. Dzięki naprawie finansów publicznych możliwe było radykalne zwiększenie wydatków na obronność do poziomu, który wzbudził uznanie także prezydentów amerykańskich. Odbudowyaliśmy armię kadrowo, organizacyjnie, powstały nowe jednostki wojskowe, ściągaliśmy najnowocześniejszy sprzęt, rozwijaliśmy polski przemysł obronny.

Kontrakty zbrojeniowe są zagrożone?

Potężne kontrakty z dostawcami amerykańskimi i koreańskimi – jeśli nie zostaną zaprzepaszczone, tak jak tyle rzeczy przez ostatnie pół roku – zapewnią Polsce bezpieczeństwo. Pracowaliśmy tu na

Obecny premier przy pomocy powołanych przez siebie aparatczyków chce wyprodukować glejt własnej niewinności. Ale spokojnie, przyjdą czasy, że rozliczymy ten ponury okres w naszej historii, który mamy obecnie

100 proc. zaangażowania, od pierwszego dnia naszych rządów. I ten człowiek, nazywany „człowiekiem Moskwy w Warszawie”, ma teraz czelność atakować nas nawet w tym obszarze. To się nazywa tupet. Gdy zobaczyłem, jak próbuje fałszować historię obrony granicy wschodniej przed hybrydową napaścią Łukaszenki i Putina, pomyślałem, że żadna operacja mnie już nie zdziwi. On naprawdę nie ma wstydu. Kot trzy razy odwrócony ogonem.

Zgadza się pan z tymi, którzy uważają, że obrońcy granic, ich rodziny powinni usłyszeć słowo „przepraszam” od autorów tamtej nagonki?

Przydałoby się, ale się tego nie spodziewam. Cała Polska była wtedy świadkiem obrzydliwych sytuacji i ohydnych słów. Może warto przypomnieć, że Platforma Obywatelska głosowała przeciw budowie zapory, Tusk ją wyszydzał, wyśmiewał, atakował. Do brutalnego ataku na tę zaporę rzucił tłum celebrytów i dziennikarzy oraz panów Szczerbę, Jońskiego i Sterczewskiego. Chyba wszyscy pamiętamy, jak pędzili z reklamówkami i pizzą ku rzekomym uchodźcom. Tego się nie da zapomnieć. Słowem – robili wszystko, by ośmieszyć obronę granicy wschodniej w bardzo poważnej sytuacji. Dziś próbują podpiąć się pod nasz sukces, pokazać go jako swój.

Naszą uwagę zwróciła niedawna wypowiedź Tuska, który stwierdził, że za pomocą powołanej przez siebie komisji „chciałby oczyścić atmosferę w Polsce, by została ona uwolniona od nieznosnego ciężaru spekulacji, domysłów, setek publikacji na temat wpływów rosyjskich w kraju”. Sam sobie wybiera sędziów, którzy mają go oczyścić?

Nemo iudex in causa sua, czyli nikt nie powinien być sędzią we własnej sprawie. Zgadza się, że obecny premier przy pomocy powołanych przez siebie aparatczyków chce wyprodukować glejt własnej niewinności. Ale spokojnie, mam dobrą pamięć i przyjdą czasy, że rozliczymy ten ponury okres w naszej historii, który mamy obecnie. Nie dziwię się, bo zapraszanie Rosjan do prywatyzacji Łotosu i nie tylko, zgoda na współpracę polskich służb specjalnych z rosyjskimi, jego największa zbrodnia, jaką było oddanie śledztwa smoleńskiego w ręce Rosjan i zgoda na zamazywanie śladów, dzisiaj jest potężnym aktem oskarżenia. Jeśli miałby sumienie, to by go mocno dręczyło. Ale tu w grę wchodzi raczej strach przed odpowiedzialnością osobistą, polityczną i historyczną. To psuje mu też różne szyki, plany, ambicje.

Tusk i jego ludzie atakują także PiS oraz pana osobiście za spotkania z przedstawicielami ugrupowań, których reprezentantom zdarzyły się kiedyś prorosyjskie wypowiedzi. Jak pan na to odpowiada?

Znowu próba odwrócenia kota ogonem. Czy to nie oni pili wódkę z rosyjskimi kagiebiastami? Czy to nie dzisiejszy premier mówił: „Polska i Rosja mogą dużo więcej zrobić i zarobić”? Przecież ja mogę jak z rękawa sypać kolejnymi cytatami, przytaczać to, co on mówił, jakie decyzje podejmował. A dosłownie parę dni temu spotykają się z Manułą Schwesig, która była ramieniem Gazpromu i Putina w Europie Zachodniej, przyjmowała dziesiątki milionów euro na realizację polityki komunikacyjnej *de facto* Rosji. I dalej: to oni zatrzymali budowę Baltic Pipe, oni zapraszali rosyjskich inwestorów. Nieestety, ich siła medialna jest potężna i tego ataku nie można lekceważyć. Ale w tej tepej propagandzie posunęli się za daleko. Polacy nie lubią, jak się z nich robi idiotów. Irządzący zobaczą to w dniu wyborów. My mówimy i będziemy mówili prawdę o tym, kto w Polsce naprawdę kłaniał się Moskwie. Moje środowisko polityczne nigdy tego nie zrobiło, odwrotnie – zapłaciło potężną cenę za nazywanie zagrożenia po imieniu, mobilizowanie regionu do oporu, upartą walkę o przygotowanie Polski na chwilę przewidywanego zagrożenia.

Dziś Tusk przedstawia się jako antyrosyjski jastrząb. Politycznie to problem dla Prawa i Sprawiedliwości?

Różnica jest taka, że dla nich tak rozumiana kwestia suwerenności to pomysł na kampanię. Dla Prawa i Sprawiedliwości suwerenność to DNA, istota naszej tożsamości, tego, w co wierzymy i kim jesteśmy. Z jednej strony nie ma większego komplementu niż to, kiedy przeciwnik naśladuje twoje hasła, z drugiej jednak najważniejsza jest Polska i tutaj mam potężny niepokój, że za tymi hasłami nie pójda czyny. To znaczy nie zrobią niczego, by faktycznie wzmocnić zdolności naszej ojczyzny, jej odporność, jej suwerenność, by przeciwstawić się moskiewskiej agresji. Przecież bezpieczeństwo tworzy nie tylko armia, o której już mówiliśmy, lecz także energetyka, infrastruktura, sfera ducha. Co robią w tych obszarach? Kasują CPK, odsuwają atom, podejmują ideologiczną walkę, ściągając krzyże ze ścian urzędów. A nade wszystko są straszliwie leniwi i skrajnie nieudolni.

To znaczy?

Wiem, co się dzieje w rządzie, a precyzyjniej, jak niewiele się dzieje. Z ław rządowych dochodzą głosy, że oni nie mają co robić. Nic się nie dzieje, ludzie snują się bez celu. Żadnych planów, projektów, działań. Jedno wielkie hamowanie i skreślanie projektów, które przygotowaliśmy, którym nadaliśmy właściwy rozpęd.

To nieudolność czy plan?

Nienawisć wobec PiS zaslepia ich do tego stopnia, że są w stanie zaorać nawet najbardziej przyszłościowe inwestycje tylko dlatego, że to my je zaczęliśmy. Budować,

Wciąż można zablokować pakt migracyjny, niebezpieczne „zielone” dyrektywy i traktaty. Dlatego proszę wszystkich, by poszli na wybory

rozwijać Polskę – to trudniejsze. Ale oni chyba tego po prostu nie chcą. Pożyczając frazę od de Gaulle’a, trzeba ich nazwać po prostu „partią zewnętrzną”.

Ta „partia zewnętrzna” jest w Polsce tak silna w dużej mierze dzięki wsparciu z Berlina i Brukseli. Przed nami wybory europejskie. Jest szansa na zmianę układu sił w centrum politycznym Unii Europejskiej?

Większa niż kiedykolwiek. Mam szansę nawet współrządzić Europą. Nie jest to wykluczone, gdyż partie głównego nurtu we Francji i Niemczech wiedzą, że jeśli chcą przetrwać, muszą przesunąć się w prawo. Obywatele mają dość „zielonych ładów” i ideologicznych szaleństw, są zmęczeni masową migracją, chcą normalności i zdrowego rozsądku. Stąd w nowej koalicji rządzącej może się znaleźć Europejska Partia Ludowa, liberałowie i frakcja centroprawicowa, której jesteśmy częścią. Zdecydowanie odcinamy się od skrajnych, ultraprawicowych poglądów, jak niemieckiej AfD, która ma i grzeszną narrację związaną z II wojną

światową, i swoje inklinacje prorosyjskie. Natomiast partia pani Meloni czy Fidesz albo hiszpański Vox to normalne partie konserwatywne, zwolennicy Europy ojczyzn. Z nimi, mam nadzieję, naprawimy kontynent i zatrzymamy szaleństwa takie jak zmiana traktatów, na którą ta ekipa ustami Radosława Sikorskiego się godzi. To byłby koniec niepodległej Polski.

Ale pakt migracyjny już został przyjęty, także przez Radę Europejską. Klamka zapadła.

Wciąż wszystko zależy od nas. W 2015 r. też były przyjęte podobne rozwiązania.

Gdy przejęliśmy władzę, zapowiedzieliśmy sprzeciw, potem wraz z premierami Czech i Węgier postawiłem twarde weto i ostatecznie Unia Europejska się cofnęła, odeszła od szaleńczego planu przymuszania do przyjmowania migrantów lub płacenia za ich nieprzyjmowanie. Czyli rząd naprawdę suwerenny ma narzędzia, by skutecznie bronić własnych obywateli. Tak samo dzisiaj – można zablokować pakt migracyjny i niebezpieczne „zielone” dyrektywy. Gdy byłem premierem, robiliśmy to skutecznie i nie dajcie się państwu oszukać, że było inaczej. Żadna z zestawu 14 dyrektyw planu „Fit for 55” nie została wdrożona za naszych rządów. Ktoś chyba w kampanii mówił, „że mnie w Europie nikt nie ogra”. Można śmiało powiedzieć, że po 10 minutach meczu jest 5:0 dla Brukseli.

Jak ocenia pan przebieg kampanii?

Jesteśmy zmobilizowani, przedstawiamy jasny plan dla Polski i Europy. Dzisiaj kluczowe jest przekonanie naszych wyborców, żeby poszli do wyborów. To na łamach współtworzonych przez panów mediów przed wyborami samorządowymi prosiłem Polaków, by pokazali tej władzy żółtą kartkę. Tak się stało. Dziś proszę, by tę żółtą kartkę jeszcze bardziej przytknęli rządzącym do oczu. Jakość rządów koalicji 13 grudnia jest coraz gorsza. Przyjdzie czas, że pokażemy im czerwoną kartkę i będziemy wspominali ten okres tylko jako przerwę w realizacji projektu budowy pięknej, dumnej i silnej Polski.

Obóz rządzący dziś Polską jest teflonowy czy zużywa się szybciej niż pan sądził?

Dużo szybciej. Jeszcze dwa miesiące temu nie widziałem tego tak wyraźnie, dziś oceniam jednoznacznie: spalają zaufanie Polaków jak szaleńcy, nie potrafią przedstawić żadnego pozytywnego programu, planu na wzmocnienie Polski i podniesienie poziomu życia naszych rodaków. Nikt już nie wierzy, że będą dbali o Polskę tak, jak my o nią dbaliśmy, przy wszystkich naszych słabościach, bo jesteśmy tylko ludźmi. Każdy dzień przynosi kolejne złe wieści dla Polaków. Przykład z ostatnich dni: pani Róża Thun ujawniła, że przymusowa modernizacja domów w związku z europejską dyrektywą budynkową, którą popierali, będzie się wiązała z koniecznością zaciągania długów przez mieszkańców. Ludzie to wszystko dostrzegają. Jednocześnie przestrzegam przed lekceważeniem tego przeciwnika – stoi za nim potężna maszyna propagandowa, potężni sojusznicy, nie cofają się przed represjami. Jeśli chcemy wygrać, musimy być zjednoczeni, zmobilizowani, profesjonalni.

Wspomniane represje nie złamią obozu patriotycznego? Męczyci pana na komisji śledczej do spraw wyborów korespondencyjnych, próbowali obrażać, zapowiadają wniosek o uchylenie panu immunitetu.

Nie złamią, odwrotnie – im więcej represji, tym bardziej tężeje nasz opór. Jesteśmy coraz bardziej zjednoczeni i zdeterminowani, by walczyć ze złem, które reprezentuje ta koalicja. Bo to jest zło – dzielenie Polaków, pozbawianie szans rozwojowych. Możemy za to zapłacić ogromną cenę. W ludziach jest coraz większy niepokój, że ta ekipa nie dba o Polaków. Jest świadomość, że ten statek rozpędzony przez nasze rządy jakoś płynie, jeszcze omija góry lodowe, jeszcze ma paliwo, ale narastają zagrożenia, a nowy kapitan niespecjalnie się tym interesuje. Ten niepokój może – i to szybciej, niż myślimy – doprowadzić do powrotu rządu patriotycznego, znającego się na sprawach państwa, gotowego do ciężkiej pracy, przejmującego się problemami Polaków.

Każdego dnia dochodzą niepokojące informacje o zwijaniu fabryk przez zagraniczne koncerny, grupowych zwolnieniach. Dzieje się coś złego?

Biznes wyczuwa, że zmienia się koncepcja rozwojowa Polski. Za naszych rządów miał pewność, że rząd będzie pomocny i proaktywny, gospodarka będzie rosła, infrastruktura będzie przyciągała inwestycje, w razie kryzysu uruchomimy tarcze, słowem – że nie pozwolimy na narzucenie niczego, co by zniszczyło naszą konkurencyjność. Dla przykładu: stworzyliśmy plan budowy elektrowni atomowych, tych dużych, z partnerami prywatnymi, i tych małych, SMR, które dość szybko dałyby tanią energię.

Obecnie to też stoi pod znakiem zapytania.

Gorzej – dziś już widać, że tego nie będzie. Przedsiębiorcy rozumieją, że to oznacza, iż utrzymanie opłacalności produkcji i usług stanie się coraz trudniejsze i w perspektywie mogą zacząć uciekać. Na początku czerwca przedstawię raport na półrocze rządów Donalda Tuska. Już widzę, że będzie on miażdżący. Chcę pokazać to na bardzo konkretnych przykładach. Będzie tam nie tylko o niespełnionych obietnicach i zaprzepaszczonych szansach, lecz także o nowych możliwościach rozwojowych.

Gdy wrócimy do władzy, byłbym zwolennikiem dokonania szybkich rozliczeń, są na to paragrafy, procedury. Patologie wypalimy gorącym żelazem. Ale priorytetem musi być przyszłość

Ostrzegacie też przed podwyżkami. Rzeczywiście nadciąga drożyzna?

Ostrzegamy, bo obecny premier już po tych kilku miesiącach zasłużył na tytuł króla podwyżek. Podstawowe produkty od marca do maja w najpopularniejszych polskich sieciach handlowych zdrożały o blisko 19 proc. Wszyscy płacimy więcej za codzienne zakupy. Od kwietnia podnieśli VAT na żywność, a od 1 lipca dla odbiorców taryfowanych rachunki

za energię elektryczną mogą wzrosnąć o 30 proc., a za gaz o 15 proc. Czy rząd chce w tej sytuacji pomóc Polakom? Wcale nie chce. Jeszcze wcześniej politycy koalicji rządzącej przekonywali, że nie będzie żadnych podwyżek. Nie byli świadomi tego, co się szykuje? A może ukrywali przed ludźmi prawdę? Miała być uśmiechnięta Polska, a jest śmianie się Polakom w twarz. Za czasów moich rządów na pierwszym miejscu zawsze były interesy społeczeństwa. Dlatego wprowadzaliśmy tarcze chroniące Polaków przed podwyżkami cen. Obecny rząd wszystkie te tarcze Polakom zabrał.

Co jako opozycja planujecie zrobić w tej sprawie? Są realne szanse, żeby zatrzymać te podwyżki?

Oczywiście. Dlatego ustanowiliśmy inicjatywę ustawodawczą, a także powołaliśmy komitet, który przedstawi obywatelski projekt „Stop podwyżkom od lipca”. Jego pomysłodawcą jest poseł Waldemar Buda, nasz kandydat do europarlamentu. Organizujemy się, zakasujemy rękawy i działamy. Przez najbliższe tygodnie w każdej gminie, w każdej miejscowości będziemy zbierali podpisy. Apeluję o podpis do każdej osoby, której zależy na niższych cenach prądu i gazu. Ustawę podpisaną przez tysiące Polaków położymy marszałkowi Hołowni na biurku. Nie będą mieli wyjścia. To będzie wielkie „sprawdź”, czy władza w ogóle respektuje głos obywatelski.

Gdyby Zjednoczona Prawica wróciła do władzy, jak odniósłaby się do bezprawia, z którym mamy do czynienia? Choćby z nielegalnym przejęciem mediów publicznych i prokuratury?

Gdy wrócimy do władzy, byłbym zwolennikiem dokonania szybkich rozliczeń, są na to paragrafy, procedury. Patologie wypalimy gorącym żelazem. Chcę, żeby ci, którzy dziś czują się bezkarnie, dobrze to zapamiętali. Ale priorytetem musi być przyszłość. Bo kiedy rządzący bawią się w sądy kapturowe, rzeczywistość napiera. Żyjemy w naprawdę niebezpiecznych czasach. Polska tak naprawdę nie ma chwili do stracenia. Dramat polega na tym, że dziś rządzący kompletnie tego nie rozumieją.

*Oskarżanie PiS o to, że jest
partią prorosyjską, wydaje się
tak absurdalne, że aż śmieszne.*

*Jednak w tej strategii
Donalda Tuska nie ma
niczego zabawnego.*

*To operacja na ludzkich
umysłach, której celem
jest trwała eliminacja*

*PiS z polskiego
życia publicznego.*

*Jej konsekwencje dla
bezpieczeństwa
państwa mogą być
bardzo groźne*



Reset mózgów



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Wydawałoby się, że w polskiej polityce nie może być nic bardziej brawurowego od oskarżania PiS o sprzyjanie Rosji. Bo przecież wszystkie fakty temu przeczą. Poczynając od słynnego wystąpienia Lecha Kaczyńskiego na Westerplatte w 2009 r. i katastrofy smoleńskiej rok później, która w trwały sposób ukształtowała myślenie PiS o Rosji, kończąc na

polityce rządu Zjednoczonej Prawicy w latach 2015–2023, która była konsekwencją tego myślenia i doprowadziła do zerwania różnych, przede wszystkim infrastrukturalnych, zależności od Moskwy.

To wtedy uruchomiono terminal gazowy w Świnoujściu, sfinalizowano budowę gazociągu Baltic Pipe i podjęto prace nad elektrowniami jądrowymi oraz CPK – strategicznymi projektami, których realizację zahamował obecny rząd Tuska. Za czasów PiS przywrócono też do życia jednostki wojskowe na ścianie wschodniej, zlikwidowane w ramach polityki resetu uprawianej przez rząd PO-PSL do 2014 r. Dopelnieniem tej polityki była bezprecedensowa pomoc – zarówno w sferze wojskowej, jak i dyplomatycznej

oraz materialnej – udzielona przez Polskę Ukrainie po wybuchu wojny w lutym 2022 r. Tych faktów nikomu nie trzeba bliżej przedstawiać, każdy przytomny człowiek zna je przecież doskonale.

ALTERNATYWNA RZECZYWISTOŚĆ

Zupełnie inaczej zapamiętaliśmy za to politykę Donalda Tuska i jego partii. Była to – jak powiedział on sam, obejmując funkcję szefa rządu w 2007 r. – polityka „dialogu z Rosją, taką jaka ona jest”. Jej ilustracjami mogą być pamiętny spacer po sopockim moście z Putinem w 2009 r. i rzucona mimochodem przez rosyjskiego przywódcę propozycja rozbioru Ukrainy,

Fot. Alamy/Janek Skarzynski/East News

wspólne obchody mordu katyńskiego przez Tuska z Putinem w 2010 r., a potem – już po katastrofie smoleńskiej – oddanie dochodzenia w tej sprawie Rosji. Obrazkiem ilustrującym tę politykę może być również podpisanie długoletniej umowy gazowej z Rosją przez Waldemara Pawlaka w 2010 r. („A co? Panu źle się pali rosyjski gaz w kuchence?”), która zablokowała na lata budowę gazociągu z Norwegii („Mamy ważne kontrakty rosyjskie i my tego norweskiego gazu za dużo nie potrzebujemy”). Wreszcie staje nam przed oczami pijacka biesiada w Kadynach, gdzie Piotr Pytel – dziś naczelny inkwizytor obozu Tuska – podejmował obiadem funkcjonariuszy rosyjskiej FSB.

Porównując te dwa obrazy Polski – fraternizującej się z Rosją za pierwszej kadencji Tuska i odcinającej się od Moskwy za PiS – trudno sobie wyobrazić, że da się je odwrócić o 180 st. i wmawiać, że było zupełnie inaczej. I że to PiS realizował rosyjskie interesy, a Tusk z Platformą bili na alarm.

Oczywiście byli tacy, którzy próbowali takiej sztuki, np. Tomasz Piątek, jednak uważano ich za niegroźnych wariatów. Tymczasem teraz okazuje się, że wizje nakreślone przez wariatów stają się obowiązującą linią obecnego rządu. Dokonuje się operacji resetu mózgów, aby odpalić społeczeństwu alternatywną wizję rzeczywistości, w której Donald Tusk walczy z rosyjskim zagrożeniem personifikowanym przez PiS. To jest tak zuchwałe kłamstwo, że aż trudno uwierzyć, że ktokolwiek, kto jest zdrowy na umyśle, mógłby w nie uwierzyć. Mimo to obecna ekipa twardo brnie w tę hucpę.

Warto więc zastanowić się, jakie motywy mogą za tym stać. Zaczniemy od tych niewinnych, związanych z kampanią wyborczą.

OBROŃCA POLSKI

Zbliżają się wybory europejskie, a Tusk ciągle nie może się pochwalić żadnymi osiągnięciami. To dość niebezpieczna sytuacja dla obecnego obozu władzy, o czym szef rządu mógł się przekonać podczas niedawnych wyborów samorządowych – nie dostał wówczas żadnego kredytu zaufania od obywateli i jego partia musiała się zadowolić drugim miejscem na podium.

Kalendarz wyborczy jest jednak bardzo napięty i niewiele można zdziałać, zwłaszcza że Tusk nigdy nie zamierzał wywiązywać się z obietnic złożonych jesienią, gdy jeszcze walczył o władzę. Pozostaje mu więc – jak to zawsze w jego przypadku bywało – polityczny PR.

Platforma bardzo uważnie analizowała przyczyny popularności PiS w minionych latach (i bardzo jej zazdrościła). Platformerscy spece doszli do wniosku, że PiS wygrywa programem socjalnym, nazywanym złośliwie „przekupywaniem wyborców”, dlatego też wymyślili bujdę pod nazwą 100 konkretów. Ludzie dali się złapać na wędkę, ale dziś już wiadomo, że żadnych „konkretów” nie będzie. Przeciwnie, muszą zaciśnąć pasa i oddać z nawiązką to, co przez lata otrzymali od państwa.

Okazuje się, że wizje nakreślone przez wariatów stają się obowiązującą linią obecnego rządu. Dokonuje się operacji resetu mózgów, aby odpalić alternatywną wizję rzeczywistości

Drugim czynnikiem podbijającym notowania PiS było zagrożenie wojenne, a dokładniej postawa ówczesnie rządzących wobec wojny na Ukrainie. To dość znany mechanizm, gdy w obliczu zagrożenia społeczeństwo mobilizuje się wokół władzy. Platforma uderzająca w PiS podczas ataku hybrydowego na naszą wschodnią granicę mogła liczyć wyłącznie na aplauz skretniających fanatyków i sekundujących im celebrytów. Nic więc dziwnego, że dziś całkowicie odwrócono dawną narrację. Teraz Tusk występuje w roli obrońcy Polaków i całej Unii Europejskiej przed zdziczałymi hordami dżihadystów nasłanych przez Rosję.

Ogłoszony przy tej okazji program Tarca Wschód jako żywo przypomina dawne pisowskie projekty wzmacniania bezpieczeństwa Polski. Nawet nazwa wydaje się

plagiatem. Jednak w odróżnieniu od programów PiS nie mamy żadnej pewności, czy zapowiadana dziś tarcza kiedykolwiek się zmaterializuje.

Mowa jest o budowie nowoczesnego systemu obronnego wzdłuż granicy z Białorusią i Rosją, w którego skład mają wejść drobne fortyfikacje, nowoczesne systemy rozpoznawcze i antydronowe oraz sztuczne bagna i rozlewiska, utrudniające przejście wrogich czołgów. Całość ma kosztować 10 mld zł. Wszystko brzmi dobrze (nawet wyśmiewane powszechnie bagna), ale przecież Tusk obiecywał różne rzeczy. Czy ktoś da gwarancję, że tym razem dotrzyma słowa?

Dlatego wszystko wygląda – przynajmniej na razie – na kolejny zabieg wizerunkowy mający pokazać Tuska jako wojennego przywódcę i jedynego gwaranta bezpieczeństwa Polaków. Towarzyszy temu intensywna propaganda pokazująca PiS jako ekspozyturę rosyjskich interesów w Polsce. Jesteśmy zagrożeni podwójnie – głośzą propagandyści – zza wschodniej granicy oraz tu, w kraju, gdzie mamy piątą kolumnę w postaci PiS. Tusk robi, co może – na granicy stawia nowy, szczelny mur, ale w kraju trzeba mu pomóc, oddając właściwy głos w wyborach. Taki jest przekaz.

ODWRACANIE UWAGI

Wykorzystywanie realnie istniejącego zagrożenia ze strony Rosji do kreowania się w roli obrońcy Polski to tylko jeden z celów Tuska. Warto zwrócić uwagę, że szef rządu ubija na tym kilka innych interesów. Przede wszystkim staje się twarzą wirtualnej kampanii wojennej, spychając w cień swoich koalicjantów (i zarazem potencjalnych rywali) w rodzaju Szymona Hołowni i Władysława Kosiniaka-Kamysza. Próbuje też aspirować do roli przywódcy zagrożonego narodu, co może być punktem wyjścia do ewentualnej kampanii prezydenckiej w przyszłym roku.

Równocześnie taka wojownicza retoryka odwraca uwagę społeczeństwa od ponurej przyszłości, która wkrótce nastanie za sprawą Zielonego Ładu i gigantycznych obciążeń związanych z transformacją klimatyczną. Dzięki temu podczas nadchodzących wyborów europejskich

nie będziemy dyskutować o spadających zarobkach, znikających miejscach pracy czy nowych opłatach wymyślonych przez Unię. Każdy, kto podejmie próbę takiej debaty, zostanie oskarżony o polityczną dywersję i wysługiwanie się Kremlowi. Bo w obliczu zagrożenia ze strony Moskwy musimy się trzymać razem – jako społeczeństwo i jako Unia Europejska.

Unijna oligarchia bardzo się obawia utraty monopolu na władzę. Dlatego obecna retoryka Tuska najprawdopodobniej jest elementem szerszego planu wyeliminowania prawicy z życia politycznego Europy. Pomysł postawienia zapory ogniowej przeciwko AfD, wymyślony jakiś czas temu przez lidera niemieckiej CDU Manfreda Webera, ma być rozciągnięty na każdą partię kontestującą polityczne porządki panujące w Unii, w tym na PiS. Jednak aby zapora była skuteczna, trzeba pozbawić te partie społecznego poparcia. W tym celu unijna oligarchia jest gotowa przejąć część ich postulatów (tak jak Tusk, który nieoczekiwanie stał się przeciwnikiem masowej imigracji), a zarazem uderzyć w te partie zarzutami o prorosyjskość, a więc *de facto* postawić im najcięższy z możliwych zarzutów, jakim jest zdrada. Jeśli ten plan się powiedzie, uda się nie tylko uchronić i zabezpieczyć obecną scenę polityczną Unii przed zmianami, lecz także odsunąć od siebie (i przerzucić na rywala) kompromitujące oskarżenia o wieloletnią kolaborację z Moskwą.

W tym kontekście interesująca jest sprawa portalu Voice of Europe, który miał być finansowany z rosyjskich środków. Portal z siedzibą w Czechach był prowadzony przez Artema Marczewskiego, obywatela Ukrainy i Izraela. Marczewski miał być z kolei współpracownikiem Wiktora Medwedczuka, ukraińskiego oligarchy powiązanego z Putinem i wydalonego do Rosji. Na portalu publikowano eurosceptyczne treści, a na jego łamach pojawiali się politycy partii prawicowych z całej Europy, w tym z Polski. Według medialnych informacji dostawali za to pieniądze.

Portal stał się celem śledztwa prowadzonego przez unijne służby specjalne, w tym przez ABW. Jego siedzibę w Czechach zamknięto, a redakcja przeniosła się na

Słowację. Był również polski odprysk tej sprawy. W jej ramach postawiono zarzuty szpiegostwa na rzecz Rosji mężczyźnie, który miał wykonywać w Polsce „zadania zlecone i finansowane przez współpracowników rosyjskiego wywiadu, obejmujące m.in. działania propagandowe i dezinformacyjne”. Nie podważając prawdziwości tych zarzutów, trudno nie dostrzec, że sprawa ma szersze tło. Łatwo jest bowiem powiązać osoby występujące na wspomnianym portalu z Rosją. Wystarczy wykazać, że otrzymywały wynagrodzenie pochodzące z moskiewskich źródeł (choć zapewne nie miały one pojęcia o ich pochodzeniu). Ikoło się zamyka. Pójdzie przekaz: europejską prawicę finansuje Moskwa.

Polityka Tuska może doprowadzić do tego, że już nikt nigdy nie potraktuje poważnie zarzutów o sprzyjanie Moskwie. I na tym polega największe ryzyko związane z jego krucjatą przeciw PiS

PLATFORMA NA WIEKI

W ten sposób dochodzimy do chyba najgroźniejszego celu strategii Tuska. Chodzi o trwałą eliminację PiS z polskiej polityki i o zabetonowanie obecnego układu rządzącego u władzy.

W ostatnią środę Borys Budka został zapytany w reżimowej TVP, czy wyobraża sobie delegalizację PiS, „gdyby okazało się, że w tej układance jest jakieś sterowanie z Moskwy”. „Oczywiście. Ja sobie wyobrażam taki wniosek” – odpowiedział Budka. Oczywiście nie jest on żadnym strategiem, to raczej typ karierowicza lojalnie podążającego za wodzem, ale właśnie dlatego można sądzić, że powtarza opinie ważniejszych od siebie, w tym samego Tuska.

O tym, że premier chciałby rozprawić się z PiS raz na zawsze – i że to jest w tej chwili jego główny cel polityczny – pisano nawet w mediach zaprzyjaźnionych

z PO. Powołanie, a raczej przywrócenie komisji ds. wpływów rosyjskich, tyle że pod kontrolą ludzi Tuska, może być pierwszym etapem na tej drodze. Dość wyraźny jest przy tym motyw osobistej zemsty. Szef rządu, nie czekając na żadne, nawet pozorne ustalenia komisji, mówi wprost, w którą stronę pójdzie pierwsze uderzenie („pętla informacji, które gromadzimy, zaciska się wokół Antoniego Macierewicza”).

Wiadomo, że Macierewicz i jego współpracownicy dość ostro wypowiadali się o roli Tuska w kwestiach dotyczących katastrofy smoleńskiej. Szef rządu zapamiętał również serial „Reset”, w którym wypunktowano jego politykę wobec Ro-

sji w czasach, gdy po raz pierwszy był premierem. Prawdopodobnie wyczuł teraz okazję do odegrania się i uderzenia w swoich krytyków najcięższymi zarzutami.

Jeżeli ta operacja się powiedzie, Tusk wykona kolejny krok w stronę budowy represyjnego systemu, w którym nie ma miejsca na poglądy odbiegające od oficjalnej linii. Taki system, w którym zostaną zachowane jedynie zewnętrzne atrybuty demokracji (np. głosowanie bez możliwości realnego wyboru), jest dziś budowany w całej Unii, a realnie istniejące zagrożenie ze strony Rosji zostało instrumentalnie wykorzystywane do brutalnej rozprawy z polityczną konkurencją.

To, czy ten plan się powiedzie, w dużym stopniu zależy od kilku czynników, m.in. odporności społeczeństwa na propagandę (a z tym bywa różnie), a także od jego wytrzymalności na antyspołeczną politykę prowadzoną w ramach Zielonego Ładu (tu są większe nadzieje).

Jednak nawet gdyby nie udało się dokonać operacji resetu mózgowi i przekonać Polaków do szalonej wizji PiS jako piątej kolumny Putina, to i tak bezpieczeństwo państwa mocno ucierpi na hucpie rozpętanej dziś przez Tuska. Jego polityka może bowiem doprowadzić do tego, że już nikt nie potraktuje poważnie zarzutów o sprzyjanie Moskwie. Bo gdy na hasło „Łap rosyjskiego szpiega” wreszemy tylko ramionami, prawdziwi agenci Moskwy zaczną działać bezkarnie. I na tym polega największe ryzyko związane z krucjatą Tuska przeciw PiS.

Ten rząd powinien nas przeprosić

Zapowiedź powołania komisji ds. badania wpływów rosyjskich i białoruskich to próba ucieczki Donalda Tuska od odpowiedzialności za reset

*Z szefem klubu parlamentarnego Prawa i Sprawiedliwości, byłym ministrem obrony narodowej, **Mariuszem Błaszczakiem**, rozmawia Dorota Łosiewicz*

Prezydent Andrzej Duda pochwalił wicepremiera i ministra obrony Władysława Kosiniaka-Kamysza za kontynuację polityki Prawa i Sprawiedliwości po jego sejmowym wystąpieniu na temat bezpieczeństwa. Też pan tak zinterpretował to exposé?

Mariusz Błaszczak: Pan prezydent podkreślił część tego wystąpienia. Miałem odczucie, że minister Kosiniak-Kamysz obawia się powiedzenia wprost, że to, co zrobiło Prawo i Sprawiedliwość, było dobre i korzystne. A kogo się obawia? Oczywiście Donalda Tuska. Z jednej więc strony

mówił o kontynuacji programu PiS i moich działań, nie przedstawiając żadnych własnych propozycji, z drugiej zaś, żeby nie podpaść Tusкови krytykował rząd Zjednoczonej Prawicy. Dlatego zapytałem z mównicy sejmowej, czy jest dobrze, czy wręcz przeciwnie.

Bezpieczeństwo Polski ponad podziałami – czy to możliwe?

To byłaby sytuacja idealna. Jednak ci, którzy dziś rządzą Polską, kiedy sprawowali władzę do 2015 r., osłabiali Wojsko Polskie, likwidując jednostki. Zniknęło wówczas ponad 600 jednostek organizacyjnych WP, w tym 1. Warszawska Dywizja Zmechanizowana im. Tadeusza Kościuszki. Szczególnie likwidowano jednostki na wschód od Wisły. Wyposażenie było postsowieckie. To rząd PiS zapewnił przezbrojenie wojska w nowoczesny sprzęt polski, amerykański i koreański. To wszystko jednak obecnej ekipie nie przejdzie przez gardło. Jak pewnie nie przejdą im przez gardło przeprosiny, które nam się należą. Władysław Kosiniak-Kamysz powinien przeprosić za atak na WOT, a tylko lekko uderzył się w piersi. Powinien też przeprosić za swoich koalicjantów, polityków PO, którzy jeździli na granicę polsko-białoruską, gdy ta była atakowana przy użyciu migrantów. Ówczesna opozycja, a dziś rządzący, próbowali wymóc na służbach wpuszczanie migrantów wykorzystywanych jako broń przez reżim Łukaszenki, a cały plan ataku powstał na Kremlu, nie mieliśmy co do tego wątpliwości. Gdyby padło słowo „przepraszam”, wiedzielibyśmy, że mówienie o współpracy ponad podziałami jest szczere, podobnie jak zapowiedzi kontynuowania naszej polityki. Politycy PO wielokrotnie oszukiwali w kampanii, może więc i teraz oszukują na potrzeby wyborów do Parlamentu Europejskiego. Paliwo miało być po 5,19 zł, tymczasem na autostradzie trzeba zapłacić ponad 7 zł. Ta koalicja ma problem z wiarygodnością.

Mówi pan o granicy z Białorusią. Premier Tusk i rząd zmienili zdanie w sprawie zapory na wschodniej granicy. Słyszymy, że będzie umacniana, możliwe nawet, że powstanie drugi rząd zapory, a szef MSWiA Marcin Kierwiński twierdzi dziś, że nie kłaskał na filmie Agnieszki Holland „Zielona granica”. Skąd ta zmiana?

Podejrzewam, że ma charakter wyborczy, ale my mówimy: „Sprawdzam”. Przecież wzmacnianie

Gdyby padło słowo „przepraszam”, wiedzielibyśmy, że mówienie o współpracy ponad podziałami jest szczere, podobnie jak zapowiedzi nowej władzy kontynuowania naszej polityki w sferze bezpieczeństwa

wschodniej granicy to program PiS. Kiedy to robiliśmy, oni protestowali, uderzali w rząd i służby. Nie bez powodu powstała akcja „Murem za polskim mundurem”. To był sprzeciw wobec oszczerstw miotanych pod adresem obrońców granicy. A robili to przecież i politycy PO, i celebryci wspierający Platformę. Granicę oczywiście wciąż trzeba wzmacniać, dlatego złożyliśmy do laski marszałkowskiej dwa projekty ustaw i projekt uchwały, które mają na celu wzmacnianie polityki odstraszania. Po pierwsze, ustawę, która zakłada wzrost wydatków na obronność do 5 proc. jeszcze w tym roku. Udowodniliśmy, że można je zwiększyć z 2 proc. na ponad 4 proc. Ale muszą być one jeszcze wyższe. Przed końcem zimnej wojny państwa NATO przeznaczały na obronność niemal 6 proc. PKB. Druga ustawa dotyczy postawienia zapory na gra-

nicy z Rosją, z obwodem królewieckim. Trzeba ją zbudować. Za czasów mojego urzędowania zostały zgromadzone zapory przeciwpancerne i ustawione na drogach, tak by stanowiły przeszkodę na wypadek ataku. Ale potrzebna jest stała bariera. Trzeci projekt dotyczy uchwały, która zobowiązuje rząd do tego, by podjął starania o włączenie Polski do programu nuclear sharing. Ulokowanie na terenie naszego kraju ładunków jądrowych odstraszaloby agresora.

Premier Tusk i wicepremier Kosiniak-Kamysz twierdzą, że podobno dopiero teraz są dowody na to, że całą akcję hybrydową na granicy z Białorusią organizuje Rosja.

Wolne żarty. Od początku było wiadomo, kto za tym stoi. To dowód hipokryzji, a nie naiwności. Występowania przeciw zaporze i atak na obrońców granicy miał doprowadzić do zmiany rządu. Przecież Donald Tusk urzeczyścił unieważniał referendum, w którym było m.in. pytanie o zaporę. Skutecznie zniechęcił Polaków, by się wypowiedzieli w tej sprawie. To dowód na hipokryzję dzisiejszej ekipy i na całkowity brak wiarygodności. Dziś mówią jedno, jutro coś zupełnie innego. Powtarzają to, co usłyszą w Berlinie i Brukseli.

Pomówmy o projekcie Tarcza Wschód. Ma odstraszac, a także służyć obronie w razie ataku. Czy znamy konkrety tego planu? Z kontroli poselskiej w MON wynika, że na razie brak szczegółów. Czy PiS poprze ten projekt?

Faktycznie, na papierze projekt na razie nie istnieje. Nie ma nawet uchwały Rady Ministrów w tej sprawie, nie ma planów. Słyszymy, że na ten cel ma zostać przeznaczonych 10 mld zł, ale nie wiemy, skąd mają pochodzić te środki i w jakim czasie mają zostać wydane. Posłowie podczas kontroli usłyszeli, że chodzi o środki na dziesięć lat, ale brakuje szczegółów. Odchodząc z MON,

zostawiłem niejawną dokument przygotowany przez Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych na temat militarnego wzmocnienia zarówno granicy z Białorusią, jak i z Rosją. Zostawiliśmy także pobudowaną zaporę, to była inwestycja MSWiA. Zostało zgrupowanie wojskowe, które jest zlokalizowane na wschód od Wisły, przy granicy, i ma wspierać Straż Graniczną. Jeśli te przedsięwzięcia naszego rządu będą kontynuowane, to dobrze, a jeśli będziemy tylko słyszeli opowieści o tym, co ma być zrobione, to źle.

A co z obroną cywilną? Wicepremier Kosiniak-Kamysz wystosował pod adresem rządu PiS akt oskarżenia, że ten temat został całkiem zaniedbany.

Obrona cywilna w ogóle nie istniała. Była jedynie zapisana w ustawie o powszechnym obowiązku obrony z 1967 r. Samorządy były zobligowane do tego, by przygotować schrony, ale nie wywiązywały się z tego obowiązku. Tak zresztą odbieram konferencję Rafała Trzaskowskiego z kampanii samorządowej – jako próbę ucieczki od odpowiedzialności w związku z tym, czego nie zrobił jako prezydent stolicy właśnie w sprawie obrony cywilnej. Ustawę z 1967 r. zastąpiła ustawa o obronie ojczyzny i weszła w życie. A w MSWiA powstała druga ustawa – właśnie o obronie cywilnej. Prace nad nią trwały dość długo, bo wymagały wielu uzgodnień z samorządami. Nie zdążyliśmy przesłać tego projektu do Sejmu. A teraz jako klub PiS złożyliśmy tożsamy projekt. Na razie jednak trafił do nieistniejącej, uśmiechniętej zamrażarki Szymona Hołowni. Koalicja 13 grudnia obiecywała, że ich projekt o obronie cywilnej jeszcze w maju trafi do Sejmu, a póki co nie został nawet przyjęty przez rząd. Po raz kolejny ich słowa okazały się zwykłym oszustwem.

Donald Tusk informuje, że europejska żelazna kopuła posuwa się na przód. Podpisano umowę z Europej-

skim Bankiem Inwestycyjnym, która opiewa na 300 mln euro na polski program satelitarny. Czy w tym wszystkim nie grozi nam zaniedbanie polskiej tarczy antyrakietowej?

Zaczniemy od tego, że starania o kredyt z EBI rozpoczął nasz rząd. Dwa zestawy satelitarne zostały zamówione w grudniu 2022 r. na podstawie umowy zawartej z ministrem

Złożyliśmy dwa projekty ustaw i projekt uchwały, które mają na celu wzmacnianie polityki odstraszania. Jedna z ustaw dotyczy postawienia zapory na granicy z Rosją, z obwodem królewieckim. Trzeba ją zbudować

obrony Francji, który odwiedził Polskę. Ze względu na biurokratyczne procedury dopiero teraz sfinalizowana została umowa na finansowanie tego przedsięwzięcia. Jest to możliwe w ramach EBI, ponieważ satelity są narzędziami podwójnego wykorzystania – można ich użyć na potrzeby wojskowe i cywilne. Polska od lat konsekwentnie buduje wielowarstwowy system obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej. Elementy tego systemu już są. Polskiego nieba bronią wyrzutnie Patriot i zestawy Sky Sabre. Minister Kosiniak-Kamysz podczas sejmowego wystąpienia dziękował sekretarzowi obrony Zjednoczonego Królestwa za to, że brytyjski rząd zdecydował się na przedłużenie obecności tych zestawów w Polsce. Ale one trafiły tu dużo wcześniej i to ja powinienem podziękować mojemu odpowiednikowi Benowi Wallace'owi, że te zestawy pojawiły się na polskiej ziemi. Ale mamy też już podobne polskie, osadzone na

ciężarówkach Jelcz, z identycznymi wyrzutniami i rakietami CAMM. To część polskiego programu Narew.

Narew jest jednym z trzech poziomów polskiej tarczy antyrakietowej. Są jeszcze Wisła i Pilica. Systemy muszą stać się kompatybilne. Czy inwestycja w europejską żelazną kopułę nie opóźni tego projektu?

W porozumieniu z Amerykanami i Brytyjczykami budujemy wszystkie te elementy tarczy antyrakietowej i nie stać nas teraz na realizację dwóch systemów. Jeżeli rząd wynegocjuje możliwość włączenia naszego systemu w ten europejski, który ma powstać w przyszłości, to bardzo dobrze, ale musimy się przede wszystkim skoncentrować na tym, co mamy tu i teraz, a nie na kampanijnych mrzonkach. Zarzucenie tego projektu byłoby gigantycznym błędem. Pozyskaliliśmy też od USA system IBCS [ang. Integrated Air and Missile Defense Battle Command System].

Umowę podpisałem w marcu 2018 r. Ten system to mózg całego przedsięwzięcia. Mogą w nim operować samoloty F-35 (pierwsze egzemplarze zamówione w 2020 r. pojawią się jeszcze w tym roku), czołgi Abrams, które już mamy, a dotrą kolejne, i śmigłowce bojowe Apache, które też mam nadzieję, że trafią do Polski, trzeba bowiem sfinalizować umowę wykonawczą w tej sprawie. Wtedy zbudujemy rzeczywiście zaporę, która będzie nie do przebicia. I to na wschodniej granicy, a nie na Wiśle, w ramach odtworzonej 18. Dywizji Zmechanizowanej, zamykającej Bramę Brzeską, czyli równinę, która była wykorzystana w 1920 r. do ataku na Polskę.

Czy Europa może być bezpieczna bez USA?

Bezpieczeństwo Europy nie jest możliwe bez Stanów Zjednoczonych. Próba wypychania USA z Europy jest złą strategią, a z tym mamy do czynienia, gdy snuje się wizje alternatywne dla NATO. Sojusz Północnoatlantycki został

powołany do zapewnienia bezpieczeństwa transatlantyckiego. Ten pakt świetnie funkcjonuje od 1949 r. To najsilniejszy sojusz militarny na świecie i nie wolno go podkopywać europejskimi przedsięwzięciami o konkurencyjnym charakterze. To zagraża bezpieczeństwu Polski i Europy. A jak do tego dorzucimy antyamerykańską politykę Donalda Tuska, której przejawem jest atak na republikanów, to robi się nieprzyjemnie. To jest działanie na szkodę naszego kraju. W listopadzie br. w USA odbywają się wybory, a premier Polski wpisał się w wewnętrzny spór w tym kraju, krytykując republikanów. Rząd PiS budował sojusz ze Stanami Zjednoczonymi, w efekcie mamy w Polsce na stałe wojska amerykańskie, a armia USA to najsilniejsza armia na świecie.

Tymczasem Komisja Europejska chciałaby, aby kraje członkowskie oddały obronność pod wyłączną jurysdykcję Unii Europejskiej. Taką zmianę w traktatach zaplanowano. Jak pan ocenia ten plan?

Bardzo krytycznie. To fatalny pomysł i realna groźba dla bezpieczeństwa Polski. Z punktu widzenia Berlina obrona Białostoczczyzny czy Suwalszczyzny nie ma znaczenia, a z punktu widzenia Warszawy jest fundamentalna. Poza tym UE nie ma potencjału obronnego. Mają go Stany Zjednoczone. Ważne jest też podejście Niemiec do geopolityki i obrony. Gdy w 2022 r. Rosja po raz drugi napadła na Ukrainę, Niemcy przekazali temu krajowi 5 tys. helmów, a ówczesny rząd polski realną i skuteczną broń, dzięki której Ukraińcy się obronili.

Jednak obecny rząd próbuje przekonać Polaków, że to PiS jest prorosyjskie.

Przecież gdy rząd Tuska przeprowadzał reset, nazywano nas rusofobami. A to się działo w czasach, gdy Putin zaczął odbudować swoje imperium. Rusofobem był nazywany Lech Kaczyński po swoim historycznym wy-

stąpieniu w sierpniu 2008 r. w Tbilisi, gdy mówił: „Dziś Gruzja, jutro Ukraina, potem państwa nadbałtyckie, a potem być może Polska”. Rusofobami nazywali nas po zamachu smoleńskim, kiedy dopominaliśmy się o sprawiedliwość, powrót wraku do Polski, który Rosji oddał rząd Tuska do czasu za-

W porozumieniu z Amerykanami i Brytyjczykami budujemy wszystkie elementy polskiej tarczy antyrakietowej i nie stać nas teraz na realizację dwóch systemów. Musimy się skoncentrować na tym, co mamy tu i teraz, a nie na kampanijnych mrzonkach

kończenia rosyjskiego śledztwa. A dziś zastępcą szefa SKW jest płk Krzysztof Dusza. Ten sam człowiek, który w czasach resetu negocjował umowę SKW z FSB, czyli następczynią KGB.

Skoro wywołuje pan Smoleńsk, to Władysław Kosiniak-Kamysz zapowiedział raport kończący pracę komisji Antoniego Macierewicza. Ma zostać powołany zespół ekspertów, który skończy pracę tego gremium. Czego pan się spodziewa?

Niczego dobrego, bowiem ta informacja została przekazana w formie ataku. Kłamstwo smoleńskie było jednym z elementów spajających ówczesną opozycję w drodze do przejęcia władzy, więc raczej nie zmienią kierunku.

Premier wydał zarządzenie w sprawie powołania komisji ds. badania wpływów rosyjskich i białoruskich. Jej szefem zostanie szef SKW gen. Jarosław Stróżyk. Co ujawni ta komisja?

Szef SKW był aktywny politycznie, kiedy rządziło PiS. Był on aktywny w fundacji, na czele której stał obecny senator koalicji rządzącej Mirosław Różański. Zastępcą gen. Stróżyka jest płk Dusza, o którym już mówiłem. Całe to przedsięwzięcie widzę jako formę przeciwdziałania tym wszystkim faktom, które zdążyła ujawnić komisja parlamentarna, na której czele stał prof. Sławomir Cenckiewicz. Chodzi tu o próbę ucieczki od odpowiedzialności za reset.

Szef MON zapowiedział w Sejmie kontynuację kontraktów, m.in. koreańskich. Niedawno polska delegacja rządowej wróciła z Korei Południowej. Podpisano umowę m.in. na zakup 72 modułów wyrzutni rakietowych HOMAR-K. Jak pan ocenia ten zakup?

Dobrze, że ta umowa została podpisana. Teraz na podpisanie czeka umowa na 640 czołgów K2PL – tu na razie nie słyhać konkretów. Czekają również umowy na 212 armatohaubic K9, w jej ramach zapewniony jest także transfer technologii przy produkcji amunicji 155 mm. Czekają umowy na 152 sztuki armatohaubic Krab, wyprodukowanych przez Hutę Stalowa Wola. Czekają umowy na 96 śmigłowców Apache. Te uderzeniowe śmigłowce są niezwykle ważne i stanowią odstraszający element współpracy z czołgami Abrams. Czekają cały zestaw umów.

A Polska Grupa Zbrojeniowa czeka na finansowanie, bo bez tego ani rusz. Rząd PiS przekazał tylko część wsparcia.

Niepokoje się, że w białej księdze finansów, która powstała w resorcie kierowanym przez Andrzeja Domańskiego, pojawia się stwierdzenie, że zagrożone jest finansowanie Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych. Emituje on obligacje, stanowi dodatkowe źródło środków na realizację przedsięwzięć obronnych – to ok. 50 mld zł. Obawiam się, że po wyborach usłyszymy, że nie ma pieniędzy na wydatki obronne. 

Zaniechanie budowy CPK to igranie z bezpieczeństwem Polski

Od sprawności i wydolności naszego systemu transportowego będzie zależać to, czy w razie konfliktu będziemy w stanie skutecznie się obronić

W ub. tygodniu na rosyjskim oficjalnym portalu publikującym projekty aktów prawnych znalazła się propozycja ustawy zmieniającej granice Federacji Rosyjskiej na Bałtyku. Jak stwierdzono w dokumencie, linia wyznaczająca rosyjskie wody terytorialne „nie w pełni odpowiada aktualnej sytuacji geograficznej” i należy ją wytyczyć na nowo, oczywiście poszerzając szerokość akwenu należącego do Moskali. Zaproponowane zmiany miały dotyczyć rosyjskiej granicy morskiej w Zatoce Fińskiej i nieopodal Bałtyjska, dużego portu wojennego znajdującego się w obwodzie królewieckim. Dzień później projekt z niewyjaśnionych przyczyn został wycofany, ale Pieskow, rzecznik Kremla, na konferencji prasowej oświadczył, że w związku z napięciem w basenie Morza Bałtyckiego jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, nawet naturalną, że „odpowiednie resorty podejmują niezbędne kroki w celu zapewnienia naszego bezpieczeństwa”. Sprawa nie jest zatem jeszcze zakończona, a zaniepokojone rządy państw bałtyckich w trybie pilnym poprosiły o zwołanie narady sojuszników.

To nie pierwszy w ostatnich dniach sygnał świadczący o tym, że na Kremlu wcale nie uważa się, aby Bałtyk był „NATO-wskim morzem” i rywalizacja o kontrolę nad tym akwenem dopiero się zaczyna. Gen. Micael Bydén, naczelny dowódca Szwedzkich



MAREK BUDZISZ

Sił Zbrojnych, powiedział w wywiadzie dla niemieckiej stacji radiowej RND, że „Putin przygląda się Gotlandii”, podobnie zresztą jak należącemu do Finlandii Wyspom Alandzkim. W jego opinii ze względu na przebieg tras żeglugowych „ten, kto kontroluje Gotlandię, kontroluje Bałtyk”. Kilkanaście dni temu Elisabeth Braw, ekspert Atlantic Council, zwróciła uwagę na zastanawiające ruchy ro-

syjskiej floty statków handlowych i tankowców właśnie wokół Gotlandii. Niepokojąca jest zarówno ich koncentracja, jak i to, że, jak zauważyli Szwedzi, są to jednostki wyposażone w aparaturę nieinstalowaną zwykle na jednostkach handlowych. Może to świadczyć o tym, że zbierają one dane o ukształtowaniu linii brzegowej, dna morskiego czy przebiegu infrastruktury krytycznej.

Lauri Soini, przewodniczący komitetu ds. bezpieczeństwa fińskiego stowarzyszenia pilotów, powiedział w tym samym czasie Agencji Reutera, że od pół roku w rejonie Morza Bałtyckiego „nasiliły się” problemy z sygnałem GPS. Minister spraw zagranicznych Estonii oficjalnie oskarżył Moskwę o „zagłuszanie sygnału” zaraz po tym, jak fińskie linie lotnicze Finair, powołując się na problemy z radiolokacją, poinformowały o zawieszeniu połączenia między Helsinkami a estońskim Tartu.

WAŻNY SYSTEM TRANSPORTOWY

Jeśli w tych wszystkich podejrzanych działaniach upatrywać jakiejś logiki, to wydaje się, że jeśli kryzys się rozpocznie, rosyjscy wojskowi przygotowują się do zakłócania żeglugi zarówno morskiej, jak i powietrznej w obrębie Morza Bałtyckiego. Jest to o tyle istotne, że wraz z wejściem Finlandii i Szwecji do NATO zmieniła się sytuacja strategiczna Bałtów. Do tej pory państwa te ze względu na ich położenie były uważane przez amerykańskich wojskowych za „nie do obrony”. Chodziło o system zaopatrzenia w czasie ewentualnej wojny i drogi, którymi na wschód mogłyby dotrzeć posiłki. Jeśli wykluczyć szlaki morskie, których znaczenie po rozszerzeniu Paktu Północnoatlantyckiego wzrosło, to pozostają jedyną trasę lądową prowadzącą przez tzw. przesmyk suwalski, od lat umieszczany na czele listy najbardziej zagrożonych rosyjskim uderzeniem miejsc w Europie.

Ale oczywiście sytuacja na Bałtyku to nie wyłącznie zmartwienie Skandynawów i Bałtów. Zaopatrzenie niezbędne, aby funkcjonowała gospodarka, dociera przez ten akwen również do Polski i utrzymanie nad nim kontroli, także po to, aby szybko przybyła pomoc wojskowa, może być jednym z kluczowych wyzwań w czasie wojny.

To, co robią ostatnio Rosjanie, wskazuje na jeszcze jedno. System transportu, zarówno morskiego, jak i lądowego, będzie pierwszym celem ich ataku. Już obecnie sprawdzają jego wydolność, szukając słabych punktów. W kwietniu br. Martin Kupka, czeski minister transportu, oskarżył Rosję o to, że podejmuje ona działania mające na celu destabilizację europejskiego transportu kolejowego. W ostatnim czasie w państwach Unii Europejskiej odnotowuje się rosnącą liczbę ataków hakerskich, za którymi, zdaniem czeskiego polityka, stoją rosyjskie służby i których celem jest destabilizacja – zakłócenie pracy systemów kierowania ruchem, kupowania biletów czy kolejowego systemu energetycznego. W kwietniu doszło do awarii systemu kierowania ruchem kolejowym w Warszawie, w tym samym czasie z podobnym przypadkiem mieliśmy do czynienia w Łodzi, a wcześniej we Wrocławiu.

To oczywiście może być przypadek, choć każde takie wydarzenie warto analizować i pamiętać o tym, co powiedział gen. John J. Pershing, który zauważył, że „piechota wygrywa bitwy, logistyka wygrywa wojny”. Innymi słowy – od sprawności i wydolności naszego systemu transportowego zależy to, czy w razie konfliktu będziemy w stanie skutecznie się obronić.

Sprawni i wydolny system transportowy to jednak nie tylko niezbędny warunek zwycięstwa w ewentualnej wojnie, lecz także czynnik, od którego może zależeć, czy konflikt w ogóle wybuchnie. Na szczycie NATO w Madrycie w 2022 r. sojusznicy podjęli decyzję o budowie 300-tys. sił, które w sytuacji zagrożenia miałyby zdolność szybkiego wejścia do działania. Z tego 100 tys.

odpowiednio uzbrojonych żołnierzy musi być gotowe do realizacji zaplanowanych operacji w terminie do 10 dni od otrzymania takiego rozkazu, a 200 tys. w czasie kolejnych 20 dni. Dodatkowo NATO na czas wojny wymaga również zdolności wysłania i rozlokowania w czasie 180 dni kolejnych 500 tys. żołnierzy.

SCENARIUSZ WOJENNY

Ze względu na położenie geograficzne i długą granicę z Rosją oraz Białorusią Polska stała się „punktem ciężkości” (center of gravity) NATO-wskiego systemu obrony wschodniej flanki. Podobną rolę odgrywały w Sojuszu w czasie zimnej wojny Niemcy Zachodnie, teraz ta rola przypadła nam. Z powodu położenia Polska jest też kluczowym hubem zaopatrzenia

Ukrainy, co wyraźnie widać, kiedy obserwujemy znaczenie, jakie odgrywa lotnisko Jasionka. Upraszczając – to w niemalym stopniu od Polski zależy, czy siły Sojuszu Północnoatlantyckiego dotrą do państw bałtyckich, co ma wpływ na naszą pozycję w NATO, lecz przede wszystkim buduje wiarygodność sojusznicy. Od tego, jak prędko siły szybkiego reagowania dotrą w rejon zagrożenia, może też zależeć, czy Rosjanie w ogóle zdecydują się rozpocząć wrogie działania.

Jednym z często analizowanych przez NATO-wskich wojskowych scenariuszy jest ten, który przewiduje, że mogą oni, wykorzystując

chwilową przewagę liczebną, dokonać „mniejszego wtargnięcia”, zając jakiś obszar państwa Sojuszu, może nawet przesmyk suwalski, uderzając od strony Białorusi na Litwę i nasze Suwałki, a potem, zanim dotrą posiłki, zbudować system umocnień i zagrozić uderzeniem przy użyciu taktycznej broni jądrowej, która będzie w stanie niszczyć obiekty wielkości dużego stadionu. Nie można im zatem pozwolić, aby nawet czasowo i odcinkowo osiągnęli oni przewagę, a to oznacza konieczność zbudowania nowoczesnego i wydolnego systemu transportowego.

Wyobraźmy sobie sytuację kryzysową. Rosjanie atakują. Oznacza to zarówno próbę blokowania Bałtyku, jak i uderzenia na cele lądowe, w tym infrastrukturę transportową. Drogi natychmiast się zapychają, bo Polacy, nie wiedząc, jak się zachować, pakują się i swój dobytek do samochodów, próbując uciec na Zachód. W drugą stronę przemieszcza się wojsko, w tym nasi sojusznicy. Tysiące transportów, bo jedna brygada ma ok. 1,4 tys. pojazdów i dodatkowe 500 kontenerów podstawowego zaopatrzenia. Wzmocniona brygada NATO liczy ok. 3,6 tys. żołnierzy, co oznacza, że w czasie pierwszych siedmiu dni od wydania rozkazu, a takie są założenia europejskiego dowództwa Paktu Północnoatlantyckiego, w rejon konfliktu będzie musiało dotrzeć nawet 27 brygad. Jak tego dokonają, jeśli drogi będą zablokowane uciekającą albo w planowy sposób ewakuowaną ludnością cywilną? Na dodatek w związku z zagłuszaniem sygnału GPS nieznający Polski kierowcy będą mieli problemy ze znalezieniem najlepszej drogi.

Deklaracje o rozbudowie Okęcia, lotniska otoczonego dzielnicami mieszkaniowymi, i inwestowania w Modlin z punktu widzenia potrzeb bezpieczeństwa nie brzmią poważnie i już obecnie osłabiają siłę odstraszania Rosji

Przed wybuchem wojny kluczowe znaczenie w takiej sytuacji będzie miał transport lotniczy, a po jej wybuchu – kolejowy. Doświadczenie Ukrainy też winno skłonić nas do wniosku, że sprawny system transportu kolejowego jest warunkiem skutecznego oporu i zdolności do wygrania wojny. Nie bez powodu na okupowanych terenach południa Ukrainy Rosjanie od zera zbudowali linię kolejową, aby usprawnić w ten sposób swój system zaopatrzenia. A co robią Polacy?

SABOTOWANIE CPK

Rząd Donalda Tuska właśnie zrezygnował z inwestycji w rozwój sieci kolejowej, która była związana z Centralnym Portem Komunikacyjnym, w tym o strategicznym znaczeniu rozbudowę i modernizację szlaków wiodących na północny wschód. Przyszłość samego portu lotniczego też rysuje się niepewnie. Deklaracje o rozbudowie Okęcia, lotniska otoczonego dzielnicami mieszkaniowymi, i inwestowania w Modlin z punktu widzenia potrzeb bezpieczeństwa nie brzmią poważnie i już obecnie osłabiają siłę odstraszania Rosji.

Dlaczego? Powód jest oczywisty. Okęcie jest słabo skomunikowane z resztą Polski kolejowo i drogowo, co oznacza, że przerzut wojsk szybkiego reagowania za pośrednictwem tego portu jest mitem. Gen. Ben Hodges, były dowódca sił NATO w Europie i jeden z głównych doradców NATO ds. logistyki, powiedział niedawno w Wilnie, czym zmroził Litwinów, że w obecnych realiach pomoc na wschodnią flankę dotrze najwcześniej po dwóch tygodniach i tyle czasu walczący będą zdani wyłącznie na własne siły.

Jeśli mówimy o systemie logistycznym, musimy brać zatem pod uwagę wszystko, czyli lotniska, linie kolejowe, porty i drogi. Nowoczesny, sprawny system komunikacyjny musi gwarantować, że wojsko dotrze w rejon działania szybciej niż teraz.

Ale jest jeszcze jeden aspekt problemu, o którym ministrowie rządu Donalda Tuska nie mówią. Otóż jeśli coś się zacznie na wschodzie, a może na granicach Polski i nasi sojusznicy zaczną przysyłać nam żołnierzy oraz sprzęt, musimy mieć świadomość, że liczenie na krótką wojnę jest naiwnością. Przez pierwsze 10 dni przez Polskę ma przejechać 100 tys. żołnierzy, przez kolejne 21 – 200 tys., a w ciągu następnych 180 dni – 500 tys. Przez pierwsze siedem dni przez Polskę ma przejechać 100 tys. żołnierzy, dołowo 500 tys. Zaryzykuję tezę, że w czasie konfliktu zbrojnego cały nasz system transportowy, w obecnym jego kształcie, będzie przeciążony i zmuszony do funkcjonowania na granicy wytrzymałości, nawet jeśli nie założymy rosyjskich ataków na węzły komunikacyjne. A co z gospodarką? Stanie? Zatrzymamy ją na sześć miesięcy, bo nie będziemy w stanie dowieźć zaopatrzenia? A jak wyżyjemy 3-mln aglomerację warszawską?

Politycy rządzącej koalicji argumentują, że CPK może być celem ataków rakietowych i też może nie być w stanie pełnić swojej roli. Tyle że w jeszcze większym stopniu celem ataku stanie się położony na lewym brzegu Wisły Modlin, nie mówiąc już o Okęciu. Wielowarstwowa obrona przeciwrakietowa, systemy Wisła–Narew–Pilica jest w stanie znacznie skuteczniej chronić jeden obiekt zlokalizowany lepiej, bo oddalony o kilkadziesiąt kilometrów i oddzielony dużą rzeką, niż dwa małe lotniska, z których jedno, w Warszawie, jest otoczone

dzielnicami mieszkaniowymi, co przecież oznacza wystawienie ludności na ryzyko rosyjskich uderzeń rakietowych.

Amerykańscy eksperci wojskowi analizujący model rosyjskiej agresji zauważyli, iż Moskale niemal zawsze zaczynają od próby wysadzenia desantu i zajęcia lotniska. Tak zrobili w podkijowskim Hostomlu, podobnie działali jeszcze za czasów Jelcyna w Serbii, nie mówiąc już o inwazji na Czechosłowację w 1968 r. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, aby odpowiedzieć sobie na pytanie, czy z tego punktu widzenia bezpieczniej zlokalizowany jest Modlin, czy CPK.

Podsumujmy. Odsunięcie w czasie budowy CPK oznacza, że zdolność NATO do przerzucenia sił szybkiego reagowania, a mówimy o czasie pokoju, będzie mniejsza. Prowadzi to do zmniejszenia siły odstraszania i wzrostu ryzyka wojny. Jeśli ta wybuchnie, to bez nowoczesnego systemu transportowego Polska stanie, nie będziemy mogli odpowiednio szybko dyslokować wojska i sprzętu, pojawiają się problemy z ich zaopatrzeniem, a w miastach zaczną pustoszeć półki sklepowe, nie mówiąc już o sytuacji w fabrykach pozbawionych dostaw kooperacyjnych.

W planie politycznym zaniechanie budowy CPK może też oznaczać, że Rosjanie osiągną swe cele strategiczne związane ze scenariuszem „mniejszego wtargnięcia”. Jeśli zatem mamy zamiar wydać 10 mld zł na umocnienie naszej wschodniej granicy, to znacznie lepiej jest przeznaczyć te nawet znakomicie większe pieniądze na budowę CPK i rozbudowę naszego systemu transportowego. Efekt odstraszania Moskali będzie większy, a inwestycje jeszcze na siebie zarobią.



Pani

Krystynie Tomkiel

oraz Jej Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i żalu

z powodu śmierci

MAMY

składają

Koleżanki i koledzy z Grupy Medialnej Fratria

Prezydenckie przyspieszenie

Choć do wyborów prezydenta RP został jeszcze rok, to już trwa walka o to, kto znajdzie się w drugiej turze



STANISŁAW JANECKI

16 maja 2024 r., dzień po zamachu na premiera Słowacji Roberta Fica, marszałek Sejmu Szymon Hołownia wygłosił orędzie. Wprawdzie atak był wydarzeniem wyjątkowo tragicznym i dramatycznym, jednak to nie marszałek polskiego Sejmu powinien na niego reagować w pierwszej kolejności, i to w formie orędzia. Tym bardziej że orędzie o podobnej treści jak 16 maja wygłosił dwa tygodnie wcześniej z okazji Dnia Flagi.

Zamiar odegrania roli ojca narodu był wyraźnie widoczny, ale powód już niekoniecznie. Nawet jeśli w wystąpieniu

w Dniu Flagi dostrzegano kampanię do Parlamentu Europejskiego, to dopiero 16 maja 2024 r. można się było zorientować, co się za tym wszystkim kryje. A kryją się wybory prezydenta Polski (najprawdopodobniej w maju 2025 r.) i to, że marszałek Sejmu jest właściwie jedynym znanym już kandydatem, bowiem ma poparcie nie tylko Polski 2050, lecz także partnerskiego Polskiego Stronnictwa Ludowego. Lider Polski 2050 wszedł więc do gry, która tylko pozornie jeszcze się nie toczy – o to, kto znajdzie się w drugiej turze wyborów prezydenckich.

Przede wszystkim chodzi o zdobycie przewagi nad kandydatem Koalicji Obywatelskiej (KO), niezależnie od tego, kto nim będzie. Dlatego gra o pozycję ojca narodu jest ważna, a mamy czas politycznego zamętu zarówno w kraju (nieprzypadkowo oba orędzia Hołowni były poświęcone polaryzacji i politycznym podziałom w Polsce), jak i w Unii Europejskiej (w związku z zaawanso-

waną już zmianą ustroju UE, Zielonym Ładem oraz konsekwencjami wojny Rosji przeciw Ukrainie). Szymon Hołownia chce zdobyć trwałą przewagę jako ten, kto powinien wejść do drugiej tury wyborów prezydenckich, ale liderzy innych partii nie zamierzają mu tego ułatwić.

OFENSYWA HOŁOWNI

W orędziu wygłoszonym z okazji Dnia Flagi Szymon Hołownia grał rolę tego, który opisuje negatywne strony wojny polsko-polskiej, a jednocześnie oferuje usługi arbitra oraz uzdrowiciela. Mówił wtedy: „Gdy za naszymi granicami jest wojna, przestrzeni na wzajemne wyniszczanie się wewnątrz już nie ma”. Sens jest taki: Hołownia widzi niebezpieczeństwo, wie, co i jak trzeba zrobić, żeby wyeliminować zagrożenie, dlatego zasługuje na stanowisko prezydenta RP, gdy skończy urzędowanie jako marszałek Sejmu. Zasługuje, tym bardziej że jest poza główną

linią wojny. Nie chce jej i może się przyczynić do jej zakończenia lub uśmierzania. Jeśli zostanie prezydentem RP. A pierwszym krokiem do tego jest zyskanie przewagi, co pozwalałoby już teraz przygotowywać się do drugiej tury.

16 maja 2024 r. Hołownia mówił w orędziu: „Podział na dwie Polski, walczące ze sobą na śmierć i życie, polaryzacja, eskalacja agresji na krótką metę może i służyć tej czy innej partii, ale w długim terminie wykrwawiają nasz kraj, zamiast budować jego siłę”. Ojciec narodu dostrzega, że wojna polsko-polska „odbiera nam naszą największą broń – spoistość, umiejętność zjednoczenia w czasach próby. Dzielnie polski na agentów ruskich i agentów pruskich sprawia, że większość z nas nie ma już w niej swojego miejsca. Skutki polaryzacji są po prostu tragiczne. Polaryzacja rodzi radykalizm. Radykalizm rodzi chaos. Chaos osłabia nas względem zewnętrznych wrogów”. Jako marszałek Sejmu Hołownia „nie ma skrupułów, by używać wszystkich narzędzi do studzenia temperatury sporu w Sejmie. Upomnieniami, zawieszaniami, a w ostateczności karami pieniężnymi”. Bardzo się stara, ale „nie wie, czy uda się sprawić, że po 20 latach wojny polsko-polskiej Sejm znów stanie się miejscem, gdzie przekonujemy się nawzajem, a nie tylko ze sobą walczymy”. Ale „zrobi wszystko, żeby właśnie tak było”. A jeśli jako marszałek uzdrowi Sejm, to dlaczego nie miałby uzdrowić całej Polski jako jej prezydent?

Prezydenckie przyspieszenie Szymona Hołowni nie zostało oczywiście zignorowane przez liderów innych partii. Szczególnie chęć marszałka Sejmu, by mieć przewagę już na starcie, długo przed oficjalnym rozpoczęciem prezydenckiej kampanii. Bardzo wczesne wskazanie kandydata Trzeciej Drogi (TD) na prezydenta RP ma przede wszystkim dać mu przewagę nad kandydatem KO. Chodzi przecież o to, kto z obecnego obozu rządzącego dostanie się do drugiej tury, w której – jak przewidują liderzy partii tworzących rządzącą koalicję – spotka się on z kandydatem Prawa i Sprawiedliwości. Za mało prawdopodobny uważany jest wariant, że do drugiej tury może przejść dwóch kandydatów rządzącej koalicji, gdyż w pierwszej turze będą odbierać sobie głosy, a swoje zbierze też jeszcze kandydat Konfederacji.

Liderzy TD zakładają, że za przeciwnika mają właściwie tylko Rafała Trzaskowskiego, choć ten wcale nie musi być kandydatem KO. Ale na tym etapie Hołownia ma zdobywać przewagę nad Trzaskowskim. Potem się ona opłaci, niezależnie od tego, czy prezydent Warszawy wystartuje.

Hołownia i inni politycy TD już wykorzystują niekorzystną z punktu widzenia wyborów prezydenckich decyzję Rafała Trzaskowskiego o usuwaniu krzyży i innych symboli religijnych z przestrzeni ratusza oraz powiązanych z nim urzędów. To nośny temat, tym bardziej że za interesował się nim (i w efekcie uderzył w Trzaskowskiego) jeden z najbardziej znanych na świecie przedsiębiorców i jeden z liderów globalnej masowej wyobraźni – Elon Musk.

POSTEP KONTRA KONSERWATYZM

Rafał Trzaskowski tak interpretuje wyniki wyborów parlamentarnych w 2023 r., że co najmniej przejście do drugiej tury gwarantuje mu postawienie na „postęp”, czyli liberalizację aborcji, prawa dla par jedнопłciowych, wspieranie wszystkiego spod znaku LGBT+, wyrzucanie religii ze szkół i symboli religijnych z urzędów oraz szkół, upodmiotowienie zwierząt czy promowanie różnych form odchodzenia od produktów zwierzęcych w żywieniu. Szymon Hołownia uznał z kolei, że trzeba przedstawiać rywala jako nieodpowiedzialnego radykała, który w wielu sprawach idzie za daleko. Sam marszałek Sejmu jest natomiast gwarantem tego, że w Polsce nie dokona się żadna rewolucja, choć jest otwarty na nowości – tyle tylko, aby były one konsultowane społecznie, np. w formie referendum.

Hołownia ma wejść do drugiej tury jako osoba nowoczesna, ale broniąca tradycji. Dlatego będzie walczył z Trzaskowskim jako rewolucjonistą, przede wszystkim społecznym. Spodziewając się pojedynku z prezydentem Warszawy o drugą turę, Hołownia ustawia sobie kandydata Koalicji Obywatelskiej jako tego, który będzie napędzał podziały i polaryzację w Polsce, bo taka jest linia KO. I taka jest przede wszystkim polityka Donalda Tuska. Gdyby to premier, a nie Trzaskowski był jednak kandydatem KO, Hołownia tym

bardziej będzie grał na to, że on uspokaja nastroje i łączy Polaków, podczas gdy rywal tylko dzieli i pogłębia polaryzację.

Zapowiedzią takiej strategii były właśnie dwa orędzia marszałka Sejmu ogłoszone w maju 2024 r. Ktokolwiek zostanie kandydatem KO, będzie przedstawiany opinii publicznej jako zbyt radykalny i przez to niebezpieczny dla Polaków. Hołownia może sobie pozwolić na pozycjonowanie przeciwnika do drugiej tury z własnego obozu, bo ma pewność kandydowania i gwarancję, że do wyborów będzie funkcjonował, mając autorytet marszałka Sejmu.

Prezydenckie przyspieszenie mamy też w Konfederacji, gdzie o przewagę i nominację walczą Sławomir Mentzen i Krzysztof Bosak. Obaj deklarują się jako katolicy i stateczni ojcowie rodzin (w obu wypadkach z trojgiem dzieci). Pod względem dzietności i roli odpowiedzialnego ojca Bosak w cztery lata dogonił Mentzena. Ten ostatni zamierza wykorzystać swoje atuty: jest o cztery lata młodszy, lepiej wykształcony (ma doktorat z ekonomii, podczas gdy Bosak nie ukończył żadnych z podjętych studiów), dorobił się sporego majątku, i to w młodym wieku. Bosak za swoją przewagę uważa to, że jest starszy, czyli bardziej doświadczony i roztropny, a także bardziej konserwatywny i umiarkowany od rywala, w kwestiach gospodarczych jest dużo mniej doktrynerski, a poza tym pozostaje wrażliwy społecznie.

Na tle prezydenckiego przyspieszenia Prawo i Sprawiedliwość nie ma nawet wylonionej dwójki czy trójki faworytów. To celowa, choć nie wiadomo czy skuteczna strategia mająca unikać politycznej wojny i zajmowania się samymi sobą w czasie, gdy trzeba się skupić na osłabianiu obozu rządzącego i przeciwstawianiu jego atakom. Ale po wyborach europejskich nie będzie już żadnej kampanii aż do wyborów prezydenckich, więc wtedy także PiS mogłoby przyspieszyć. Tyle tylko, że prezes Jarosław Kaczyński uważa zbyt wczesne wylonienie kandydata za błąd, dlatego najprawdopodobniej zostanie on wskazany dopiero na początku listopada 2024 r.

Lewica nie będzie się liczyć w wyścigu prezydenckim, dlatego najpewniej nie wyłoni własnego kandydata (mimo że może jej to zaszkodzić) i poprze raczej kandydata KO.

Unia strasznie nabroiła

Prawica ma wielką szansę zmienić układ sił w Parlamencie Europejskim i Komisji Europejskiej

Z Ryszardem Czarneckim, kandydatem Prawa i Sprawiedliwości w Wielkopolsce w nadchodzących wyborach do Parlamentu Europejskiego, rozmawia Maciej Walaszczyk

Naprawdę lubi pan kampanie wyborcze? Polacy są nimi już chyba zmęczeni, to trzecia kampania w ciągu roku.

Ryszard Czarnecki: To trzecia kampania w ciągu ośmiu miesięcy, która rzeczywiście wywołała spore zamieszanie, ponieważ wielu kandydatów startujących w wyborach samorządowych nie uprzątnęło dotąd swoich plakatów i bannerów wyborczych. Trochę miesza to ludziom w głowach, bo równocześnie wieszane są bannery, billboardy i plakaty kandydatów startujących w nadchodzących eurowyborach. Choć są też tacy, którzy jak Tobiasz Bocheński korzystają z sytuacji, ponieważ jego billboardy z wyborczego boju o Warszawę wciąż wiszą i nie straciły na aktualności. Jednak ludzie rzeczywiście są zmęczeni, choć trzeba walczyć o jak największą mobilizację twardego elektoratu PiS, bo to on zdecyduje o zwycięstwie.

Pana walkę wsparł m.in. Jarosław Kaczyński.

Prezes PiS podczas naszej konwencji w Sompolnie koło Konina rzeczywiście wymienił moje nazwisko jako jedynego, wskazując, że w Parlamencie Europejskim Prawo i Sprawiedliwość potrzebuje ludzi doświadczonych. Wsparł mnie również we Wrześni, gdzie oddaliśmy hołd dzieciom i ich rodzicom broniącym tam 120 lat temu naszego prawa do mówienia po polsku.

Jest jakaś zauważalna zmiana nastroju od październikowych wyborów? Minęło przecież już kilka miesięcy rządów nowej koalicji.

Absolutnie tak. W obie poprzednie kampanie byłem bardzo zaangażowany, choć w nich oczywiście nie kandydowałem, i sytuacja między październikiem 2023 r. a majem 2024 r. jest już zupełnie inna. Zmiana zresztą była wyczuwalna już w czasie wyborów samorządowych, ale teraz jest to niebo a ziemia. Jesienią 2023 r. było dużo agresji, teraz często ludzie solidaryzują się z nami, podkreślają, że za rządów PiS było im lepiej i jednocześnie wyrażają rozczarowanie obecną władzą. Takie nastroje były widoczne, gdy np. rozdawałem gazety i ulotki lub kiedy w Poznaniu i Mosinie kilkakrotnie zbierałem podpisy pod inicjatywą „Stop podwyżkom od lipca”.

Ludzie mają świadomość, że wybory europejskie równie mocno i bezpośrednio dotyczą ich życia jak te parlamentarne i samorządowe?

Muszę powiedzieć, że nastąpiła tutaj duża zmiana na lepsze. W pierwszych dwóch elekcjach europejskich Polska była, oprócz Litwy i Słowacji, w gronie krajów z najniższą frekwencją wyborczą. Jednak od 2019 r. znaleźliśmy się wśród tych z frekwencją najwyższą, wyprzedzając m.in. ojczyznę zacieklego krytyka Polski Fransa Timmermansa, co dla Holendrów było

sporym szokiem. Muszę powiedzieć, że w czasie wielu spotkań z wyborcami, poczynając od Poznania przez Piłę, Leszno, Kalisz, Rawicz, Trzciankę, Gostyń, Kościan, Kostrzyn, Kórnik czy Miasteczko Krajeńskie, dyskusje o Unii pokazują dużo większą wiedzę naszych obywateli na jej temat w porównaniu z tym, co można było zaobserwować np. 10 lat temu.

Co takiego mówią?

Bardzo dużo wiedzą o Zielonym Ładzie, polityce migracyjnej, orientują się w kwestii afery korupcyjnej „Katargate”. To jest już rozmowa na zupełnie innym poziomie.

Wiedzą, że skutki polityki klimatycznej, np. dyrektywa budynkowa, o której konsekwencjach pewnie informują władze spółdzielni mieszkaniowych, dotykają ich bezpośrednio?

Tak, ludzie zrozumieli, że to, co dzieje się w Parlamencie Europejskim, dotyczy również ich samych i nie jest to jakaś europarlamentarna egzotyka. Że podejmuje się tam decyzje, które obligują parlamenty krajowe do wdrażania uchwalanego tam prawa i ma to przełożenie na bardzo wiele obszarów życia Kowalskiego i Nowaka. To wszystko jest również wynikiem tego, że UE sporo nabroiła.

Co ma pan na myśli?

Na pewno podejmowaną nieustannie próbę stawiania do kąta państw nieposłusznych, niepokornych, które prowadziły własną politykę gospodarczą i cywilizacyjną. Takim państwem była właśnie Polska lub Węgry, ale też kilka innych krajów z naszego regionu, które w różnych obszarach stawiały się Brukseli. Poza tym ten szalony ideologiczny Zielony Ład i wreszcie dramatyczna w skutkach polityka migracyjna. Podczas spotkań zauważyłem, że ludzie bardzo się przejmują tym problemem i obawiają tego, co Unia robi i czego nie robi w tej sprawie, nie potrafiąc powstrzymać tej inwazji imigrantów na Europę.

Czy narodowa i eurosceptyczna prawica w Europie zmieni układ sił w europarlamencie, czy tylko będzie silniejsza niż obecnie?

Prawica ma wielką szansę, aby zmienić układ sił. Jeśli ją wykorzysta, będzie to zupełnie inny PE niż do tej pory. To znaczy ma szansę sprawić, że bez nas nie będzie można podjąć żadnych ważnych decyzji.

Jakich?

Oczywiście chodzi o zmiany w Komisji Europejskiej. Zgodnie z obowiązującą regułą, jeśli zmieniają się władze danego kraju, pochodzący z niego komisarz trwa na swoim stanowisku do końca kadencji. Wobec tego, jeśli zmieniły się rządy we Włoszech, Czechach, Belgii czy Szwecji, na swoich stanowiskach pozostali kontrowersyjni komisarze, tacy jak pochodząca z Czech Věra Jourová, Didier Reynders z Belgii, Paolo Gentiloni z Włoch czy odpowiedzialna za sprawy wewnętrzne Ylva Johansson ze Szwecji, która podkreślała, że UE jest gotowa przyjąć nawet 4 mln imigrantów rocznie. Mam więc nadzieję, że ta nowa Komisja przywróci nam normalność.

Powrót Donalda Tuska i PO z koalicjantami do władzy w Polsce został z ulgą przyjęty przez tę europejską oligarchię.

Z prostego powodu – pozostawanie w Polsce przy władzy PiS oznaczało, że ich wyborcy głosujący we Francji, Niemczech czy Belgii otrzymaliby jasny przekaz, że można budować dobrobyt, utrzymywać wzrost gospodarczy bez konieczności ściągania milionów imigrantów. „Kłamstwo imigracyjne” polegało na tym, iż przez ostatnich kilkadziesiąt lat rządy lewicowe i centroprawicowe wmawiały społeczeństwom, że bez imigrantów gospodarka spowolni. Polski przykład przeczył temu przekonaniu, gdy nasza gospodarka wyprzedzała kolejne kraje byłej EWG, jeśli chodzi o PKB na głowę mieszkańca czy niski poziom bezrobocia.

PiS podnosi obecnie hasła konieczności zachowania suwerenności Polski. Od kiedy Unia stała się groźna dla niepodległości krajów członkowskich?

Był to proces, wszystko działo się stopniowo. Użyję może drastycznej metafory: było to jak gotowanie żaby w garnku. Na początku woda robi się coraz cieplejsza, żaba nie protestuje i czuje się dobrze, a potem okazuje się, że jest już za późno i żaba jest ugotowana. Poprzez tworzenie faktów dokonanych w UE następuje odejście od koncepcji Europy narodów w kierunku modelu jednego europejskiego quasi-państwa, w którym dominują Niemcy. Ten proces przyspieszył po traktacie lizbońskim.

Ciągle powraca temat o europejskiej armii. Jest to mrzonka, fakt medialny czy realny projekt?

Przekładając to pojęcie z eurosloganu na normalny język, chodzi tu wyłącznie o wspólnie wydawane miliardy przeznaczone na obronność w konkretnych fabrykach. Przede wszystkim znajdujących się w Niemczech oraz we Francji, choć nie tylko, bo również chodzi o producentów włoskich, szwedzkich czy fińskich. Będzie to więc korzystne dla Berlina i Paryża, ale nie dla Warszawy. Tworzenie europejskiej armii *de facto* tworzy alternatywę dla NATO i jest to czyste szaleństwo. Jako kraj i kontynent znajdujemy się bowiem na takim zakręcie dziejowym, że musimy się mocno trzymać sojuszu z USA, co jest w interesie i Europy, i Ameryki.

Wielkopolska to żużlowy region z najlepszymi tradycjami. Ale chyba nie stał się pan tam kibicem Unii Leszno i pozostał wierny Sparcie?

Kibice świetnie wiedzą o tym, że kiedyś załatwiłem leszczyńskim bykom spore wsparcie finansowe ze strony ówczesnego BŻ WBK, którego prezesem był facet nazywający się Mateusz Morawiecki. Wspierałem również Mistrzostwa Polski Par Klubowych, które dwa razy organizowano w Ostrowie Wielkopolskim, a także wiele imprez międzynarodowych różnej rangi. Nawet teraz rozmawiamy chwilę po moim spotkaniu z prezesem Poznańskiego Stowarzyszenia Żuźla Marcinem Czaińskim, więc z wielkopolskim żużlem jestem wbrew pozorom mocno związany.

Brzydki sentyment ambasadora Izraela

Do Warszawy przybył w lipcu 2022 r., ale stało się o nim głośno dopiero tej wiosny, gdy arogancko odniósł się do dramatu zabitego w Strefie Gazy polskiego wolontariusza. Polacy szybko wypomnieli mu czerwonoarmijną furażerkę na Dniu Zwycięstwa w Moskwie. Kim jest Jakow Liwne, ambasador Izraela w Polsce?



Tragedia miała miejsce 1 kwietnia br., gdy izraelski ostrzał zabił Damiana Sobola, polskiego wolontariusza z Przemyśla, który jechał z pomocą humanitarną do Strefy Gazy z World Central Kitchen, międzynarodową organizacją niosącą pomoc m.in. w strefach wojny. Polska opinia publiczna zareagowała oburzeniem i oskarżeniami wobec Izraela o brutalność oraz łamanie prawa międzynarodowego. Po tych komentarzach ambasador Liwne stwierdził w mediach społecznościowych, że „skrajna prawica i lewica w Polsce oskarżają Izrael o umyślne morderstwo we wczorajszym ataku, wskutek którego śmierć ponieśli członkowie organizacji humanitarnej, w tym obywatel Polski”. Zatem nie tylko nie padło słowo „przepraszam”, lecz także ambasador zaatakował polską scenę polityczną.



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Jakby tego napięcia było mało, 3 kwietnia Liwne udzielił wywiadu Robertowi Mazurkowi na Kanale Zero, gdzie nie tylko nie przeprosił, lecz także obruszał się na zadawane pytania. Dziennikarz komentował później, że choć przeprowadził w życiu ponad 1 tys. wywiadów, to z takim brakiem szacunku nie spotkał się nigdy.

Temperatura sporu stała się jeszcze bardziej gorąca i tylko niewiele pomogło tu wezwanie dyplomaty do polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jak zapewniał wiceminister Andrzej Szejna, podczas spotkania ambasador przeprosił i miał poprosić o kontakt do rodziny zabitego polskiego wolontariusza.

Jednak od tego momentu Liwnemu zdarza się dolewać oliwy do ognia w relacjach polsko-żydowskich. 15 maja dyplomata przytoczył scenę z II wojny światowej, w której proniemiecki przywódca palestyński zlorzeczył Żydom: „Niektórzy antysemita zdają się tęsknić za przywódcą palestyńskim, Hadżdż Aminem Husajnim, nazistowskim kolaborantem, który również chciał, aby Żydzi udali się do Polski, a dokładniej do komór gazowych w Polsce. Antysemita są zagrożeniem”. Sugerowanie, że obozy koncentracyjne były polskie działa na nas jak płachta na byka, komentatorzy słusznie rozpalili się do czerwoności.

Jarosław Papis-Rozenbaum, polski i żydowski komentator, skwitował to krótko i dosadnie: „Przy pana bezdennych prowokacjach nawet Żyd może zostać antysemitą”. O co więc chodzi Liwnemu?

AMBASADOR SIĘ UCZY

– Nie był taki od początku swojej obecności w Polsce – tłumaczy tygodnikowi „Sieci” jeden z pracowników Ministerstwa Spraw Zagranicznych. – Po przyjeździe w lipcu 2022 r. był szczerze zainteresowany poznaniem różnych punktów widzenia, spotykał się z przedstawicielami różnych środowisk politycznych i uczestniczył w uroczystościach państwowych, z szacunkiem odnosząc się do polskiej pamięci – słyszymy.

Nie unikał również spotkań, które przez którąś stronę politycznego sporu są okrzyknięte niestosownymi. – Liwne

kilkakrotnie odwiedził np. Instytut Pamięci Narodowej, ale rozmawiał też z prof. Janem Grabowskim, który IPN nieustannie atakuje i potępia – mówi nasz rozmówca.

Także inny urzędnik, który widywał się z ambasadorem Izraela, rysuje zniuansowany obraz dyplomaty. – Nie miałem wrażenia, że on jest napastliwy wobec Polaków, co więcej, było widać, że ten człowiek dopiero otwiera oczy na niuanse naszej wspólnej historii, że po prostu nie miał wiedzy na wiele tematów związanych z Polską – mówi ekspert od spraw polsko-żydowskich.

MOSKIEWSKI POCZĄTEK

Jarosław Papis-Rozenbaum, wrażliwy na relacje polsko-żydowskie, przyznaje, że nie zna prawdziwych motywów Liwnego, ale podejrzewa dwa czynniki, które doprowadziły do takich zachowań dyplomaty. – Może ma takie poglądy i taki stosunek do Polaków wyspany z mlekiem matki? – mówi tygodnikowi „Sieci”. Dodaje jednak ważny czynnik: – Również miejsce urodzenia i wiele lat spędzonych w Moskwie może być drugim czynnikiem warunkującym takie spojrzenie na Polskę.

Liwne jest synem oficera Armii Czerwonej, który brał udział w II wojnie światowej. Późniejszy dyplomata urodził się w 1967 r. w Moskwie, gdzie spędził pierwsze siedem lat życia, ale z Rosją wydaje się być związany przynajmniej sentymentem. Jeszcze przed napaścią na Ukrainę opowiadał rosyjskim mediom o swojej rodzinie, która reprezentowała sowiecki punkt widzenia na II wojnę światową. Zaraz po studiach Liwne został zatrudniony w izraelskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych i przez wiele lat pracował na odcinku rosyjskim. W czasach Jelcyna był rzecznikiem prasowym ambasady w Moskwie, później pracował w departamencie MSZ zajmującym się Europą Wschodnią i następnie Eurazją. W latach 2019–2020 znowu pracował w ambasadzie w Moskwie i to z tego okresu pochodzi zdjęcie uśmiechniętego Liwnego w furazerce żołnierza Armii Czerwonej stojącego na tle scenarii z putinowskich uroczystości Dnia Zwycięstwa. W 2020 r. Liwne brał udział w sesji Klubu Wałdajskiego, putinowskiego think tanku opracowującego politykę międzynarodową Kremla. On sam kilkakrotnie ze strony MSZ przygotowywał wizytę Putina w Izraelu, był więc też częścią szerszej próby zbliżenia rosyjsko-żydowskiego w polityce prezydenta Rosji. Na szczeblu politycznym niewiele z tego wyszło, ale dla Polski te próby nie zwiastowały dobrych wiadomości.

Kilka tygodni temu Uniwersytet Hebrajski opublikował wstrząsające wyniki badania wiedzy i poglądów Izraelczyków, z których wynika, że aż 54 proc. z nich uznaje Polaków winnych Holocaustu w takim samym stopniu co Niemcy. Jednocześnie Niemcy są uważane za przyjaciela Izraela, zaś Polskę postrzega

tak jedynie 19 proc. obywateli. Skąd taka opinia? Znający się na sprawach żydowskich pracownik polskiego MSZ tak to tłumaczy: – Jeśli współcześnie jakiś kraj opowiada się silnie za Izraelem w konfliktach z Arabami i sprzeciwia się różnym rezolucjom ONZ, które mają potępić Izrael, to ten kraj także w perspektywie historycznej jest lepiej postrzegany.

Nie warto się tu doszukiwać spisków – po prostu widząc poparcie Berlina, dzisiaj wielu ludziom wydaje się, że musiało tak być zawsze, zaś debatując nad napięciami z Polską, rzutuje się ten stan na czasy II wojny światowej.

ŻYDZI, KOMUNIZM A POLSKA

Przerzucenie „rosyjskiego” Liwnego do „antyrosyjskiej” Polski daje wiele powodów do nieporozumień. W Polsce Żydzi odcinają się od współpracy z komunistami, a takie przypadki są raczej wstydliwą sprawą. Dość wspomnieć podkręślanie, że ojciec czy przyrodni brat Adama Michnika odcinali się od swojego stalinowskiego epizodu, także w przypadku Zygmunta

Baumana mówi się o „okresie błędów”. Tymczasem w krajach posowieckich podejście do komunizmu jest inne – tam często podkreśla się wsparcie dla Armii Czerwonej jako zwycięzcy nazistów. Pamiętam swoją rozmowę z przedstawicielką środowisk żydowskich w moldawskim Kiszyniowie, która zarzekała się, że jej rodzice naprawdę pomagali Sowietom. Nie wiedziała, że dla Polaka nie brzmi to jak powód do dumy. Zdaje się, że Liwne też nie do końca zdążył zrozumieć tę różnicę.

Papis-Rozenbaum podkreśla również, że drugiego takiego ambasadora jak Szewach Weiss raczej długo się nie doczekamy. – On

był naszym największym skarbem. To był ambasador Polski w Izraelu i Izraela w Polsce, który znał nie tylko historię Polaków, lecz także polską duszę i jej cierpienia w czasie II wojny światowej – podkreśla. Liwnemu daleko do takiego pułapu.

Zapytany także o swoją ostrą krytykę ambasadora i polskie podejście Papis-Rozenbaum reaguje energicznie i stanowczo: – Bo jestem Polakiem! Bo wielu Żydów w Polsce przed wojną czuło się Polakami. Przypominam tylko, że 665 młodych żydowskich chłopaków uciekło z domów w latach 1914–1915 do legionów Piłsudskiego. Postawy propolskie nie biorą się znikąd – biorą się z domu. Mój dom nie był propolski, ale był polski, po prostu polski dom. Ja w 1984 r. wstąpiłem do Konfederacji Polski Niepodległej, a nie do Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej.

Jaki był dom Jakowa Liwnego – to już mniej więcej wiemy. Dobrze by jednak było, aby nie dla polskiego, a dla dobra swojego kraju ambasador zrozumiał, że świat lewicującego Zachodu zaczyna coraz bardziej sympatyzować z Palestyną i muzułmanami, więc względnie konserwatywna Polska jest kandydatem na sojusznika Izraela, a nie chłopcem do bicia.

Wojna z krzyżem

Decyzja prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego o zakazie wieszania krzyży w ratuszu i miejskich urzędach jest nową fazą wojny kulturowej w Polsce

brze ilustruje negatywne reakcje nie tylko w kręgach opozycji, lecz także w strukturach politycznych będących przy władzy na radykalizację wojny Trzaskowskiego z chrześcijańskimi tradycjami i wartościami (bo właśnie o nie tutaj chodzi).

Kilku analityków pisze wręcz o straconych szansach włodarza Warszawy w wyścigu wyborczym o urząd prezydenta RP. „Trzaskowski i żyrandol w pałacu? Marnie to widzę” – napisał Rafał Woś i dodał: „Trzaskowski co chwila robi coś takiego, co pokazuje, że do zadania zdobycia prezydentury RP jednak nie dorósł. Słynne już zarządzenie w sprawie krzyży to doskonały przykład. Z punktu widzenia kogoś, kto właśnie idzie się bić nie tylko o Żoliborz i plac Zbawiciela, ale o całą Polskę, to jest zamysł przynajmniej przedziwny”.

Zdejmowanie krzyży i nakaz dla urzędników posługiwania się feminatywami oraz taką formą imienia, jaką transpłciowe osoby same zasygnalizują (bo takie instrukcje traktowania klientów są w rozporządzeniu) – właśnie tego Trzaskowski chce dla mieszkańców Warszawy. Postępując w ten sposób, prawdopodobnie popełnił błąd, za który będzie płacił przez długi czas.

RADYKALIZACJA WŁADZY

Nie chodzi tu jednak tylko o jego karierę polityczną. Jego wojna z krzyżem jako duchowym i kulturowym symbolem tego, czym Polska była od wieków, ma wymiar znacznie głębszy niż ambicje polityczne „uśmiechniętego”, postępowego liberała z Warszawy. Jest to

pewien rodzaj nowej fazy wojny kulturowej w Polsce.

– Decyzja Rafała Trzaskowskiego to polityczne opowiedzenie się za religijnym konfliktem – mówi nam prezes Instytutu Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski. – I to konfliktem rozpalanym w obszarze dotąd niedotkniętym polaryzacją opinii. Otwarcie nowego frontu może stanowić próbę wymuszenia dalszej radykalizacji obozu politycznego prezydenta Warszawy, który zmuszony do obrony zarządzenia o usuwaniu krzyży i zaimkach odetnie się ostatecznie oraz symbolicznie od swych chadeckich korzeni.

– Krzyż jest znakiem absolutnie wyjątkowym w wymiarze zarówno religijnym, kulturowym, jak i narodowym. Rugowanie tego znaku jest godzeniem w jego treść. Oznacza odrzucenie zarówno wartości chrześcijańskich, jak i organicznie związanych z nimi wartości narodowych – mówi z kolei ks. prof. Paweł Bortkiewicz TChr, wykładowca akademicki.

Ks. prof. Bortkiewicz przypomina dwa wydarzenia z historii Polski, które jasno ilustrują znaczenie krzyża dla Polaków. – Pierwsze, odległe, to 8 kwietnia 1861 r. Manifestacja w Warszawie zaatakowana na pl. Zamkowym przez wojska rosyjskie. Na jej czele siedł student Akademii Sztuk Pięknych z krzyżem w ręku, który został postrzelony. Wówczas upadający krzyż przechwycił Michał Landy, który został także śmiertelnie ranny. Rzecz w tym, że Landy nie był chrześcijaninem, ale Żydem wyznania mojżeszowego. Obraz drugi to uroczystości pogrzebowe po 10 kwietnia 2010 r. na pl. Piłsudskiego. Zdjęcia wszystkich ofiar katastrofy smoleńskiej zostały, niezależnie od wyznań, światopoglądu,



GORAN ANDRIJANIĆ

Kto z krzyżem wojuje, ten dobrze nie kończy”. Tymi słowami poseł PSL Marek Sawicki w bardzo prosty sposób skrytykował zarządzenie prezydenta Warszawy zakazujące wieszania krzyży i innych symboli religijnych na ścianach stołecznych urzędów oraz ustawiania ich na biurkach urzędników.

Cytuję na początku tekst Sawickiego, ponieważ jego wypowiedź do-

opcji politycznej umieszczone pod znakiem krzyża. Znaleźli się tam zarówno duchowni, jak i agnostycy czy ateści.

W OBRONIE KONSTYTUCJI

Jerzy Kwaśniewski podkreśla, że decyzja Trzaskowskiego jest kontrowersyjna nie tylko w sensie kulturowym, lecz przede wszystkim w prawnym. – Zarządzenie nie tylko nie ma stosownej podstawy prawnej, lecz także obejmuje kwestie materii konstytucyjnej. W szczególności niedopuszczalne jest regulowanie na poziomie zarządzenia prezydenta miasta praw i wolności obywatelskich, a do tych należy prawo do publicznego praktykowania i uzewnętrzniania religii i kultu (art. 53 ust. 2 konstytucji). Niezależnie od gwarancji dotyczących wolności sumienia i wyznania europejski system praw człowieka już dawno rozstrzygnął, że obecność krzyża w miejscach publicznych nie narusza praw osób niewierzących, a sam krzyż cieszy się ochroną nie tylko jako symbol religijny, lecz także jako element dziedzictwa kulturowego i cywilizacyjnego Europy. Taka argumentacja towarzyszyła np. słynnemu wyrokowi Wielkiej Izby Trybunału w Strasburgu w sprawie Lautsi przeciwko Włochom. Podobnie wypowiedział się już nie raz polski Sąd Najwyższy – wyjaśnia Kwaśniewski. I dodaje, że „treść zarządzenia dotycząca stosowania zaimków nieodpowiadających treści dokumentów i ujawnionej w nich płci stanowi ingerencję w wolność pracowników urzędów stolicy”.

ARGUMENTY TRZASKOWSKIEGO

A co z argumentem Trzaskowskiego i jego zwolenników, że Polska to państwo świeckie i że bezstronność religijna państwa jest gwarantowana konstytucyjnie?

– Polska nie jest państwem świeckim! – mówi Kwaśniewski. – Polska konstytucja nie promuje sterylności religijnej sfery publicznej, lecz deklaruje w art. 25 przyjazne „współdziałanie dla dobra człowieka i dobra wspólnego” z Kościołem. To zupełnie inne podejście niż znany z Francji model „świeckości” lub „neutralności”. Bliżej nam tu do tradycji

amerykańskiej, gdzie otwarte wezwanie Bożego błogosławieństwa nad narodem jest oczywistym zakończeniem prezydenckiej mowy, a każdy banknot zawiera motto „Bogu ufamy”. Znakiem tego modelu jest obecność w polskich urzędach, szkołach, na dworcach i w szpitalach krzyży i kaplic, możliwość organizowania spotkań oplatkowych lub wielkanocnych. To właśnie wyraz tolerancji, czyli akceptacji przez państwo prostego faktu, że potrzeby publicznego wyznawania wiary są elementem codzienności i częścią składową gwarancji ludzkiej godności i praw człowieka.

Ks. Bortkiewicz wyjaśnia, że państwo nigdy nie może stać się przestrzenią wyjąłową z wartości. – Zresztą zauważmy, że akcji rugowania krzyża towarzyszy akcja promowania symboli ideologii gender. A zatem jest to próba dekonstrukcji Polski chrześcijańskiej i narzucenia Polski ateistycznej. W Lubaczowie w 1991 r. św. Jan Paweł II mówił: „Postulat neutralności światopoglądowej jest słuszny głównie w tym zakresie, że państwo powinno chronić wolność sumienia i wyznania wszystkich swoich obywateli, niezależnie od tego, jaką religię lub światopogląd oni wyznają. Ale postulat, ażeby do życia społecznego i państwowego w żaden sposób nie dopuszczać wymiaru świętości, jest postulatem ateizowania państwa i życia społecznego i niewiele ma wspólnego ze światopoglądową neutralnością”. Dziś te słowa zyskały dramatyczną aktualizację. Stanowią dokładne kryterium wskazujące na próbę zamachu na wolność wyznania, jak i na faktyczną neutralność państwa – powiedział Bortkiewicz.

Wojna w obronie krzyża, i to jest jasne, ma wymiar duchowo-kulturowy, a także prawny. W tym ostatnim już się dzieje dużo. Posłowie Prawa i Sprawiedliwości złożyli do wojewody mazowieckiego wniosek o wydanie tzw. rozstrzygnięcia nadzorczego w sprawie zarządzenia prezydenta Warszawy. Ordo Iuris również przygotowuje konkretne kroki przeciwko decyzji Trzaskowskiego, która, jak mówi prezes tej instytucji Jerzy Kwaśniewski, nie ma podstawy prawnej i ogranicza wolności oraz prawa konstytucyjne pracowników.

JAK SIĘ BRONIĆ?

– Zarządzenie, wbrew zapewnieniom prezydenta Trzaskowskiego, obejmuje także sferę prywatną pracownika, czyli jego biurko, a nawet rozszerza regulację w pewnym zakresie na warszawskie szkoły. Te przyczyny przekonały nas o konieczności złożenia zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia czynu zabronionego z art. 231 kk, czyli nadużycia urzędniczego. Niezależnie od tego, jesteśmy gotowi do zaskarżenia zarządzenia, jeżeli tylko o taką pomoc zwróci się do nas poddany bezprawnej regulacji pracownik któregokolwiek z urzędów stolicy. Naszych sympatyków poprosiliśmy o przesyłanie do Urzędu Miasta skarg według przygotowanego wzoru (<https://ordoiuris.pl/wolnosc-obywatelskie/rafal-trzaskowski-chce-zdejmowac-krzyze-zloz-skarge>). Miasto musi na każdą taką skargę udzielić odpowiedzi. Ponadto skierowaliśmy petycję do władz Warszawy (<https://niezdejmujkrzyza.pl>), a w najbliższych dniach podejmiemy działania na poziomie legislacyjnym.

Ks. Bortkiewicz ostrzega, że należy mieć świadomość duchowego wymiaru tych zawirowań i ataków na tradycyjne wartości. – Potrzebna jest przede wszystkim świadomość nas, katolików, nas, chrześcijan. Tymczasem w tej przestrzeni pojawia się wielka niejednoznaczność. Mamy zaskakujące działania idące w kierunku kompromisu wyrażającego się faktycznie w uległości wobec ateizacji. Mamy niejednokrotnie przyzwolenie ze strony nas, katolików, na dezynfekcję życia publicznego z wartości chrześcijańskich w imię państwa „nowoczesnego”. Potrzebna jest zatem przede wszystkim świadomość dotycząca współistnienia państwa i Kościoła, a jeszcze bardziej tego, że jako członkowie Kościoła jesteśmy pełnoprawnymi obywatelami państwa. Mamy w stosunku do niego obowiązki, ale też niezbywalne prawa. Potrzeba, aby ta świadomość była zarazem wyrażana jednym głosem. Konieczne jest oczywiście, żeby ten głos wybrzmiał zarówno w wypowiedziach Episkopatu, jak i w wypowiedziach publicystycznych. Musimy być świadomi swojej godności jako katolicy i jako Polacy, a jako katolicy musimy tej godności bronić – konkluduje ksiądz profesor.



Aresztować premiera Izraela?

Ogłoszony właśnie przez Międzynarodowy Trybunał Karny (ICC) zamiar aresztowania przywódców Izraela pod zarzutem popełnienia zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości jest – historycznie rzecz biorąc – aktem bez precedensu

Decyzja ICC po raz pierwszy bowiem ma dotyczyć przywódców demokratycznego państwa, powołanych na swe urzędy w niebudzących zastrzeżeń uczciwych wyborach. Jak również po raz pierwszy zarzuty mają zostać postawione premierowi i ministrowi obrony kraju podstępnie napadniętego przez sąsiada na równi z liderami terrorystycznej organizacji, która ową napaść zaplanowała i przeprowadziła.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że Izrael nie chciał i nie planował wojny w Strefie Gazy. Ba, mamy tu nawet do czynienia z sytuacją, w której premier Benjamin Netanjahu jest obwiniany w swoim kraju o to, że przed 7 października 2023 r. okazywał zadziwiającą naiwność wobec palestyńskich władz Strefy Gazy, nie tylko nie spodziewając się z ich strony ataku i rozbrajając granicę, lecz także pomagając rządowi w Gazie pozyskiwać zagraniczne pieniądze i zatrudniać na terenie Izraela swoich pozbawionych pracy mieszkańców.



JAN ROKITA

PROKURATOR KHAN OSKARŻA

Rząd kraju, który podejmuje wojnę obronno-odwetową, zostaje zatem teraz zrównany ze ściganymi w całym wolnym świecie hersztami bojówek Hamasu specjalizujących się w zamachach i mordach na żydowskich cywilach tylko z tego powodu, że są oni Żydami. Trudno się więc

dziwić, że taki moralny i prawny znak równości, jaki postawił główny prokurator ICC Karim Khan, wzbudził w Izraelu złość i potępienie. Khan obwieścił właśnie, iż będzie dążyć do uzyskania od Trybunału nakazu aresztowania zarówno premiera Izraela Binjamina Netanjahu oraz izraelskiego ministra obrony Jo'awa Galanta, jak i ukrywających się liderów Hamasu, a wśród nich Jahji Sinwara, uważanego za organizacyjny mózg październikowej napaści na żydowskie kibuce i odbywający się w Izraelu młodzieżowy festiwal muzyczny.

Khan na równi oskarża przywódców Izraela i Hamasu o zaplanowanie oraz dokonanie zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości. W przypadku Sinwara oskarżenie dotyczy masowego mordu na żydowskiej młodzieży i cywilnych mieszkańcach przygranicznych kibuców oraz uprowadzenia zakładników. W przypadku Netanjahu i jego ministra obrony przedmiotem oskarżenia jest sposób prowadzenia operacji pacyfikacyjnej w Strefie Gazy, w której masowo ginie ludność cywilna, a utrudnianie dostaw humanitarnych wywołuje głód. Zdaniem Khana ma to być jednym ze świadomych sposobów prowadzenia wojny przez Żydów, łamiącym nie tylko konwencje haskie dotyczące prawa wojennego, lecz także wypełniającym znamiona zbrodni przeciw ludzkości.

Nie wiemy jeszcze, czy prokuratorowi Khanowi uda się ostatecznie dostać nakaz aresztowania premiera Izraela. Ale wydaje się to dość prawdopodobne, zważywszy na dotychczasową praktykę sędziów ICC, z satysfakcją korzystających z takich okazji do zwiększania swojej władzy w dziedzinie polityki międzynarodowej. Nawiasem mówiąc, wielkie mocarstwa – USA, Chiny czy Rosja, podobnie zresztą jak Izrael – z tego właśnie powodu nie uznają jurysdykcji sędziów ICC nad swoimi obywatelami. Zaś Ameryka jest nawet tak przewrażliwiona na tym punkcie, że od dwóch dekad obowiązuje tam tzw. ustawa o ataku na Hagę, pozwalająca prezydentowi USA użyć sił zbrojnych dla uwolnienia każdego Amerykanina, którego udałooby się gdziekolwiek w świecie aresztować z nakazu sędziów ICC.

Trudno zresztą przypuścić, aby prokurator Khan był postacią bezstronną w konflikcie palestyńsko-żydowskim. Jest on co prawda Brytyjczykiem urodzonym w Szkocji, ale pochodzi z rodziny muzułmańskich imigrantów, sam będąc zaangażowany w islamską sektę religijną Ahmadi, wywodzącą się z Pakistanu, ale wygnaną z tego kraju pod zarzutem herezji i lokującą dziś swój kalifat w Wielkiej Brytanii (nawiasem mówiąc, rodzina Khana zrobiła w Anglii sporą karierę, a jego młodszy brat został nawet posłem z ramienia torysów, z tym że został wyrzucony z partii i parlamentu oraz osadzony w więzieniu za homoseksualne napaści na angielskich chłopców).

Sam prokurator Khan zasłynął na cały świat w ub.r., gdy udało mu się doprowadzić do wydania nakazu aresztowania prezydenta Putina i rosyjskiej rzeczniczki praw dziecka Lwowej-Bielowej. Oczywiście władca Rosji spokojnie podróżuje po różnych krajach, a haski nakaz aresztowania tylko skonsolidował Moskali, ułatwiając przekonanie ich, iż stoją w obliczu jakiegoś globalnego antyrosyjskiego spisku, przed którym ich jedyną obronę stanowi Putin.

Spektakularne akcje Khana nie od dziś sprawiają wrażenie oportunistycznych. Prokurator wszczyna je wtedy, kiedy akurat zachodnia opinia publiczna gwałtownie odwraca się od jakiegoś kraju, a starania o nakaz aresztowania mogą liczyć na medialny poklask. Tak było w przypadku Putina, za którego Khan zabrał się dopiero wtedy, gdy w Europie Zachodniej runęła tradycyjna społeczna sympatia do Moskali. Tak jest i w przypadku Netanjahu, którego prokurator chce aresztować właśnie wtedy, gdy przez Zachód przewala się fala nienawiści do Izraela i jego polityki. Fala, która – jak nie bez racji pokrzykują zdenerwowani Żydzi – zaczyna wyglądać na największy od II wojny światowej nawrót masowego antysemityzmu, tyle że tym razem charakterystycz-

nego dla politycznej lewicy, a zwłaszcza postępowo nastawionych akademików i studentów na uniwersyteckich kampusach. Hascy sędziowie mogą zatem liczyć na poklask postępowej opinii i lewicowych gazet, jeśli wydadzą nakaz aresztowania izraelskiego premiera. Nie ma wątpliwości, że antysemita całego świata, także polscy, będą triumfować, i to bez względu na oczywistą bezsilność ICC w egzekucji jego własnych nakazów.

„SKANDALICZNA DECYZJA”

Akcja Khana jest oczywiście ostro potępiana przez rząd USA, a prezydent Joe Biden określa ją mianem „skandalicznej”. Czeski premier Petr Fiala, który kontynuuje tradycyjną czeską politykę bliskiej współpracy zarówno z Izraelem, jak i ze środowiskami żydowskimi, opisał starania Khana jako „rzecz przerażającą i całkowicie do odrzucenia”. Ale prokurator wie, że może liczyć na sympatię coraz bardziej antyizraelskich lewicowych rządów europejskich, które w kilka miesięcy po napaści Palestyńczyków na Izrael, mordach z 7 października i porwaniu zakładników, obwieszczają teraz właśnie uznanie nieistniejącego realnie państwa palestyńskiego. Tak uczyniły ostatnio m.in. lewicowe rządy Hiszpanii i Norwegii, zaś hiszpański premier Sánchez w niezwykle uczuciowy sposób argumentował swoją decyzję: „Netanjahu używa głodu, zimna i terroru dla ukarania niewinnych palestyńskich dziewcząt i chłopców”. Inicjatywa Khana wzbudziła entuzjazm u szefowej dyplomacji Belgii. I nic w tym dziwnego, skoro minister Hadja Lahbib, pochodząca z muzułmańskiej rodziny imigrantów z Algierii, jeszcze przed swą karierą polityczną jako



Poranek z Radiem Warszawa "Budzimy stolicę i okolice"

Ewa Pietrzak, Jarosław Wydra,
Weronika Ostrowska i Janusz Zalewski
poniedziałek - piątek,
godz. 7.00-10.00

dziennikarka była znana z aż tak daleko idących antysemickich uprzedzeń, że relacjonując w telewizji jakieś konkursy muzyczne, pryncypialnie odmawiała informowania widzów, iż ich zwycięzca jest Żydem z Izraela.

Oczywiście pozostaje bezspornym faktem, że dla samych Palestyńczyków cena wojny, którą wywołali 7 października 2023 r. podstępny atakiem na nieprzygotowany Izrael, jest straszliwa. Tak jak straszliwa była cena, którą zapłacili nie tak dawno Afgańczycy za zbrodnie Al-Kaidy albo Arabowie za okrucieństwa Państwa Islamskiego. Zaskoczone tamtym napadem państwo żydowskie czyni dziś wszystko, aby uniemożliwić powtórkę takiego zdarzenia w przyszłości. Zniszczenie Hamasu jest egzystencjalnym celem Izraela, uprawnionym w kategoriach międzynarodowej sprawiedliwości, choć nie jest pewne, czy aby na pewno wykonalnym.

Rzecz bowiem w tym, iż Hamas, rządząc w Strefie Gazy od niemal dwóch dekad, przekształcił cały ten obszar, zamieszany przez ponad 2 mln Palestyńczyków, w fanatyczną antyżydowską twierdzę. Same władze Strefy Gazy, podając liczby ofiar, nie dokonują rozróżnień pomiędzy bojowcami Hamasu i ludnością cywilną. A prawdziwe źródło tragedii tkwi przecież w tym, że w Gazie z premedytacją

została zatarta różnica między antyżydowskimi terrorystami i palestyńską ludnością cywilną. Temu nie jest jednak winien broniący istnienia Izraela rząd Binjamina Netanjahu.

Analitycy są w zasadzie zgodni, że na krótką metę najważniejszym skutkiem politycznym akcji prokuratora Khana jest

uciszenie silnej wewnętrznej opozycji wobec Netanjahu, obecnej także w stworzonym przez premiera wąskim gabinecie wojennym. Minister obrony Galant, który miałby teraz zostać aresztowany wspólnie z premierem, od dawna był krytykiem jego polityki, domagając się stworzenia wspólnie z sojusznikami Izraela planu pokojowego odpowiadającego na pytanie, jak i przez kogo Strefa Gazy ma być rządzona po wojnie. Z kolei jeden z dwóch liderów liberalnej opozycji Beni Ganc, teraz również zasiadający w gabinecie wojennym, zapowiedział swoją protestacyjną dymisję, jeśli do 8 czerwca Netanjahu nie zgodzi się na plan pokojowy. Po akcji Khana skutek jest taki, że obaj ci politycy wystąpili

teraz z mocnymi słowami poparcia dla premiera, zaś Ganc zdyskredytował cały ICC jako „wypaczenie sprawiedliwości i moralne bankructwo sędziów”.

Najostrzejszy jak dotąd krytyk i rywal Netanjahu – były premier Ja'ir Lapid sam fakt zestawienia Netanjahu z Sinwarem uznał za „skandal”, wzywając przy tym Kongres USA do sankcji przeciw haskiemu trybunałowi. Prawicowy rząd Izraela, który chwiał się ostatnio w posadach, znów wzmocnił się na jakiś czas za sprawą akcji ICC.

Rząd kraju, który podejmuje wojnę obronno-odwetową, zostaje teraz zrównany ze ściganymi w całym wolnym świecie hersztami bojówek Hamasu specjalizujących się w zamachach i mordach na żydowskich cywilach



Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 10 maja 2024 r. zmarła

MARIA DŁUŻEWSKA

*aktorka, reżyserka filmów dokumentalnych,
działaczka opozycji antykomunistycznej*

*Ceremonia pogrzebowa rozpocznie się w Bazylice Archikatedralnej
přw św. Jana Chrzciciela w Warszawie w dniu 27 maja 2024 r.
o godzinie 14.00.*

*Po Mszy św. żałobnej nastąpi pożegnanie Zmarłej na Cmentarzu
Wojskowym w Warszawie (kwatery na Łączce).*

*Przyjaciele z tygodnika „Sieci”, portalu wPolityce.pl
i telewizji wPolsce.pl*

WROGOWIE I SOJUSZNICY

Nie zmienia to jednak faktu, że niezależnie od doraźnego umocnienia rządów Netanjahu i jego twardej strategii walki z Palestyńczykami Izrael znalazł się w ciężkiej sytuacji. A już zwłaszcza Żydzi w europejskiej diaspory po raz pierwszy od II wojny światowej zaczęli się obawiać powrotu w Europie dawnej epoki pogromów. Zarówno państwo Izrael, jak i diaspora żydowska potrzebują sojuszników bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Żydzi bywają zwykle uciążliwymi partnerami, gdyż łatwo i szybko popadają w przesadę i reagują nadpobudliwie, jeśli tylko uznają, że coś nie odpowiada ich interesom. Dotyczy to w szczególności izraelskiej dyplomacji, czego doświadczamy w Polsce z nie pierwszym już, nadzbyt egzaltowanym izraelskim ambasadorem. Ale to teraz jest właśnie ów trudny dla Żydów czas, kiedy przekonują się oni o swoich prawdziwych politycznych wrogach i prawdziwych sojusznikach.

Dlatego polska strategia wyznaczona przez ministra Sikorskiego i popierana przez PiS, aby akurat w takim czasie dystansować się od Izraela, np. w głosowaniach w ONZ, jest błędna, a państwu polskiemu nie przyniesie żadnych realnych pożytków. O wiele mądrzej postępują Czesi i Węgrzy, którzy wiedzą, iż właśnie teraz najlepiej budować przyszłe więzi nie tylko z Izraelem, lecz także globalną diasporą żydowską. ▲

Ona mówiła po ukraińsku, on po rosyjsku. Rozumieli się doskonale, co nie jest niczym nadzwyczajnym za naszą południowo-wschodnią granicą. „Po co ta wojna?! Po co ten Donbas, ten Krym, ta cała wschodnia strona?! Oddajmy im to i niech już nasi nie giną!” – mówiła podniesionym głosem. „Oddamy i za kilka lat znów będzie to samo, bez końca. Tak nie można, musimy się bronić!” – odpowiedział mężczyzna, dojadając pokrojoną na kawałki słoninę, bo na jej wwiezienie do Polski nie pozwalają przepisy. „My już jesteśmy za starzy, ale poszlibyśmy do armii, gdyby nas wezwano” – do rozmowy włączył się kompan odesyjczyka, do tej pory zajęty rozdzielaniem swojego zapasu papierosów pomiędzy niepalących współpodróżnych. Każdemu po dwie paczki, akurat tyle, ile można legalnie przewieźć przez granicę. „Wy swoje przeżyliście, wam łatwo ginąć”. „Nikomu nie jest łatwo ginąć!” – przerwał kobiecie ten pierwszy. „Tak, ale ci młodzi jeszcze nic nie zrobili, a już umierają! Wicie, jak ciężko jest nam we Lwowie patrzeć, kiedy grzebią naszych chłopców, a po ulicach jeżdżą takimi drogiemi samochodami piękni kawalerowie ze wschodu!? Niech oni jadą walczyć za swoje tereny, a nie nasi! My *im* nic nie zrobiliśmy, a za wszystko płacimy!” – wyrzuciła z siebie, jak się później okazało, matka poległego żołnierza ze Lwowa.

Czasy jedności narodowej Ukrainy po rosyjskiej napaści już minęły. Powracają spory polityczne i regionalne. Gdziekolwiek da się usłyszeć, że gdyby nie wojna, to Zełenski zostałby obalony przez obywateli, a w Kijowie ponownie stanąłby Majdan. *Oni* byliby więcej niż zadowoleni z takiego obrotu spraw – nie sposób nie wierzyć, że *ich* agenci i sprzedawcy nie robią wszystkiego, by okręt „Ukraina” rozkołysać jeszcze bardziej.

JEST NADZIEJA

Rozmowa zasłyszana na przejściu granicznym boleśnie obrazuje jeden z aspektów wojny. Jakże prawdziwy, jakże ludzki, ale nie jedyny. Nie sposób opisać ich wszystkich nawet w najgrubszej książce, a co dopiero w tygodniku. Podczas majowej wyprawy na Ukrainę udało mi się lepiej poznać zróżnicowane

Nie każdy musi być żołnierzem



Serhij konstruuje mobilne sale operacyjne

W drodze powrotnej do Polski w poczekalni na przejściu granicznym w Hrebennem przysłuchiwałem się gorącej dyskusji pomiędzy lwowianką a odesyjczykiem. Społeczeństwo rozległej Ukrainy nigdy nie było jednolite, ale trzeci rok wojny dodatkowo pogłębił wszelkie podziały



Chirurdzy w mobilnych punktach ratują żołnierzy najbliższej frontu jak to tylko możliwe

środowisko wolontariuszy, dających odpór podziałom i działaniom wewnętrznej agentury zmierzającej do ich pogłębiania.

Aniutkę i jej koleżanki oraz kolegów poznałem na początku wojny. Wszyscy w ramach wolontariatu pracowali na dworcu kolejowym we Lwowie. Ich „namiot” cały czas stoi naprzeciw wejścia głównego do budynku. Służyli informacjami tłumnie napływającym z całego kraju uchodźcom, pomagali znaleźć nocleg, pociąg, autokar czy asystę do dzieci. Może się wydawać, że to niewiele, ale w pierwszych miesiącach po 24 lutego taka pomoc była na wagę złota. Aniutka rozumie po polsku, a ja po ukraińsku, zatem zwracamy się do siebie w swoich ojczystych językach. Moglibyśmy rozmawiać po rosyjsku, ale ona nie chce słyszeć *ich* języka. Teraz zajmuje się rozładowywaniem magazynów z pomocą humanitarną i rozdysponowywaniem jej wśród potrzebujących, bo faktycznie dużo wszelakich dóbr utknęło na zachodzie kraju i beczynnienie leżało w składach.

Aniutka dzwoni po koleżę. Wsiadamy do jego samochodu i jedziemy zobaczyć coś, co według niej na pewno mnie zainteresuje.

Wchodzimy do sztabu Fundacji Voznytsky. Jak w wielu podobnych miejscach, panuje tu artystyczny nieład – z jednej strony widzę komputery, dalej puste skrzynki amunicyjne, obok ekspresu do kawy stoją pojemniki po pociągach, część z nich ludzako podobna do „głośnika”, który na pamiątkę przywiózł z Ukrainy jeden z polskich policjantów. Ściany ozdobione żółto-niebieskimi flagami z dedykacjami i podpisami oraz matami z plakietkami wojskowymi. Wszystko to wyrazy wdzięczności od żołnierzy, którym pomaga fundacja.

„W ramach projektu Keep Life [ang. zatrzymać życie] budujemy mobilne punkty stabilizacyjne” – mówi Serhij, szef projektu. „W największym uproszczeniu to sale operacyjne na ciężarówkach, choć są konstrukcjami bardziej skomplikowanymi, ale najprostszymi, jak tylko możliwe, dzięki czemu mniej awaryjnymi. MPS składa się z dwóch podstawowych części – ciężarówki i odpowiednio przerobionego oraz zamontowanego na niej kontenera morskiego”.

„Skąd wzięliście projekt MPS i jego instalacji” – pytam Sierhija. „Sam wszystko przygotowałem, jestem inżynierem z wykształcenia” – odpowiedział. „Wszystko jest zrobione tak, by dało się naprawić za pomocą młotka i spawarki. Dużą pomocą były dla nas polskie łóżyska, dzięki którym kontener łatwo rozsuwa się na boki, tworząc wewnątrz przestrzeń na dwa stoły operacyjne. Wszystko robimy sami, żeby obniżyć koszty”.

Skoro już o tym mowa, podpytuję, ile kosztuje MPS. „Ciężarówka ok. 15 tys. euro, kontener i jego przerobienie ok. 5 tys. euro, do tego jeszcze klimatyzacja, stabilizacja, agregaty prądowórcze, zbiornik na wodę” – wymienia Serhij. „To jednak tylko drobne wydatki w porównaniu do wyposażenia medycznego, bo tu praktycznie nie ma górnej granicy. Dwa MPS, które już powstały, kosztowały w przybliżeniu 250 tys. euro każdy. Obecnie montujemy dwa kolejne, więc potrzeby są ogromne. Prowadzimy zbiórki publiczne, aplikujemy o zagraniczne granty, czasami otrzymujemy pomoc rzeczową od firm medycznych. Utrzymujemy się z tego, co ludzie nam podarują”.

Spytalem Sierhija, czy w związku z pracą, którą wykonują na rzecz wojska, nie dotyczy ich pobór. Okazuje się, że formalnie nie ma to żadnego znaczenia. Bo w wojenkomacie wiedzą, że robiąc to, co robią, są bardziej pożyteczni na miejscu niż na froncie, ale jeżeli trafią na służbiste, mogą dostać wojskowy bilet.

NIE TYLKO LUDZIE

Wojny nie sposób zrozumieć, obrazy widziane na froncie nigdy nie dają o sobie zapomnieć. Ludzie są w stanie wytłumaczyć sobie wszystko, znajdować oparcie w wierze lub uciekać w używki. Jednocześnie potrafimy się organizować, pomagać sobie nawzajem, wiemy dokąd uciekać. Jednak wybuchy, alarmy, głód dotyczą także naszych braci mniejszych. Najdotkliwiej cierpią kanapowe pupile przyzwyczajone do dostatku i względnego spokoju.

Po 24 lutego widziałem, jak wielu Ukraińców ewakuowało się na Zachód z psami, kotami czy nawet rybkami akwariowymi. Niektórzy zginęli, inni uciekli z domów, zostawiając w nich zwierzęta na pewną śmierć. W miastach



wolontariusze wlamywali się do opuszczonych mieszkań i zabierali z nich czworonogi, ale nie wszędzie udawało się dotrzeć na czas.

Na wsiach zwierzęta najczęściej miały więcej swobody, ale zdziczałe i głodne psy potrafiły łączyć się w watahy i atakować ludzi. Tu też z pomocą przychodzili wolontariusze, dostarczając karmę. Niektórzy dziwili się, że karmione są zwierzęta, kiedy nie zawsze starczało jedzenia dla ludzi, ale w tym przypadku pomagano zarówno jednemu, jak i drugiemu.

Fundacja Sacre Coeur, mająca jeden ze swoich sztabów we frontowym Chersoniu, zajmuje się ewakuacją rannych i w ogóle ludzi oraz dostarczaniem żywności, ale przede wszystkim wspomaga wszystkich prowadzących schroniska dla porzuconych psów i kotów.

Z Kijowa do Chersonia jechaliśmy ambulansem fundacji z Arkadijem, szefem Sacre Coeur. Po drodze karetka uległa awarii. Nie staliśmy długo na poboczu, po chwili podjechał do nas radiowóz. Policjanci pytali, kim jesteśmy i co się stało. Na hasło wolontariusze uruchomili swoje kontakty, by pomóc nam w potrzebie. Dość szybko przyjechało trzech wojskowych mechaników, którzy uruchomili uszkodzony samochód. Ciężka praca wszystkich wolontariuszy pozwoliła wypracować im taką renomę.

W Czornobajiwce pod Chersoniem odwiedziliśmy panią Marię, która w skrzydle przychodni zorganizowała schronisko dla psów i lecznicę dla kotów. Arkadij sprawdził, jakie warunki mają zwierzęta. Okazało się, że nielekkie, ale widać było troskę o czworonogi. W przyfrontowym mieście trudno spodziewać się luksusów. Ostatecznie pla-



Pani Roma z Chersonia przyciągnęła kilkadziesiąt kotów



Katedra w Kamieńcu Podolskim



Sztab Sacre Coeur w Chersoniu



Wolontariusze Sacre Coeur, przed sztabem w Chersoniu



cówka trafiła na listę miejsc, do których Sacre Coeur dostarcza karmę.

W samym Chersoniu byliśmy w domu pani Romy opiekującej się kilkunastoma kotami. Aby do niej dotrzeć, musieliśmy przejechać ulicą wzdłuż Dniepru. Po drugiej stronie rzeki były już wrogie pozycje. Na tym odcinku kierowca naszej furgonetki mocniej niż zwykle wcisnął pedał gazu. Jej gospodarstwo znajduje się ok. 900 m od mostu Antonowskiego, który oni wysadzili, wycofując się z Chersonia w listopadzie 2022 r. Roma nie chce się ewakuować, jest u siebie. Koty to wolne zwierzęta, zawsze mogą odejść, ale jest im dobrze u niej, a od teraz wolontariusze Sacre Coeur będą im dostarczać karmę.

Płyty październikowe w miejscu szyb w oknach sztabu fundacji przypominają o jego ubiegłorocznym zombardowaniu. Szczęśliwie raketa uderzyła w nocy, kiedy nikogo tam nie było. W przywróconym do użyteczności lokalu Arkadij rozmawiał ze swoimi ludźmi nad nowym projektem, by poza pomocą w postaci dostaw leków do miejscowego szpitala oraz żywności dla ludzi i zwierząt zorganizować również opiekę psychologiczną dla osób jej potrzebujących. Z jednej strony w Chersoniu nie ma zbyt wiele miejsc „zwykłej” pracy, z drugiej mało kto chce pracować w mieście, w którym po drugiej stronie rzeki są oni.

KOŚCIELNE MIŁOSIERDZIE

Do Kamieńca Podolskiego dotarłem wczesnym rankiem,

a pierwsze kroki skierowałem do katedry, przy której Turcy, po przejęciu miasta na mocy traktatu w Buczaczu w 1672 r., wybudowali zwieńczony półksiężycem minaret. Po 27 latach Podole wróciło do Rzeczypospolitej. W kwestii minaretu nasi rodacy wykazali się nie lada fantazją. Pozostawili go na miejscu, ale na półksiężycu ustawili depczącą go, niczym biblijnego węża, figurę Matki Boskiej.

W katedrze akurat trwała msza święta w języku ukraińskim, ale pieśni wierni śpiewali po polsku. Po liturgii jej uczestnicy od razu rozpoznali we mnie Polaka, wszak w miejscowej świadomości każdy katolik jest naszej narodowości, i zaprowadzili na spotkanie z proboszczem, a ten z kolei przedstawił mnie będącemu akurat w świątyni biskupowi ordynariuszowi kamieniecko-podolskiemu Leonowi Dubrawskiemu.

Dużą część tego dnia spędziłem w towarzystwie i na wikie miejscowego kleru. Zapytałem o stojące na kościelnym terenie samochody z oznaczeniami Caritasu. Duchowni,

w tym kleryk z Meksyku, przez wierzonych też nazywany Polakiem (rzeczywiście można było się z nim porozumieć po polsku), opowiedzieli mi o pomocy, której Kościół katolicki od początku wojny udziela potrzebującym. Działania skupiają się głównie na wydawaniu posiłków, zapewnianiu miejsc noclegowych i pomocy w ewakuacji – co pokrywało się z moim doświadczeniami z rozmów ze wszystkimi duchownymi napotykanymi na Ukrainie od początku wojny. Oczywiście nie sposób również nie wspomnieć o wsparciu duchowym, do którego księży zostali powołani przede wszystkim.

Ukraina walczy o przetrwanie, nie wszystko działa, jak powinno, nie na wszystko wystarcza środków. Nie każdy jej syn jest gotowy bronić własnej ziemi, ale są tacy, którzy swoją pracą z całych sił wspierają wojenny wysiłek. Nawet jako cywile swoimi talentami służą zwycięstwu – za to należy im się szacunek i wszelka pomoc.

Korespondencja tygodnika „Sieci”

Poniżej podajemy numery kont fundacji, co do których mamy pewność, że środki, które do nich trafią zostaną wykorzystane zgodnie z ich przeznaczeniem. Za wszelkie wsparcie dziękujemy w imieniu fundacji i osób, którym niosą one pomoc.

Fundacja Voznytskyi – budowa mobilnych sal operacyjnych

UA143052990000026002041016140, Charitable Foundation »Borys Voznytskyi«, JSC CB „PRIVATBANK”, 1D Hrushevskoho str., Kyiv, 01001, Ukraine, kod SWIFT PBANUA2X, tytułem wpłaty pomoc humanitarna

Fundacja Sacre Coeur – zaopatrzenie schronisk dla zwierząt i ewakuacja rannych

UA303006470000026001001158906, International Charitable Found »Sacre Coeur«, JSB „Clearing House”, KYIV, UKRAINE, kod SWIFT CLHSUAUX, tytułem wpłaty pomoc humanitarna

Caritas 77 1160 2202 0000 0000 3436 4384, tytułem wpłaty UKRAINA, www.caritas.pl/ukraina



Matka Boska na szczycie minaretu w Kamieńcu Podolskim

Nowa gwiazda czy polityczny meteor?

Jeśli ktoś ma szansę pokonać Viktora Orbána, to tylko Péter Magyar – mówią przeciwnicy obecnego premiera. Kim jest nowy lider węgierskiej opozycji?



GRZEGORZ GÓRNY

W lutym na węgierskim firmamencie politycznym niespodziewanie pojawiła się nowa gwiazda: Péter Magyar – nieznan szerzej prawnik, który rzucił wyzwanie Viktorowi Orbánowi. W ciągu trzech miesięcy wyrósł na głównego lidera opozycji i największe zagrożenie dla obozu władzy. Niemal nie ma dnia, by nie występował przeciw urzędującemu premierowi, jednak robi to w inny sposób niż wszyscy dotychczasowi oponenci. Nie atakuje go ani z prawa (jak Jobbik), ani z centrum (jak liberałowie), ani z lewa (jak socjaliści). On krytykuje Fidesz z pozycji Fideszu.

Pozycjonuje się jak Orbán, ale nie dzisiejszy, lecz ten z 2010 r., gdy dochodził do władzy i obiecywał oddanie państwa w ręce obywateli. Według Magyara obecny szef rządu zawrócił z tej drogi i na miejscu starego systemu oligarchicznego zaczął budować nowy. W ten sposób zdaniem swego głównego oponenta Orbán zdradził program Fideszu.

POLSKA JAKO WZÓR DO NAŚLADOWANIA

W sprawach ideowych i światopoglądowych Magyar nie różni się właściwie niczym od rządzącej prawicy, dystansując się od lewicowych pomysłów na uszczęśliwienie ludzkości. Z tego powodu związane z liberałami i socjalistami media miały dylemat, jak się wobec niego zachować. Na początku przyjmowały jego wystąpienia owacyjnie, ponieważ po drugiej stronie znalazł się ktoś, kto ośmielił się krytykować Orbána. Z czasem jednak ich entuzjazm wygasł – gdy okazało się, że Magyar przejmuje wyborców opozycji, podbierając jej elektorat. Ostatecznie przeważyła jednak koncepcja, że Fidesz jest tak wielkim złem, iż warto poprzeć każdego, byle odsunąć go od władzy.

Sam zainteresowany może też liczyć na zrozumienie wielu rozczarowanych sympatyków Orbána, którym nie podoba się np. brak lustracji komunistów czy prorosyjski zwrot w polityce zagranicznej Budapesztu. Sam Magyar krytykuje rządzących m.in. za spowolnienie rozwoju gospodarczego, korupcję, oligarchizację, dramatyczny stan służby zdrowia, zapóźnienia w systemie edukacji czy marnotrawienie europejskich funduszy. Powtarza, że Fidesz stworzył uprzywilejowaną kastę oligarchów, która zastąpiła dawną komunistyczną nomenklaturę. Na każdym kroku jako wzór do naślado-



Péter Magyar

wania stawia Polskę, która po upadku komunizmu potrafiła wykorzystać swą szansę rozwojową.

Magyar jest niezwykle daleki od koncepcji „totalnej opozycji”. Przysnaję, że Orbán był niegdyś jego idolem i chwali wiele decyzji lidera Fideszu. Zarazem uważa, że premier Węgier odszedł od swych pierwotnych ideałów, nadużywając władzy i faworyzując antyrozwojowe grupy interesów. Te argumenty trafiają do coraz większej liczby obywateli. Ostatnie sondaże pokazują, że gdyby dziś odbyły się wybory parlamentarne,

to 5-proc. próg przekroczyłyby tylko trzy partie: na pierwszym miejscu Fidesz, na drugim partia Pétera Magyara TISZA, na trzecim lewicowa Koalicja Demokratyczna pod wodzą byłego premiera Ferencza Gyurcsány.

WIZERUNKOWY KRYZYS WŁADZY

Péter Magyar nie zrobiłby tak błyskawicznej kariery politycznej, gdyby nie pewne wydarzenie, które wstrząsnęło Węgrami trzy miesiące temu. 10 lutego do dymisji podała się prezydent kraju Katalin Novák. W przemówieniu do narodu przyznała, że popełniła błąd, udzielając ulaskawienia mężczyźnie odsiadującemu wyrok za tuszowanie afery pedofilskiej. Akt łaski, który stał się powodem jej ustąpienia z urzędu, był jedną z 22 tego typu decyzji, które podjęła w kwietniu 2023 r. z okazji wizyty papieża Franciszka w Budapeszcie. Dzięki temu na wolność został wypuszczony m.in. wicedyrektor ośrodka dla nieletnich w Bicske, który nakłaniał fałszywych podopiecznych do składania fałszywych zeznań, by oczyścić od zarzutów szefa tej placówki. Został za to skazany na 3 lata i 4 miesiące więzienia. Darowano mu jednak 1,5 roku kary.

Oprócz Katalin Novák do dymisji podała się również inna popularna polityk – Judit Varga, która jako minister sprawiedliwości zatwierdziła kontrowersyjne ulaskawienie, kontrasygnując tę decyzję. Podczas najbliższych wyborów do europarlamentu miała otwierać listę kandydatów rządzącego Fideszu.

Wydawało się, że rezygnacja obu kobiet zażegna kryzys wizerunkowy, który dotknął obóz Viktora Orbána, jednak wówczas do akcji nieoczekiwanie wkroczył Péter Magyar. Od 2006 r. był on żonaty z Judit Vargą. Małżonkowie doczekali się trzech synów, ale w 2023 r. ich drogi się rozeszły i doszło do rozwodu. Wydawać by się mogło, że od tamtego czasu Magyara nic już nie łączy z eksmałżonką, a jednak po wspomnianej dymisji niespodziewanie stanął w jej obronie, choć zapewne w inny sposób, niż ona sama by sobie tego życzyła. Stwierdził mianowicie, że obie kobiety stały się kozłami ofiar-

nymi systemu, z którym on sam nie chce mieć nic wspólnego. Złożył więc rezygnację z zajmowanych przez siebie stanowisk w państwowych spółkach i zaczął publicznie atakować środowisko, którego sam był częścią przez lata.

BENEFICJENT RZĄDÓW FIDESZU

Péter Magyar ściślejsz związał się z pracą w 2006 r., gdy miał 25 lat. Udzielał wówczas bezpłatnej pomocy prawnej ofiarom policji podczas starć ulicznych. Na tamten okres datuje się jego bliska znajomość m.in. z Gergelym Gulyásem, obecnym szefem kancelarii premiera Węgier. W 2009 r. przeniósł się do Brukseli z żoną, która została doradcą ówczesnego europosła (późniejszego prezydenta kraju) Jánosa Ádera. Rok później znalazł zatrudnienie w MSZ jako pracownik stałego przedstawicielstwa Węgier przy Unii Europejskiej. Do jego zadań należało m.in. reprezentowanie interesów państwa podczas procesów legislacyjnych w obszarach polityki transportowej i energetycznej oraz prawa spółek i konkurencji.

W 2015 r. rozpoczął pracę w kancelarii premiera Orbána jako osoba odpowiedzialna za relacje między rządem Węgier a europarlamentem w kwestiach prawnych, rynku pieniężnego i kapitałowego oraz budżetu, handlu i polityki rozwojowej. Od 2018 r. był jednym z dyrektorów Węgierskiego Banku Rozwoju, zaś rok później stanął na czele publicznego funduszu Centrum Pożyczek Studenckich. W kwietniu 2023 r. (już po rozwodzie z Judit Vargą) został powołany do zarządu państwowej spółki transportowej Volánbusz.

Przez te lata jego żona także robiła karierę polityczną w obozie władzy, odnosząc nawet większe sukcesy niż on. Była np. sekretarzem stanu ds. stosunków z Unią Europejską oraz przez cztery lata ministrem sprawiedliwości, odpowiedzialnym m.in. za negocjowanie z Brukselą tzw. kwestii praworządności. Przez niemal dwie dekady Péter Magyar pozostawał więc człowiekiem Fideszu. Jego opozycyjność jest dość świeżej daty, ponieważ liczy zaledwie trzy miesiące.

POTAJEMNE NAGRYWANIE WŁASNEJ ŻONY

Nowy bohater węgierskiej polityki utrzymuje, iż kroplą, która przelała czarę goryczy, było niesprawiedliwe potraktowanie jego byłej żony, czyli zmuszenie jej do rezygnacji, mimo że winę ponosił ktoś inny. Wielu komentatorów nie wierzy jednak w tę wersję i to nie tylko dlatego, że w małżeństwie Vargi i Magyara od dawna nie działa się dobrze. Podejrzewają, iż ambitny prawnik już wcześniej przygotowywał się do takiego kroku. Świadczy o tym fakt, że od dawna potajemnie nagrywał swoje rozmowy z żoną w domu, by później upublicznić ich fragmenty. Ujawnił np. jej wypowiedź, gdy była ministrem sprawiedliwości, iż ludzie Antala Rogána, jednego z najbliższych współpracowników Orbána, kontrolującego służby specjalne, próbują ingerować w bieżące prace prokuratury generalnej.

Film na kanale YouTube Partizán, w którym Magyar na podstawie swych osobistych doświadczeń opowiedział o nadużyciach obecnej władzy, w ciągu jednego dnia obejrzało 1 mln osób. Jego posty na Facebooku są znacznie popularniejsze niż wpisy samego Orbána. 15 marca, w dniu Święta Narodowego Węgier, zwołał w centrum Budapesztu wiec, na którym zjawili się więcej uczestników niż na analogicznym wydarzeniu Fideszu. Na spotkania z nim przychodziły tłumy, np. w 200-tys. Debreczynie zdołał zgromadzić ok. 40 tys. osób. Jego partia TISZA jest pierwszym opozycyjnym ugrupowaniem od 2018 r., które w sondażach przekroczyło 20 proc. poparcia. To pokazuje, że trafił w czuły punkt.

Bez wątpienia część Węgrów jest zmęczona długimi rządami Fideszu, jednak obóz władzy pozostaje silny. Do najbliższych wyborów parlamentarnych są jeszcze dwa lata, a przez ten czas Magyar może utracić walor świeżości. Może też jednak stopniowo wzmacniać swoją pozycję. Najbliższym sprawdzianem okaże się czerwcowe elekcja do europarlamentu. Ona zadecyduje, z jakiej pozycji nowy lider opozycji przystąpi do decydującej rywalizacji z Viktorem Orbánem.

Powtórka z Ursuli?

Jeśli Ursula von der Leyen nie zostanie ponownie przewodniczącą Komisji Europejskiej, o co się usilnie stara, to nie dlatego, że jest najgorszym przywódcą w dziejach Unii Europejskiej, ale dlatego, że brukselskie knucia i układanki mogą się ułożyć nie po jej myśli



DARIUSZ MATUSZAK

Dotychczasowej szefowej KE, której kadencja dobiega końca w październiku br., mają dość nawet sojusznicy jak Manfred Weber, szef stanowiącej jej zaplecze polityczne Europejskiej

Partii Ludowej. Na marcowym kongresie EPL w Bukareszcie mimo braku kontrkandydatów w tajnym głosowaniu dostała 80 proc. poparcia na nominację. Komisarz Thierry Breton ocenił, iż Niemka ma *de facto* mniejszość we własnej partii i ta nie wierzy w jej kandydaturę.

Francuscy republikanie, którzy wchodzić w skład EPL, już zapowiedzieli, że jej nie poprą. Szefowa Komisji ma świadomość, jak niepopularna jest w swoim obozie politycznym i dlatego szuka poparcia poza nim, m.in. u włoskiej premier Giorgii Meloni, która chce przewodzić Europejskim Konserwatystom i Reformatorom (EKR), do których należy też Zjednoczona Prawica. PiS zamiast we wrogim sobie świecie trzymać się zasady „nie mój cyrk, nie moje małpy” umyśliło, że pokaże swe wpływy na brukselskich salonach i poparło Niemkę w 2019 r., ale zapłaciło za to ogromną cenę i drugi raz tego nie zrobi. Pomoc od włoskiej premier może jednak kosztować głosy Grupy Socjalistów i Demokratów, która 4 maja w Berlinie zadeklarowała, że nie pójdzie na żadną współpracę z EKR. Podobnie Zieloni, którzy wspierali von der Leyen w 2019. Na razie Niemka jest pewna jedynie Donalda Tuska, który gorliwie ogłosił, że ją bezwarunkowo popiera, ale i to przecież nic nie znaczy, bo wszyscy wiedzą, że gotów ją zdradzić, jeśli tylko dostanie odpowiednie polecenie.

EUROPEJSKA ARYSTOKRATKA

Owych układanek z von der Leyen – kto z kim przeciwko komu – jest dużo więcej i jeśli o kilku wspominamy, to tylko po to, by pokazać czym stała się Unia, jak daleka jest od demokratycznych standardów, jak patologiczny jest jej ustrój, skoro o urzędnicze przywództwo może się ubiegać polityk, której partia przegrała wybory nawet we własnym kraju. Piszemy o jej szarzy na stołek przewodniczącej, bo cała ta akcja, jej urzędowanie, ona sama uosabia wszystko, czym dziś jest UE.

Von der Leyen to typowy produkt nowej europejskiej arystokracji. Jest urzędnikiem UE już w drugim pokoleniu. Jej ojciec Ernst Albrecht w 1958 r. był jednym z pierwszych unijnych oficjeli, a Ursula pierwsze 13 lat życia spędziła w brukselskiej dzielnicy Ixelles i tam uczyła się w Szkole Europejskiej. A potem całe życie służba i kariera na politycznych korytarzach i salonach, więc niech nie dziwi zimna, bezduszna aura tej Niemki, pogarda wobec poddanych, oderwanie od rzeczywistości. Dla jasnie pani to zwyczajne, że zamiast jechać z Bratysławy do Wiednia 45 minut limuzyną, leci prywatnym odrzutowcem. Warto o tym pamiętać za każdym razem, gdy plecie coś o Zielonym Ładzie i śladzie węglowym.

Po latach von der Leyen wróciła do Brukseli, bo została tam wysłana przez Berlin z resortu obrony, gdy Angela Merkel postanowiła pozbyć się jej jako najgorszego członka swego rządu. Pozbawiona własnego zdania i wyobraźni, bezwolna, pretensjonalna jak działacz lewicowych młodzieżówek, była znakomitą kandydatką. Do annałów przeszedł jej program rekrutowania do Bundeswehry imigrantów. Po milionach wydanych na propagandę, konferencjach, warsztatach multi-kulti udało się skapotać... dwóch Syryjczyków.

Jej równie skromna jak postura uczciwość wskazywała na to, że będzie gorliwie wypełniać rozkazy podporządkowywania UE interesom Niemiec, wielkim korporacjom i forsować dalszą unifikację. Było wiadome, że Merkel pozbywa się nie tylko najbardziej nieudolnego ministra, lecz także kogoś, za kim nieustająco ciągnął się swąd afer. Oskarżenia o plagiat pracy doktorskiej to tylko drobniaczek. Kiedy wysyłano ją do Brukseli, od roku działała już specjalna komisja Bundestagu prowadząca śledztwo w sprawie sięgającego setek milionów euro marnotrawstwa w Ministerstwie Obrony, wszechobecnego nepotyzmu i dziwnych kontraktów z firmą doradcą McKinsey, z której von der Leyen ściągnęła do resortu swą przyjaciółkę. Wydatki na owo doradztwo dla jej ministerstwa były wyższe niż dla wszystkich pozostałych resortów razem. Kiedy w 2020 r. komisja zażądała dostępu do służbowych telefonów byłej minister, to okazało się, że wszystko z nich zniknęło. Się samo wykasało.

I cyk, podobna historia przydarzyła się tej pechowej kobiecie trzy lata później – w 2023 r., kiedy instytucje Unii – w tym Europejski Trybunał Obrachunkowy – zaczęły powoli, z mozołem badać jak kupowano 900 mln szczepionek od Pfizera i zamawiano kolejny miliard. Niemka oświadczyła, że negocjacje z szefem tej firmy Albertem Bourlą prowadziła za pomocą telefonu i esemesów. I patrzcie, jaki traf – znów się wykasało i nie ma żadnych zapisów dotyczących wydania miliardów na szczepionki. Przy okazji wyszło na jaw, że małżonek przewodniczącej Heiko von der Leyen jest jednym z szefów należącej do Pfizera firmy Orgenesis, która dostała od Komisji Europejskiej setki milionów euro grantów na badania genowe.

Cała sprawa zarządzana kryzysem covidowym i zakupu szczepionek okazała się gigantycznym popisem nieudolności. Kiedy wybuchła zaraza, państwa europejskie na własną rękę w chaosie zamykały granice, blokując szlaki komunikacyjne, przerywając dostawy, a Komisja Europejska nie potrafiła niczego skoordynować. Ze szczepieniami UE pozostawała w tyle za resztą Zachodu. Całkowite niedołęstwo KE najlepiej zrecenzował ówczesny wicekanclerz Olaf Scholz, który na posiedzeniu rządu walił pięścią w stół i krzyczał, że to „Scheisse, które się rozlewa z Komisji, jest najlepszą reklamą brexitu”.

NADLATUJĄCA KATASTROFA

Kolejny pokaz nieudolności dotyczy imigracji. Tu symbolem jest zakończone kompromitacją porozumienie z Tunezją, której UE jak Turcji miała się opłacać za powstrzymywanie nielegalnych imigrantów przed desantem w Europie. Kiedy von der Leyen chwaliła się w Parlamencie Europejskim podpisaniem umowy, z Tunezji ku włoskiej Lampedusie wypływała armada łodzi z tysiącami imigrantów. Prezydent Kajs Su'ajjid ogłaszał zaś, że jego kraj nie da się upokorzyć i nie będzie strażnikiem granicznym UE, a jego rząd nie wypuścił do kraju delegacji PE, która chciała sprawdzać, jak Tunezyjczycy pilnują swoich plaż.

Ta historia to nie tylko popis niemocy w rozwiązywaniu kryzysu migracyjnego, lecz także w polityce międzynarodowej. „Politico” pisze, iż Niemka wciąż podróżuje odrzutowcami po całym świecie. Jaka z tego korzyść dla Unii?

W październiku ub.r. zerwane zostały negocjacje z Australią, w stanie paraliżu są rozmowy z Meksykiem i Chile. W listopadzie von der Leyen szykowała się na wyprawę do Brazylii, gdzie miała wreszcie – po 24 latach negocjacji – podpisać umowę z Mercosur, unią gospodarczą krajów Ameryki Południowej. I tu upokorzenie – wizytę w ostatniej chwili odwołano. Na szczęście dla nas umowy niszczącej europejskie rolnictwo póki co nie będzie. Unia pod przewodnictwem von der Leyen jest poniżana na świecie i stacza się do stanu globalnej nieistotności. Symbolem mogą być sceny z audienencji, której udzielił jej prezydent Turcji Recep Erdoğan, kiedy zabrakło dla niej nawet fotela i musiała jak pokojówka przycupnąć z boku na kanapie.

UNIA W ZŁEJ KONDYCJI

Nakreśliśmy ledwie szkic o jej przywództwie. Nie ma wątpliwości, że Unia jest w dużo gorszym stanie niż pięć lat temu, a kolejne katastrofy związane z zielonym szaleństwem i najazdem imigrantów dopiero czekają Europę. Nie da się wskazać ani jednego problemu, który Komisja rozwiązała pod jej przewodnictwem. To, że von der Leyen – tak skrajnie nieudolna i pozbawiona jakiegokolwiek charyzmy osoba – może ubiegać się o drugą kadencję, powinno wywoływać bezbrzeżne zdziwienie, a nawet przerażenie. Refleksję nad tym, w którą stronę zmierza Europa, skoro wieść ją mogą tak pozbawieni kompetencji eurokraci.

Von der Leyen okazała się tak słaba, że nawet Niemcy mają jej dość, ale nie znaleźli politycznie strawnego sposobu, by ją zastąpić kimś równie nijakim, więc znów wciskają ją Europie jak produkt drugiej świeżości. Niby próbowano ją skierować na odcinek NATO – stąd plotki, iż ma być sekretarzem generalnym Sojuszu, ale po doświadczeniach z jej kierowaniem resortem obrony przy fatalnej reputacji Niemiec, ich zerowej wiarygodności jako sojusznika, był to spektakl teatru groteski. Nawet francuski „Le Monde” atakował ją, zarzucając narcyzm, próżność, bezwstydną autopromocję, wykraczanie poza swe prerogatywy, nieliczenie się z głosem państw członkowskich i proamerykańskość. To ostatecnie to w naszych oczach zaleta, jednak trudno sobie wyobrazić gorszego lidera na nadchodzące czasy smuty. Tylko w Polsce – w prawdziwie słusznych i postępowych mediach i u ukochanej europejskiej władzy – zawsze ten bezbrzeżny i bezrefleksyjny zachwyt nad UE i Ursulą von der Leyen.

Holenderski wiatrak zmian



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Kordon sanitarny został przełamany. W Hadze powstaje koalicyjny gabinet, w którym najwięcej będzie miał do powiedzenia Geert Wilders. Zacznie on szukać sojuszników w Europie, aby zatrzymać masową imigrację i rozwinąć Zielony Ład

Liberalni, zrelaksowani i kosmopolityczni: tak reszta Europy widzi Holendrów. W listopadzie 2023 r. wybory parlamentarne w kraju tulipanów i legalnej marihuany wygrał jednak prawicowy populistą Geert Wilders i jego Partia Wolności (PVV), który odkąd jest w polityce, a to już ponad 25 lat, nie kryje niechęci do islamu, Unii Europejskiej i masowej imigracji. Fakt, że to na niego postawili Holendrzy, wiele mówi o nastrojach w Królestwie Niderlandów i jest ostrzeżeniem dla liberalnych elit na Starym Kontynencie, szczególnie przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. PVV zdobyła 37 miejsc w 150-mandatowej izbie niższej (Tweede Kamer) – o 20 więcej niż podczas poprzednich wyborów. To dużo, ale za mało, by samodzielnie rządzić. Rozdrobnienie to stały element życia politycznego w Hadze. Dlatego od Berlina po Brukselę panowała nadzieja, że utworzenie koalicji Wildersowi się zwyczajnie nie uda, a rządzić będzie ostatecznie szeroki lewicowo-liberalny alians z liderem Partii Pracy (PvdA) Fransem Timmermansem na czele. Stało się inaczej.

NOWY KIERUNEK

Wilders swoje główne postulaty, niezmiennie od lat, schował, jak sam mówi, do „zamrażarki”: tzw. nexit, czyli wyjście Holandii z UE, zakaz meczetów, Koranu i samego islamu. Zrezygnował także z roli premiera. I to mu się opłaciło. Po wielu miesiącach trudnych negocjacji koalicja stoi. Konserwatywno-liberalna VVD byłego mentora Wildersa i wieloletniego premiera Marka Ruttego połączyła się z PVV, Nową Umową Społeczną (NSC) Pietera Omtziga oraz Ruchem Rolnicy-Obywatele (BBB), wyrosłym na protestach farmerów. Będzie to rząd „w połowie złożony z polityków, a w połowie z ekspertów”.

Jak wynika z 26-stronicowej umowy koalicyjnej o nazwie „Nadzieja, odwaga i duma”, opublikowanej 16 maja, cztery partie chcą skierować kraj w zupełnie nowym kierunku. Z jednej strony dalsze wsparcie dla Ukrainy i silne zaangażowanie na rzecz NATO oraz europejskiego przemysłu obronnego, z drugiej wycofanie się z polityki azylowej i migracyjnej UE, wzmocnienie kontroli na granicach oraz „zrobienie wszystkiego, co możliwe”, aby złagodzić skutki Zielonego Ładu. Nowy rząd zapowiedział ni mniej,

ni więcej tylko wprowadzenie „najsurowszego w historii systemu azylowego”. To imigrant będzie musiał udowodnić, że należy mu się prawo pobytu w Holandii, a odwołać się od odmownej decyzji będzie można tylko raz. Deportacje mają znacznie przyspieszyć, a azylanci nie będą już mieli pierwszeństwa w przydziale mieszkań socjalnych. Automatyczne łączenie rodzin zostanie zniesione, a liczba osób, które będą mogły dołączyć do członków rodziny przebywających już w kraju, zostanie „znacznie ograniczona” – czytamy w dokumencie.

Znajomość historii Holocaustu będzie warunkiem, by imigrant w ogóle mógł myśleć o azylu, a wymagania dotyczące języka niderlandzkiego również staną się bardziej rygorystyczne. Osoby chcące zostać Holendrami będą także musiały zrzec się swojego obywatelstwa.

„NADCHODZI POPULISTA”

Ponadto Wilders i jego koalicjanci chcą zbudować setki tysięcy mieszkań, by złagodzić kryzys, z którym boryka się kraj, oraz zapewnić bezpieczeństwo energetyczne, budując cztery nowe elektrownie atomowe. Za sprawą Pietera Omtziga do umowy koalicyjnej trafiło także wiele propozycji socjalnych: obniżenie podatku dochodowego, wyższe zasiłki na dzieci i zmniejszenie składek zdrowotnych o połowę. Zniesione zostaną wymogi dotyczące energooszczędności domów i zniknie obowiązek instalacji pomp ciepła. Zapowiadany podwyższony podatek węglowy zostanie wycofany, a dotacje na zakup pojazdów elektrycznych wygasną w 2025 r. Rolnicy znów będą mogli nawozić do woli swoje pola, a ich gospodarstwa nie będą przejmowane przez państwo.

Holenderska prasa pisze o „rewolucji”, a europejska jest przerażona. Portal Politico ostrzega Brukselę, że „nadchodzi populistą Wilders”, a niemiecki „Süddeutsche Zeitung” wieszczy „koniec dobrej i produktywnej współpracy z Hagą w UE”. Według gazety plany nowej koalicji w sprawie migracji doprowadzą do ostrych sporów nie tylko z Brukselą, lecz także innymi krajami UE, a Wilders zapewne będzie chciał – jeszcze bardziej niż jego poprzednik Rutte, znany z oszczędnego podejścia do wpłat do wspólnego budżetu – jeszcze je zredukować. Jednym słowem: koszmar.



Na domiar złego Wilders zapowiedział, że jego rząd będzie szukał „potencjalnych partnerów w UE wśród krajów o podobnym nastawieniu”. Biorąc pod uwagę, że w wielu krajach partie eurosceptyczne i antyimigracyjne współrządzą lub prowadzą w sondażach, może mu się to udać. W Niemczech zapowiedź zaostreżenia polityki azylowej Holandii wywołała nerwową reakcję opozycyjnej chadeckiej, która obawia się, że imigranci, którym będzie groziła deportacja, będą próbowali dostać się do Niemiec. „Nie może tak być, że jakiś kraj prowadzi politykę migracyjną na koszt sąsiadów” – zadeklarowała wiceszefowa frakcji CDU/CSU w Bundestagu Andrea Lindholz w rozmowie z dziennikiem „Bild”.

NIEDOPUSZCZALNY KOMPROMIS

Oburzeni są też europejscy liberałowie z grupy Renew Europe (RE), do której należy VVD. Przewodnicząca frakcji RE w Parlamencie Europejskim Valérie Hayer ostro skrytykowała partię Ruttego, którą od sierpnia 2023 r. kieruje Dilan Yeşilgöz-Zegerius, za jej udział w nowej koalicji rządzącej w Hadze. „Chciałabym wyrazić moją całkowitą dezaprobatę i głębokie zaniepokojenie – napisała Hayer w oświadczeniu udostępnionym na platformie X (d. Twitter). – PVV (Wildersa) jest przeciwieństwem tego, czego bronimy jeśli chodzi o wartości, praworządność, gospodarkę, klimat i oczywiście Europę. Kompromisy ze skrajną prawicą są niedopuszczalne”. Jak dodała już po wyborach do PE, frakcja RE się zbierze i zdecyduje co dalej – co należy zrozumieć jako co dalej z członkostwem w niej VVD. Ponadto sondaże przewidują, że Renew Europe straci w wyborach 15 mandatów i w roli trzeciej siły w PE zastąpi ją grupa Tożsamość i Demokracja (ID), do której należy właśnie PVV Wildersa.

Kordon sanitarny został przełamany. Jest to pierwszy przypadek, gdy partia należąca do najbardziej skrajnie prawicowej frakcji w Parlamencie Europejskim tworzy rząd koalicyjny z partiami głównego nurtu w całej UE. Istnieje więc obawa, że za VVD pójdą inne partie w Europie, w tym chadeckie. „Jeden długi tor biegnie obecnie z Finlandii przez Szwecję aż do Holandii, Chorwacji i Włoch. Jest to tor łączący wszystkie miejsca, gdzie rzekomo »prounijne« partie zawarły teraz układy ze skrajną prawicą, aby

zyskać na tym politycznie. Jako socjaliści potępiamy to jak najsurowiej” – czytamy w oświadczeniu grupy socjalistów w PE. Europejska lewica domaga się wręcz, by VVD została wykluczona z frakcji RE.

RACHUNKI DO WYRÓWNIANIA

Nowi koalicjanci puścili krytykę mimo uszu. Yeşilgöz-Zegerius podkreśliła, że liberalne wartości zostały jak najbardziej zachowane w koalicyjnym porozumieniu, podczas gdy lider NSC Pieter Omtzigt zauważył, że w nowej koalicji panuje większa „różnorodność” niż zwyczajowo w holenderskiej polityce. Według niego „wyborcy dali jasny sygnał, czego chcą i zostali wysłuchani”. Caroline van der Plas, liderka BBB, zaś stwierdziła, że jest szczęśliwa z powodu zyskania tak „znakomitych sojuszników”. Sam Wilders natomiast zaznaczył, że nad Holandią „znów zaczęło świecić słońce”.

Czy „gabinet nadziei” ma przyszłość? W Brukseli liczą, że szybko się rozpadnie, a Wilders i Omtzigt, dwie silne osobowości, w końcu zderzą się ze sobą. Wciąż nie wiadomo, kto zostanie premierem. Miał nim być szanowany mikrobiolog i socjaldemokrata z prawicowymi inklinacjami Ronald Plasterk, który negocjował umowę koalicyjną. Ale ten sprzedał swój start-up biotechnologiczny dwa lata temu za 32 mln euro i miał przy tym naruszyć prawo patentowe. Wycofał więc swoją kandydaturę po doniesieniach medialnych. Zdaniem Wildersa premier zostanie wyznaczony, a gabinet uformowany do końca czerwca. Wcześniej chce on osiągnąć dobry wynik w wyborach do PE.

Jak wynika z sondaży, nawet 25 proc. Holendrów chce głosować na PVV. Ugrupowanie jest popularne szczególnie na prowincji. W Sint Willebrord w Brabancji Północnej, gminie liczącej 9,3 tys. mieszkańców, 3 na 4 wyborców oddało w wyborach parlamentarnych w listopadzie głos na partię Wildersa. I wszystko wskazuje na to, że 9 czerwca będzie podobnie. „Ludzie mają rachunki do wyrównania ze starą polityką” – powiedział w rozmowie z Agencją Reutera Rem Korteweg, ekspert think tanku Clingendael w Hadze. I najwyraźniej chcą wyrównać te rachunki już teraz.

Kataloński scenariusz dla Śląska?

Dlaczego śląski separatyzm nie spędza nam snu z oczu? Może dlatego, że wolimy je przymykać i udawać, że ten problem nas nie dotyczy, bo ani Ślązacy, ani Kaszubi nigdy nie sięgną po chimere secesji, tak jak to robią Baskowie czy Katalończycy. Trudno o większą naiwność, gdy wiadomo o coraz ściślejszych relacjach autonomistów śląskich ze zrewoltowaną Katalonią. W dodatku bardzo wiele ich łączy mimo dystansu na mapie: germańscy ojcowie założyciele i ojkofofia



MAŁGORZATA WOŁCZYK



Naprawdę uznaliście mowę śląską za język regionalny?” – ze zdziwieniem pyta mnie Hiszpanka Cristina García, doktor historii barcelońskiego uniwersytetu. „Powtórzyliście zatem z premedytacją nasz ogromny błąd i za parę lat zobaczycie, co to znaczy separatyzm śląski”.

Gdy ktoś zaczyna się uśmiechać, słysząc o analogiach między dążeniami Śląska i Katalonii, wystarczy zadać mu podstawowe pytanie: dlaczego nikt nigdy nie słyszał o dążeniach do autonomii francuskiej Katalonii (okolice Per-

pignan) i francuskiego Kraju Basków (okolice Biarritz), a zawsze słyszymy tylko o ruchu niepodległościowym w hiszpańskich prowincjach ze stolicami w Barcelonie i Bilbao? Odpowiedź jest prosta: ponieważ Hiszpania w przeciwieństwie do Francji uznała „bogactwo różnorodności językowej jako swoje dziedzictwo kulturowe”, a w ślad za tym wpisano do konstytucji status ich regionalnych języków: catalán i euskery uznano za języki urzędowe, współlistniejące z ojczystym hiszpańskim we wspólnotach autonomicznych Katalo-

nii i Kraju Basków. To, co Paryż zdusił w zarodku, negując bogactwo językowe regionów i wybijając z głowy wszelkie marzenia o kontynuowaniu mowy w języku oksytańskim, baskijskim, bretońskim (i czyniąc frankofonię orężem swego nowoczesnego soft power), Hiszpania uwzniośliła i złożyła na ołtarzu różnorodności oraz wielokulturowości. Teraz za to płaci.

JEZYK TO TYLKO PRÉLUDIUM DO SECESJI

Przyznam, że podróżując po francuskich i hiszpańskich Katalonii oraz Kraju Basków, a w dodatku znając oba języki, zauważałam zatrute owoce uznania „mniejszości etnicznych” i ich języka. Francja wychowała sobie posłusznego obywatela, który swój regionalizm traktuje raczej jak folklor, a w dialogu ze mną, cudzoziemką, nie tylko „parła” po francusku, lecz także nie wysuwa żadnych marzeń o autonomii.

Co innego w Katalonii hiszpańskiej, gdzie od razu ktoś mnie ofuknie, że tu trzeba mówić po katalońsku, bo „Katalonia to nie Hiszpania!”, a najchętniej opowie o tym, jak Madryt ją okrada. Turysta podróżujący po ogarniętych rewoltą regionach w pewnych momentach historii mógł też zapłatać się pechowo w zamachy terrorystyczne ETA lub płonąć Barcelonę w 2017 r. Tym, co zawsze wyróżnia ruchy separatystyczne, jest ich naturalne ciążenie ku skrajnej lewicy i jej przemocy. A jednak historia separatyzmów katalońskiego, baskijskiego i „autonomistów” śląskich podpowiada, że – jakkolwiek szokująco to zabrzmie – mają wspólne korzenie we wpływach germańskich.

WPŁYWY GERMAŃSKIE NA PROCESY SEPARATYSTYCZNE

Moim przewodnikiem po mało znanych u nas zagadnieniach jest Jesús Laínz, hiszpański ekspert ds. separatyzmów, pisarz, publicysta i prawnik z wykształcenia. Jego wykład w Parlamencie Europejskim w 2019 r. o katalońskim separatyzmie i języku regionalnym jako instrumencie do sięgania po wciąż nowe przywileje i nowe statuty zapewniające coraz większą autonomię regionu zwró-

cił moją uwagę i od wielu lat uczę się od niego znamion „wirusa” secesji.

Tak jak wielu innych specjalistów Laínz w swoich książkach wywodzi początek owego wirusa katalońskiego szowinizmu również od teorii zgermanizowanego Mazura, archeologa Gustafa Kossinny, ideologa teorii rasowych, które przyjął też nazizm. Uczniem Kossiny był zaś Pere Bosch-Gimpera, rektor Uniwersytetu Autonomicznego w Barcelonie w latach 30. XX w., który jako pierwszy rozpisywał się o wyższości rasowej Katalończyków, mających ponoć cechy wspólne z wyższą rasą germańską. Ponieważ Bosch-Gimpera był ministrem w katalońskim rządzie Lluísa Companysa, miał wpływ na rodzące się wtedy wśród elit katalońskich teorie o niższości rasowej Hiszpanów.

Czytamy zatem w jego pismach: „Od jakiegoś czasu wątpiliśmy, czy większość Hiszpanii jest zdolna do nowoczesnego postępu. Jedynie w prowincjach północnej i północno-wschodniej widzieliśmy prawdziwe elementy rasy i organizacji kraju, które pozwalają nam mieć nadzieję na rozwój kultury podobnej do kultur germańskich. W centrum i na południu, z wyjątkiem kilku indywidualności, zauważyliśmy, że niestety zbyt mocno dominuje element semicki, a tym bardziej element przedsemicki lub berberyjski ze wszystkimi jego cechami. Można by powiedzieć, że Kastylijczycy, wypędzając Maurów, padali ofiarą ducha afrykańskiego”.

„Germania” była również dla Katalończyków archetypem chwalebnej przeszłości, za którą nacjonaliści będą tęsknić w kolejnych stuleciach – tak uważa Laínz. I oto dziś liderzy ruchu niepodległościowego w Katalonii wciąż otwarcie potwierdzają, że czują więcej wspólnego z Europejczykami z Północy niż z rodakami z Południa.

Czy Ślązacy też czują się lepsi od nas? Czy czują większe pokrewieństwo z Niemcami niż z Polakami? To pytanie jest nierozstrzygnięte, choć powraca na forach internetowych, a ich lektura czasem przeraża. Proniemieckie tęsknoty Ruchu Autonomii Śląska lub Śląskiej Ferajny były swego czasu materiałem na cykl artykułów. Jeśli za twarz „autonomistów” uznać Łukasza Kohuta, sympa-

tyka RAS i najbardziej znanego polityka zabiegającego o uznanie Ślązaków za mniejszość etniczną, to można nabrać uzasadnionych podejrzeń, że owszem, Ślązacy mają do polskości pogardliwy stosunek.

Spoglądanie z uznaniem na germańskie cnoty i porządek to nie jedyne, co łączyło pierwszych liderów separatystycznych z Kraju Basków, Katalonii czy Śląska. Wystarczy spojrzeć na baskijską ikonografię, zwłaszcza tzw. koniczynkę Lauburu, a od razu odsyła ona do swastyki. W 1934 r. nacjonalistyczna partia Basków PNV otrzymała list z sekretariatu NSDAP z żądaniem wyjaśnienia, skąd w jej herbie swastyka niemiecka. W odpowiedzi PNV przyznała, że grafika jest pochodzenia germańskiego.

Z oczywistych powodów separatystów z obu tych regionów po II wojnie światowej woleli nie odwoływać się do teorii swej lepszej rasy pochodzącej od Germanów, co nie oznacza, że przestali się czuć lepsi pod każdym względem. Premier katalońskiego rządu w latach 2018–2020 Quim Torra napisał w przeszłości wiele rasistowskich artykułów, w których drwił z domieszki „afrykańskiej” we krwi tych z Południa. Zresztą wielu kreatorów katalońskiej tożsamości podnosiło hasła o niższym IQ Kastylijczyków albo o defektach w anatomii ich szczęki czy czaszki.

SEPARATYZM CZYHA NA SŁABOŚĆ PAŃSTWA

Separatyzmy żywią się nie tylko poczuciem wyższości, lecz także instynktownie szukają lepszego protektora i większego bogactwa. Jeśli ich obecna ojczyzna znajduje się w kryzysie albo trzeba podjąć na równi z nią jakiś wysiłek ekonomiczny, wtedy natychmiast zwracają się do bogatszego „pana”. Tak jest w przypadku wysoce uprzedmiotowionych i bogatych regionów Katalonii i Kraju Basków. Solidarność z rodakami w razie nieszczęść nie mieści się w żadnym kodeksie etycznym zrewoltowanych, bogatych regionów. Nie bez powodu przywołuje się obraz niekończących się kolejek po paszport na Śląsku, gdy centralna i wschodnia Polska ruszyła na granicę, by pomagać uchodźcom z Ukrainy.

Tym, co musi nas zaalarmować, są hasła wzajemnego wsparcia między separatystami, bo lider RAŚ Jerzy Gorzelik oficjalnie poparł autonomiczne dążenia Katalonii i dopingował Katalończyków, nawet gdy ci popełniali akty ulicznego terroryzmu. Autonomiści uczą się kopiowania sprawdzonych scenariuszy. To dlatego w internecie można odnaleźć grafiki pokazujące solidarność i wspólnotę celów Ślązaków i Katalończyków. Aktywiści ruchów secesjonistycznych znajdują się w sojuszu European Free Alliance (EFA), którego zjazd odbył się w Katowicach w 2017 r. W tym gronie jest RAŚ i kilka partii z Hiszpanii.

POLSKI SĘDZIA ZE ŚLASKA POMAGA PUIGDEMONTOWI

O sympatii do Ślązaków, a szczególnie do jednego – profesora z Uniwersytetu Śląskiego Macieja Szpunara, sędziego TSUE, pisał dziennik „ARA” (organ separatystów), doceniając jego wysiłki na rzecz pomocy liderom katalońskiego ruchu niepodległościowego: „Człowiekiem, który w europejskim wymiarze sprawiedliwości połączył dwie strategie sądownicze przywódców Oriola Junquerasa i Carlesa Puigdemonta jest Polak i nazywa się Maciej Szpunar”. W kwietniu przewinął się on przez czołówki hiszpańskich gazet jako ten, który, znajdując zapisy prawne, wyciąga pomocną dłoń do autora zamachu stanu w Katalonii – Puigdemonta.

Obaj separatystyczni przywódcy, choć zostali wybrani do Parlamentu Europejskiego w 2019 r. przy urnach w Katalonii, to jako zbiegowie sprzed wymiaru sprawiedliwości Hiszpanii (od lat ukrywający się w Belgii) nie dopełnili wielu formalności, aby móc stać się europosłami w świetle prawa. Obaj zaskarżyli odmowę przyznania im mandatu w PE, a choć sąd odrzucił ich apelację, to z odsieczą pospieszył im Szpunar, proponując, aby TSUE uchylił orzeczenie sądu.

Dość ryzykowne to wspieranie separatystów, tym bardziej wobec doniesień o ich ujawnionej współpracy z Kremlem i śledztwie toczącym się w tej sprawie.

Oczywiście można to uznać za zbieg okoliczności, ale nikt z moich rozmówców w Hiszpanii w to nie wierzy, bo o aspiracjach Ślązaków wiadomo nawet nad Tagiem.

MARSZ PRZEZ INSTYTUCJE

Zawsze zaczyna się tak samo i artykułuje to Łukasz Kohut na nagraniu „Marsz autonomii” dostępnym na YouTube: „Najważniejsze jest najpierw uznanie języka śląskiego za język regionalny, dlatego że będzie to rezonować na kolejne pokolenia Ślązaków i po prostu doprowadzi do kolejnej takiej śląskiej wiosny. Zależy mi przede wszystkim na

„Naprawdę uznaliście mowę śląską za język regionalny?” – ze zdziwieniem pyta mnie Cristina García, doktor historii barcelońskiego uniwersytetu. „Powtórzyliście zatem z premedytacją nasz ogromny błąd i za parę lat zobaczycie, co to znaczy śląski separatyzm”

tym, żeby Ślązacy byli w końcu uznani za mniejszość etniczną i decentralizacja to oczywiście docelowo”.

Te same życzenia artykułuje część przedstawicieli śląskiej opinii publicznej, ale Hiszpanie ostrzegają, że są to różne twarze kamuflażu. „Autonomia jest lepszym rozwiązaniem dla regionu niż obecny model samorządu” – czytamy na stronach RAŚ. Hiszpanie przez dekady słyszeli podobne argumenty, dowiadując się stopniowo, że autonomia równa się „samostanowienie”, co w praktyce oznacza oderwanie od państwa. *Modus operandi* zawsze jest ten sam: z chwilą przyznania statusu języka regionalnego rozpoczyna się ofensywa językowa w mediach, kulturze, edukacji i akcja tożsamościowa

– pisanie historii regionu od nowa z pomocą usługowych historyków, ideologów, artystów, następuje przy tym wymiana kadr w szkołach i instytucjach kultury.

Cóż z tego, że elity domagające się autonomii są w mniejszości, skoro od kilku lat współrządzą województwem śląskim dzięki Platformie Obywatelskiej. Tak samo jak w Katalonii „grupa trzymająca władzę” postara się szybko zindoktrynować lub sterroryzować społeczność. Zapewne i tu milcząca większość doświadczy na własnej skórze, że „kto nie z nimi, ten przeciwko nim” i poniesie tego konsekwencje. W praktyce Ślązacom niepodzielającym kaprysu secesji zostaną zamknięte drogi awansu, kariery, bywania na salonach. Przybierze na sile wiktyzm i narracja martyrologiczna, czyli oskarżanie Polski o zbrodnie na ludności śląskiej oraz „obozy koncentracyjne” po 1945 r.

Naturalnym posunięciem będzie umiędzynarodowienie tego problemu, a ktoż lepiej zrozumie „uciskanych” Ślązaków niż Berlin i Bruksela? Ścigany listem gończym Puigdemont uciekł schowany w bagażniku samochodu do Belgii, gdzie mieszka od lat, nie niepokoiony. Hiszpański wymiar sprawiedliwości już kilkakrotnie wydawał Europejski Nakaz Aresztowania, ale Niemcy i Belgia odmówiły ekstradycji. Owszem, ten sam Puigdemont trzyma dziś w szachu premiera Sáncheza i całą

Hiszpanię za sprawą siedmiu głosów swej partii w Kongresie, ale nie zmienia to faktu, że biurokraci z Unii Europejskiej nie wykazali się żadną chęcią pomocy w schwytaniu zbiega, a sędzia Szpunar z TSUE także pomaga sprawie.

Oslabiona Hiszpania jest w interesie reńskiego centrum, a co mówić o Polsce, która pograżałaby się w wewnętrznym konflikcie? Nikt z Polaków nie podejrzewa, do jakich manipulacji i fałszerstw zdolni są separatyści, zwłaszcza jeśli wejdą w alianse z lewicą. Ich terroryzm, a przede wszystkim jego ofiary, napisały krwawe rozdziały najnowszej historii Hiszpanii. Naprawdę chcemy dla Polski scenariusza katalońskiego? A wszystko zawsze zaczyna się tak niewinnie: od uznania języka regionalnego.

Nie nagrało się...

Dziennikarze w zawodowym życiu, nawet kiedy mają zwyczajne trudności, a nie nadzwyczajne kłopoty, miewają swoje profesjonalne traumy. I nie chodzi o jakieś legendy o wypaleniu czy załamaniu nerwowym, ale całkiem codzienne sprawy, które na krótko, ale jednak odbierają chęć do pracy. Moją największą było, kiedy zdobyłem ekskluzywną wypowiedź pewnego duchownego dotyczącą ważnych podówczas wydarzeń politycznych, a dzień po publikacji mojego tekstu grupa prawicowych polityków zwołała konferencję prasową, na której zaprezentowała oświadczenie owego księdza (skądinąd legendarnego duszpasterza opozycji, ujawnionego potem jako agenta SB, dziś już nieżyjącego – wszystko to jest już teraz bez znaczenia) zaprzeczające temu, że w ogóle się z nim kontaktowałem. Do końca życia nie zapomnę słów mojego szefa, który wtedy powiedział: „Ja panu ufam, ale lepiej, żeby pan miał dowód, że pan z nim rozmawiał”.

Nie nagrywałem tej rozmowy, dziennikarze zazwyczaj nie nagrywają krótkich wypowiedzi przez telefon, wychodząc z założenia, że ich rozmówcy są poważnymi ludźmi. Ten nie żądał autoryzacji, wobec czego także nie autoryzowałem. Nie miałem więc jakiegokolwiek dowodu.

Obdzwoniłem przynajmniej kilkanaście osób, aby odnaleźć duchownego, który nagle zapadł się pod ziemię. Znalazłem go w lasu pod miastem i przekonałem, aby potwierdził, że ta wymiana zdań miała miejsce. Uff!

Czasem nawet jeśli nagrywa się wypowiedź, to nie jest dobrze. Ostatnio prowadząc kolejną turę rozmów z niesłyszczącym interesującym człowiekiem (liczę na to, że za jakiś czas pojawią się efekty), włączyłem dyktafon, który przez cały czas wskazywał czas nagrania, poziom dźwięku i inne dane, a gdy wróciłem do domu, okazało się, że nagrania... nie ma. To znaczy jest nędzne parę minut.

To jest dopiero trauma! Ponad 2,5 godziny pasjonującej opowieści, pytań i dyskusji, a tu shit, nic nie ma. Rzecz jasna było mi wstyd, przyznałem się, spuściłem głowę, kupiłem drugi dyktafon, teraz nagrywam na dwóch naraz.

Ta przykra przygoda przypomniła mi inne, z przeszłości. Bardziej optymistyczne anegdoty, więc skoro jest okazja, to je opowiem. Na początku lat 90. wraz z Piotrem Zarembą jako dziennikarze „Życia Warszawy” pojechalśmy na wywiad do Lecha Kaczyńskiego, ówczesnego szefa NIK. Zaremba miał go robić sam, ale ponieważ wcześniej współpracował z Kaczyńskim w prezydenckim Biurze Bezpieczeństwa Narodowego, obawiał się, jak mi się zdaje, że będzie uznany w tej rozmowie za stronniczego, więc zaprosił mnie – a od zawsze byłem uważany za zażartego wroga „kaczorów” – jako partnera do tej rozmowy.

Spotkanie było dość długie, pełne ich wspomnień z czasów wałęsowskich, lecz także ostre, bo Zaremba nie odpuszczał Kaczyńskiemu, a ja go wspierałem, jak potrafiłem.



**Dominik
Zdort**

Wróciliśmy do redakcji. Mieliśmy się podzielić, co który z nas spisuje. Tyle że nic się nie nagrało. Cisza, nic. Już miałem rwać włosy z głowy, ale Piotrek powiedział: spokojnie, zostaw mnie teraz samego. Usiadł przed komputerem. Minał jakiś czas. Wywiad był gotowy, spisany z pamięci. Mnie pozostało tylko włączyć faks i posłać materiał do autoryzacji. Tekst wrócił, jak pamiętam, bez jakichkolwiek poprawek.

Piotrek Zaremba jest mistrzem intelektu, tytanem pamięci. Tych przymiotów nie mieli (choć posiadali inne zalety) moi szefowie w pewnym piśmie, w którym pracowałem później. Poszli na wywiad do ówczesnego premiera, położyli dwa dyktafony całkiem nie tam, gdzie trzeba i także nic się nie nagrało. Wrócili do redakcji i był wstyd. Nie daliby rady zrekonstruować wywiadu. Ale widzieli, że jakiś współpracownik szefa rządu także nagrywał...

Pod oknem w naszej ówczesnej redakcji siedział Darek. Takie redakcyjne popychadło – na etacie, nie wiadomo, kiedy i dlaczego go dostał – autorzy prosili go o nagrywanie wypowiedzi drugorzędnych bohaterów do ich tekstów. Niektórzy mieli go za redakcyjnego głupka. Ale w tym krytycznym momencie Darek został wezwany do naczelnych i dostał zadanie specjalne. Powiedziano mu wprost: masz zdobyć nagranie tego wywiadu z Kancelarii Premiera, ale dyskretnie, tak aby nikt nie wiedział o kompromitacji naszych redaktorów.

Darek przyjął zlecenie i zniknął. Przez jakiś czas nie było z nim kontaktu. Nie odbierał komórek. Po kilku dniach wrócił. W ręce miał płytę CD z nagraniem wywiadu. Jak relacjonował, stanął naprzeciwko wejścia do siedziby KPRM w Al. Ujazdowskich i czekał. Nie jadł, nie pił, mijaly godziny. Aż w drzwiach pojawił się jakiś jego znajomy. I pomógł Darkowi, załatwił mu tę płytę. Jednak to nie był koniec. Nasz osłabiony chłopak zemdlął, zabrano go do szpitala. Gdy po paru godzinach doszedł do siebie, nagrał wypowiedź jakiejś pielęgniarki – ktoś z redakcji zamówił u niego wcześniej taki głos (bo właśnie trwał ich jakiś protest).

Ostatecznie wypowiedź pielęgniarki nie okazała się użyteczna, bo akurat ta pani była świadkiem Jehowy, więc prezentowała specyficzną wizję świata, nie do wykorzystania jako standardowy przykład społecznego niezadowolenia. Natomiast wywiad z premierem, solidnie spisany i autoryzowany, został opublikowany.

Nigdy za bardzo nie lubiłem Darka, uważałem go za dziwaka, po odejściu z pracy w tym piśmie już nigdy się z nim nie spotkałem, nie tęskniłem za nim. Widywałem jego teksty w innych gazetach, niekoniecznie tych najbardziej wiarygodnych. Ale wiem, że nie zniknął, że działał.

Dla mnie w tamtej jednej chwili był naszym Walterem Mitym, takim jak bohater filmu Bena Stillera: podrzędnym pracownikiem gazety, wręcz wyrobnikiem, który podjął się dużego wysiłku dla swojego pisma, bo rozumiał dziennikarską misję dużo lepiej niż wielu koryfeuszy naszej umierającej branży.

*Autor jest senior research fellow w projekcie
Ordo Iuris Cywilizacja*



Tajemnice misji Witolda Pileckiego

Witold Pilecki to jedna z najbardziej rozpoznawalnych postaci w najnowszej historii Polski. Mimo że na jego temat powstało mnóstwo książek, artykułów i filmów, wiele faktów z jego powojennej działalności nadal pozostaje nieznanymi. Nie wiadomo, co robił pod Grodnem na początku 1946 r. i jak się tam dostał. Czy miał kontakt z „Zaporą” albo z „Ogniem”? Z pewnością nigdy nie poznamy wszystkich tajemnic ochotnika do Auschwitz, którego komuniści zamordowali na Rakowieckiej 25 maja 1948 r.



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Niezbadane są nawet okoliczności jego powrotu do Polski po wojnie. Od lipca 1945 r. Pilecki przebywał we Włoszech, gdzie trafił po wyzwoleniu niemieckiego

oflagu w Murnau. Wiemy, że decyzja o założeniu grupy wywiadowczej zapadła we wrześniu 1945 r. podczas rozmów z gen. Władysławem Andersem. Siatka miała za zadanie zbierać informacje o tym, jak wygląda sytuacja w kraju opanowanym przez komunistów. Następnie Pilecki zaczął ustalać szczegóły przetrwania do Polski i zasady działalności, m.in. z zastępcą szefa wywiadu 2. Korpusu Polskiego pplk. Stanisławem Kijakiem i szefem Gabinetu Naczelnego Wodza gen. Tadeuszem Pelczyńskim.

TRZY GRUPY WYWIADOWCZE

Oprócz Pileckiego we włoskiej Anconie przebywali także wysłannicy Eksterytorialnego Okręgu Wileńskiego AK oraz przedstawiciele ekspozytury wywiadowczej „Pralnia II”. Wszyscy otrzymali zadanie zbierania informacji o tym, co się dzieje w kraju. Wrócili do Polski w podobnym czasie co Pilecki i zaczęli realizować cele wywiadowcze.

Do dziś nie ma jasnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie połączono wszyst-

Fot. Andrzej Skwarczyński

kich tych siatek i nie stworzono jednej dużej struktury. Być może uznano, że dublowanie pewnych działań zagwarantuje, że w momencie wypadku jednej z grup rząd emigracyjny nadal będzie mieć zapewniony przepływ informacji z pozostałych dwóch. Pozostaje to jednak tajemnicą.

DŁUGI POWRÓT DO OJCZYZNY

22 października 1945 r. Witold razem z Marią Szelągowską (współpracowała z Pileckim w czasie okupacji, przepisywała jego raporty z Auschwitz) i Bolesławem Niewiarowskim (walczył z Pileckim w powstaniu warszawskim) wyruszył do kraju. 28 października przez Rzym, Bolonię i Bremę dotarli do Regensburga. Tam zatrzymali się w Brygadzie Świętokrzyskiej NSZ „celem uzyskania kontaktu na kraj”.

W Regensburgu Niewiarowski dał Pileckiemu kontakt do Zygmunta Kwaśniewskiego „Korala”, któremu chciał przekazać, że niedługo przybędzie do kraju. Następnie Niewiarowski z pomocą mjr. Mikołaja Kozłowskiego załatwił dla Pileckiego i Szelągowskiej transport samochodem przez linię demarkacyjną do Pilzna. Stamtąd pociągami dojechali do Pragi, gdzie na kilka dni zamieszkali u rodzeństwa Sauerów. Pilecki zgłosił się do punktu pomocy dla Polaków więzionych w niemieckich obozach koncentracyjnych. Działał tam dr Karel Stránský, Czech, którego Pilecki znalazł z obozu w Auschwitz, były współpracownik założonego przez rotmistrza Związku Organizacji Wojskowej. Dzięki jego pomocy pod koniec listopada 1945 r. Pilecki i Szelągowska opuścili Pragę, przekroczyli granicę polsko-czechosłowacką i dotarli do Czechowic-Dziedzic, gdzie otrzymali karty repatriantów.

Szelągowska otrzymała dokumenty na swoje imię i nazwisko, natomiast Pilecki przedstawiał się jako Roman Jezierski, gdyż taką kenkartę miał podczas powstania warszawskiego i z nią poszedł do niewoli.

W publikacjach dotyczących rotmistrza pojawia się przeświadczenie, że rozpoczął on swoją działalność 8 grudnia 1945 r. po powrocie do Warszawy i to tam zaczął tworzyć podległą sobie siatkę wywiadowczą. Ta nieścisłość wynika z faktu, że wiedzę o działaniach

Pileckiego autorzy czerpią głównie z dokumentów bezpieki znajdujących się aktualnie w zasobach IPN, a więc polegają na doniesieniach, które udało się zdobyć komunistom. Do pełnego obrazu brakuje informacji, które Pilecki skutecznie ukrył przed czerwonym reżimem.

Co zatem robił rotmistrz przez ok. dwa tygodnie – od przekroczenia granicy Polski pod koniec listopada 1945 r. aż do przybycia do Warszawy 8 grudnia? Udało się ustalić, że z Czechowic-Dziedzic on i Szelągowska pojechali do Zakopanego, a po dwóch dniach do Krakowa. Tam Pilecki odwiedził kilka osób związanych z jego pobytom w KL Auschwitz: Andrzeja Rablina – więźnia obozu oraz Ludmiłę i Tomasz Serafińskich – tożsamość tego ostatniego Pilecki nieświadomie wykorzystał, żeby znaleźć się w Auschwitz. W Bochni kontaktowali się z Edmundem Zabawskim i Józefem Oborą, u którego Pilecki ukrył się po ucieczce z obozu. Po czterech dniach Szelągowska i Pilecki pojechali do Katowic, gdzie bezskutecznie próbowali spotkać się z kolejnym byłym więźniem, Henrykiem Szklarzem. Następnym przystankiem była Częstochowa.

NIEFORMALNA STOLICA POLSKI

W tym miejscu pojawiają się kolejne niezbadane dotychczas wątki. Podczas późniejszych przesłuchań przez funkcjonariuszy bezpieki Pilecki nigdy nie wspominał o pobycie w Częstochowie. Wzmianka o tym pojawia się w zeznaniach Szelągowskiej. Według oficjalnej wersji rotmistrz znalazł się w mieście na prośbę Jana Mierzanowskiego, towarzysza broni z powstania warszawskiego, który przebywał z nim w obozie Murnau. Mierzanowski pierwotnie miał zostać członkiem siatki wywiadowczej, ale w późniejszym czasie. Z nieznanых przyczyn plan ten został porzucony, a Jan osiadł na emigracji.

Pobyt Pileckiego w Częstochowie miał się wiązać z odwiedzinami rodziców Mierzanowskiego oraz przekazaniem informacji, że ich syn żyje i jest bezpieczny. Co ciekawe, w jednym z późniejszych wywiadów Mierzanowski wyznał, że wizyta Pileckiego nie była związana tylko z jego rodzicami. W Częstochowie rotmistrz miał nawiązać kilka interesujących kontaktów, które przydały mu się w późniejszej działalności.

Pod koniec 1945 r. Częstochowa była pod wieloma względami małą Warszawą. Przebywało tam wiele osób z konspiracji po powstaniu warszawskim, a od października w mieście znajdowała się siedziba Komendy Głównej AK. Nie bez powodu 19 stycznia 1945 r. to właśnie w Częstochowie gen. Okulicki rozwiązywał Armię Krajową. Przez długi czas przebywało tam także dowództwo NSZ. Pilecki miał zatem duże możliwości, aby prowadzić werbunek do siatki. Zapewne z tych dwóch powodów (zapewnienie bezpieczeństwa Mierzanowskiemu i nawiązywanie nowych kontaktów) rotmistrz ukrył swój pobyt w tym mieście przed funkcjonariuszami UB.

GDZIE JEST „JEŻ”?

8 grudnia 1945 r. Pilecki i Szelągowska trafili do Warszawy. Wówczas rozdzielili się na pewien czas. Po krótkim pobycie u jednego ze współwięźniów z Auschwitz na Grochowie rotmistrz odszukał swojego starego znajomego z czasu II wojny światowej Makarego Sieradzkiego, mieszkającego z żoną Heleną przy ul. Pańskiej 85. Pilecki przebywał tam do lutego 1946 r. W tym czasie przystąpił do tworzenia swojej siatki konspiracyjnej, a jednymi z jej pierwszych członków zostali właśnie Makary i Helena.

Teraz spróbuję odpowiedzieć na jedno z podstawowych pytań, a mianowicie: czy Pilecki przyjechał do Polski z ustalonymi punktami kontaktowymi na konkretne struktury, które miały mu pomóc w budowaniu jego siatki, czy miał polegać na własnych znajomościach? Także w tym przypadku komunistyczne dokumenty nie są jednoznaczne. Z przesłuchań Pileckiego wynika, że początkowo szukał ludzi związanych z tworzoną pod koniec wojny organizacją NIE, m.in. próbował odnaleźć Stefana Miłkowskiego „Jeża”, który w tej strukturze był jego bezpośrednim przełożonym. Rotmistrz szybko doszedł do wniosku, że „Jeż” albo nie przeżył, albo wyjechał za granicę. Z kolei z podległych Miłkowskiemu trzech osób nikt nie dożył końca wojny, a po samej strukturze NIE praktycznie nic nie zostało. Dawne kontakty trzeba było zastąpić nowymi.

Rotmistrz postanowił zwrócić się do znanych mu byłych więźniów

KL Auschwitz, współpracowników z TAP i AK, a także uczestników powstania warszawskiego. Stopniowo zaczął nawiązywać kontakty z przyszłymi członkami siatki i formować całkowicie nową grupę.

PARTYZANCI SPOD GRODNA

W materiałach wywiadowczych grupy Witolda, które wpadły w ręce bezpieki, nadal można znaleźć nowe, zaskakujące informacje. W meldunku do swoich przełożonych w 2. Korpusie z 10 stycznia 1946 r., czyli złożonym już kilka tygodni po przyjeździe do Polski, Pilecki napisał, że objechał już południe kraju, a chwilę wcześniej był „na wschodzie w lasach wśród oddziałów sugerować, by zaczęły dla zachowania materiału ludzkiego wychodzić i legalizować się, spalonym natomiast [organizować wyjazd – przyp. S.P.] za granicę na Zachód, lecz tak wygląda z daleka. Gdy się widzi tych ludzi, rozumie się ich, dlaczego w lasach siedzą, panują tu niepodzielnie i czują się naprawdę u siebie w Polsce. Do Białegostoku dojechałem normalnym sposobem podróżowania, dalej od miejsca do miejsca jechałem wiezionym przez środki oddziałów leśnych. Byłem pod Grodnem, w lasach wszędzie panują nasi partyzanci”.

Meldunek wszedł w posiadanie komunistów, jednak zawarte w nim informacje zostały zignorowane, ponieważ funkcjonariusze UB nie byli w stanie dojść do tego, w jaki sposób Pilecki mógł znaleźć się razem z partyzantami po drugiej stronie nowej granicy polsko-sowieckiej. A rotmistrz musiał posiadać kontakty (od wywiadu 2. Korpusu, przedstawicieli siatki „Pralnia” lub od Eksterytorialnego Okręgu Wileńskiego), które były w stanie uwiarygodnić go na miejscu, gdyż bez nich bez wahania zostałby zastrzelony jako potencjalny agent. Według dr. Tomasza Łabuszewskiego, historyka badającego siatkę Witolda Pileckiego, przewodnikiem rotmistrza po Podlasiu był najprawdopodobniej Franciszek Potyrała „Oracz” z Komendy Obwodu AK-AKO Sokółka.

„DAN”, „ZAPORA” I „OGIEŃ”

Nieznane dotychczas wątki dotyczą także innych działań siatki. Poza zbieraniem informacji o tworzącym się systemie komunistycznym grupa Pileckiego dostała od Andersa zadanie nawiązy-

wania kontaktów z oddziałami partyzanckimi na terenie Polski. Pod koniec 1946 r. Tadeusz Plużański, kurier i bliski współpracownik Witolda Pileckiego, za pośrednictwem Zuzanny Białej lub Ryszarda Podobińskiego (zeznania różnią się od siebie) poznał byłego członka AK ze Szczeczeszyna dr. Zygmunta Klukowskiego. Szukał informacji o sytuacji na Lubelszczyźnie, a przede wszystkim działalności podziemia. Dostał wówczas kontakt do Stefana Gussa „Dana” – dowódcy partyzantki z Puszczy Tucholskiej.

W jaki sposób komunistyczny resort bezpieczeństwa dowiedział się o tej znajomości? Na nieszcześnie dla grupy Pileckiego we wrześniu 1946 r. Guss został aresztowany przez UB i pozyskany do współpracy pod ps. Jakub. Komuniści byli więc doskonale poinformowani o jego kontaktach z Tadeuszem Plużańskim.

Warto przyjrzeć się także Zygmunтови Klukowskiemu, który przez całą wojnę był lekarzem oddziałów partyzanckich, a z niektórymi formacjami utrzymywał łączność przez wiele lat po 1945 r. Wystarczy wspomnieć, że w swoim dzienniku odnotował, iż 26 grudnia 1946 r. zajmował się leczeniem rannego w nogę ppor. „Romana” z oddziału „Zapory”, który trafił do jego szpitala. Dr Klukowski regularnie widywał się z partyzantami, m.in. „Zapory”, i miał świetne rozeznanie w okolicy. Mimo to zdaniem komunistów dał Plużańskiemu kontakt jedynie do działającego w dalekich Borach Tucholskich Stefana Gussa, co wydaje się bardziej niż wątpliwe.

Komunistom udało się dowiedzieć, że grupa Pileckiego z pomocą ks. Antoniego Czajkowskiego nawiązała także kontakt z 6. Wileńską Brygadą AK-WiN dowodzoną przez kpt. Kazimierza Kamińskiego „Huzara”, a także z kilkoma grupami podziemnymi z pomocą Tadeusza Szturma de Sztrema, m.in. z niejakim „Romanem” z Gór Świętokrzyskich.

Resort nigdy się nie dowiedział o kontaktach z Józefem Kurasiem „Ogniem” na Podhalu. Tadeusz Plużański, realizując wiele kursów kurierskich na Zachód, przekraczał zieloną granicę w okolicach Ustronia. Podczas odsiadki wyroku dożywotniego więzienia we Wronkach przyznał się towarzysom niedoli do tego, że pokonywał granicę także w Tatrach w czasie, kiedy okolicą niepodzielnie rządził „Ogień”. Komuniści wiedzieli, że

Kuraś kontaktuje się z 2. Korpusem, jednak ten trop nigdy nie zaprowadził ich do grupy Pileckiego.

GDZIE SĄ RAPORTY PILECKIEGO?

Grupa wywiadowcza Pileckiego istniała półtora roku. Przez ten czas regularnie wysyłała raporty na Zachód do 2. Korpusu. Pierwszy dokument w styczniu 1946 r. przetransportował Tadeusz Plużański. W lutym 1946 r. Pilecki przekazał przebywającemu akurat w Warszawie Bolesławowi Niewiarowskiemu trzy następne raporty z informacjami o postępach w tworzeniu organizacji, nawiązaniu kontaktu z oddziałami partyzanckimi oraz prośbą o przekazanie środków koniecznych do rozbudowy siatki. Kilka meldunków zostało także przekazanych Felicji Wolff vel. Annie Neumann, kurierce Biura Planowania 2. Korpusu.

Komuniści weszli w posiadanie ledwie trzech raportów grupy. Znaleźli je 9 maja 1947 r., kiedy podczas zatrzymania Marii Szelągowskiej odkryli skrytkę z archiwum siatki. Reszty dokumentów nie odnaleźli nie tylko komuniści, lecz także historycy badający tę sprawę po 1989 r. Gdzie mogą być?

Według jednej z teorii przynajmniej część może się znajdować w jednym z londyńskich archiwów emigracyjnych. Inna hipoteza głosi, że po prostu zostały zniszczone i jedyne, co można znaleźć, to szczątkowe wzmianki w materiałach z Zachodu. Nie można też wykluczyć tezy, że zostały przejęte i utajnione przez stronę brytyjską.

W jednym z niewielu zachowanych dokumentów rotmistrz wspomniął, że pod koniec sierpnia 1946 r. skończył objazd całej Polski i tych punktów kontaktowych, które udało mu się zorganizować.

Wielomiesięczna obserwacja dowództwa grupy Pileckiego doprowadziła do aresztowań przeprowadzonych przez resort bezpieczeństwa w maju 1947 r., które objęły 23 osoby. 16 z nich postawiono w stan oskarżenia. Jednak większość zatrzymanych członków siatki to współpracownicy z Warszawy i najbliższych okolic. W ciężkim śledztwie Pileckiemu i pozostałym przesłuchiwanym udało się wmówić bezpiece wersję, że stanowią całość struktury. Jak duża była grupa Witolda Pileckiego? Nadal nie wiemy i możliwe, że nigdy nie poznamy całej prawdy. 



Szlakiem zdobywców Monte Cassino

Bitwa o Monte Cassino uchodzi za jedną z największych, a zarazem najkrwawszych batalii II wojny światowej. Masyw Cassino wraz z górującym nad doliną Liri benedyktyńskim klasztorem stanowiły kluczowy punkt linii Gustawa – silnie ufortyfikowanego pasa umocnień

bronionego przez uważanych za elitę niemieckiej armii spadochroniarzy. To właśnie tam koncentrowała się niemiecka obrona strzegąca dostępu do Rzymu. Podejście pod górujący nad okolicą klasztor było strome, pozbawione dogodnych osłon i najeżone pułapkami zastawionymi przez niemieckich żołnierzy.



Pierwsze natarcie, w którym oprócz Brytyjczyków wzięli udział także żołnierze z 1. Samodzielnej Kompanii Komandosów mjr. Władysława Smrokowskiego, poprowadzono już 17 stycznia, jednak nie przyniosło ono spodziewanych rezultatów. Kolejne szturmury na dobrze ufortyfikowane pozycje niemieckie także nie pozwoliły na przełamanie impasu. Każda pięćdziesiątka ziemi zdobywana przez aliantów, w których szeregach walczyli m.in. Brytyjczycy, Amerykanie, Nowozelandczycy, Hindusi i Francuzi, była okupiona olbrzymimi stratami ze strony wojsk sprzymierzonych, a klasztor, główny cel ataku, wciąż pozostawał niezdobyty. Przynajmniej do czasu, gdy zadania podjęli się Polacy. 18 maja żołnierzom 2. Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa po krwawych zmaganiach udało się dokonać tego, co wcześniej nie udało się innym – wyprzeć niemieckich obrońców, zdobyć klasztor, a tym samym otworzyć aliantom drogę na Rzym.

→ 19 maja 2024 r. odbyła się III edycja Trekkingu na Monte Cassino. W imprezie wzięło udział ponad 300 osób – starsi i młodszy, Polacy i Włosi, żołnierze Wojska Polskiego na czele z gen. Markiem Sokołowskim, Dowódcą Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych, członkowie Związku Strzeleckiego „Strzelec”, harcerze czy miłośnicy historii.

→ Tegoroczna impreza miała szczególny wymiar. Jej start poprzedziło odsłonięcie pomnika gen. Andersa. To drugi polski monument w mieście Cassino – pierwszym było upamiętnienie niedźwiedzia Wojtka. Jego

pomnik odsłonięto w 75. rocznicę polskiego zwycięstwa.

→ 12-kilometrowa trasa wiodła przez historyczne miejsca związane z bitwą, w tym Drogę Polskich Saperów, której częścią jest słynna Gardziel, aż po strategiczne wzgórze 593, zwane Górą Ofiarą, gdzie wznosi się obelisk upamiętniający poległych żołnierzy 3. Dywizji Strzelców Karpackich.

→ W br. na każdego uczestnika czekał także wyjątkowy rocznicowy pakiet. Jednym z jego elementów był wzorowany na nieodłącznym towarzyszu szturmujących wzgórze żołnierzy – znajdującym się na ich wyposażeniu plecaku tzw. small pack, który jest widoczny praktycznie na każdej fotografii przedstawiającej atakujących Polaków. PFN postanowiła





Fot. Maciej Biedrzycki

wykorzystać ten symbol do promocji polskiego wysiłku zbrojnego, darując pierwszym 80. uczestnikom organizowanego z okazji bitwy trekkingu, repliki właśnie takich plecaków, do których dołączone zostały wojskowe metalowe kubki ozdobione zdjęciami z epoki, przypinki z czerwonym makiem symbolizującym starcie o klasztor oraz pocztówki gotowe do wysłania w świat, aby rozślawiać czyn polskiego oręcza wraz z kopią naszywki rozpoznawczej Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie – „POLAND”.

➔ Oprócz przygotowania przez zespół Polskiej Fundacji Narodowej rocznicowych pakietów udało się zorganizować akcję plakatu w Cassino. Dzięki zaangażowaniu władz włoskich w obchody rocznicowe plakaty zaprojektowane przez Polską Fundację Narodową zawisły na włoskich ulicach

i w witrynach sklepów oraz punktów usługowych. Blisko 200 plakatów rozwieszono na trasie trekkingu i w kluczowych punktach miasta łącznie z ratuszem i rynkiem miejskim. Była to pierwsza, lecz na pewno nie ostatnia taka akcja PFN polegająca na szerokim wyjściu do konkretnej społeczności lokalnej za granicą z pozytywnym przekazem o Polsce.

➔ Działania na ziemi włoskiej nie były jedynymi podjętymi przez PFN z okazji 80. rocznicy zdobycia wzgórza klasztornego. Poświęcenie polskiego żołnierza utrwalone w pieśni „Czerwone maki na Monte Cassino” czy legendarnej już książce Melchiora Wańkowicza zostało pokazane w filmie „Czerwone maki” w reż. Krzysztofa Łukaszewicza. PFN współfinansowała realizację produkcji, która została włączona do oficjalnych

obchodów przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Specjalny pokaz filmu odbył się 16 maja w Rzymie.

➔ W lipcu 1944 r. 2. Korpus Polski wyzwolił Ankongę, a w kwietniu 1945 r. Bolonię. Żołnierze wyrwani z sowieckich łagrów marzyli o powrocie do wolnej ojczyzny, co stało się niemożliwe po wkroczeniu do Polski Armii Czerwonej. Choć bili się na obcej ziemi, wszystko, co robili, robili dla Polski. Najlepszym podsumowaniem polskiego zaangażowania na froncie włoskim niech będą słowa wyryte na obelisku na wzgórzu 593 upamiętniającym żołnierzy 3. Dywizji Strzelców Karpackich wchodzącej w skład 2. Korpusu Polskiego: „Za naszą i Waszą wolność, my, żołnierze polscy, oddaliśmy Bogu ducha, ciało ziemi włoskiej, a serca Polsce”.

K

ULTURY

52 dzieła i tyluż
artystów. Od Sandra
Botticellogo po
Pierre'a Soulagesa.
Trzy paryskie muzea:
Luwr, Orsay, Pompidou
i cotygodniowe wyprawy
dziesięcioletniej
bohaterki oraz jej dziadka
do świata sztuki.
To wszystko znajdziemy
w porównywanej do
„Świata Zofii” powieści
Thomasa Schlessera (na zdj.)
„Oczy Mony”

Mona i całe piękno świata

Z *Thomasem Schlessorem*, historykiem sztuki, wykładowcą, autorem powieści „Oczy Mony”, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Oficjalna premiera odbyła się w styczniu br. Jeszcze na etapie projektu prawa do edycji zostały sprzedane do kilkudziesięciu krajów (w Polsce powieść ukazała się nakładem Wydawnictwa Literackiego). Na ile języków zostaną przetłumaczone „Oczy Mony”?

Thomas Schlessor: Docelowo na 37. Woryginalnej wersji powieść trafiła już w rejonu frankojęzycznych. Teraz, można powiedzieć, wyrusza w podróż dokoła świata i bardzo się cieszę, że będzie czytana, także w takich krajach, jak Chiny, Japonia, Katar, Stany Zjednoczone czy Norwegia. Promując książkę, odwiedziłem już Hiszpanię i Włochy, a teraz – po raz pierwszy – dotarłem do Polski. Z zainteresowaniem poznaję Warszawę. Przede mną jeszcze Kraków.

Nie jestem pewien, czy odwiedzę wszystkie kraje, w których „Mona” zostanie przetłumaczona. Nie chciałbym zanadto zwiększać swojego śladu węglowego.

Może być trudno, bo rozpędza się pan niemal kosmicznie. Czy któryś z krajów szczególnie pana interesuje, jeśli chodzi o odbiór?

Ta książka w wyjątkowy sposób porusza kwestię relacji między dziadkami a wnukami. Jestem bardzo ciekawy, jak na to zagadnienie zapastrują się czytelnicy z Azji czy Bliskiego Wschodu. Wiem, że książka będzie przetłumaczona na języki japoński i koreański. I to też bardzo mnie to intryguje.

Z okładki patrzy na nas bohaterka „Dziewczyny z perłą” Johannes Vermeera, zwana holenderską Moną Lisą. Czy to pan wybrał ten obraz na obwolutę? I czy czytelnicy, do których już dotarła lub za chwilę dotrze książka, zobaczą taką samą oprawę?

Wybór był mój, ale obraz Vermeera pojawi się na okładce nie we wszystkich wydaniach obcojęzycznych. Niekiedy zastąpią go np. graficzne rozwiązania. Zależało mi na „Dziewczynie z perłą” po pierwsze dlatego, że nie ma tego dzieła wśród 52 opisanych w książce [malarstwo Vermeera reprezentuje „Astronom” – przyp. red.]. Po drugie: jej spojrzenie jest metaforą kruchości wzroku bohaterki.

Nie było jednego dzieła, które spowodowało, że zacząłem myśleć o stworzeniu tej książki. Pojawiało się wiele inspiracji. Jest natomiast dwóch artystów, którzy sprawili, że mam ochotę w ogóle pisać o sztuce. Pierwszy z nich to Gustave Courbet, drugi Kazimierz Malewicz. Tym, co ich łączy, jest zamiłowanie do wolności

Kiedy tytułowa Mona słyszy od lekarzy, że w ciągu roku może przestać widzieć, jej dziadek postanawia zabrać ją w niezwykłą podróż po paryskich muzeach. Raz w tygodniu przez cały rok oglądają, omawiają, interpretują i doświadczają kolejnych dzieł. Czy pisać „Oczy Mony”, myślał pan o jakiejś konkretnej 10-latce?

Inspirowałem się różnymi dziełami, które spotkałem w swoim życiu. Sięgnąłem również do własnych wspomnień i odczuć z czasów, kiedy miałem 10 lat. Oczywiście były to doświadczenia chłopca,



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

a nie dziewczynki. Muszę przy tym zaznaczyć, że Mona nie jest typowym dzieckiem. To bohaterka wykreowana, idealna.

Skoro tak, sięgnijmy do doświadczeń przywołanego wcześniej, realnego 10-latka. Czy jakieś dzieło zrobiło na nim szczególnie wrażenie?

Nie pochodzę ze środowiska, które interesowało się malarstwem czy sztukami wizualnymi. Odkryłem je stosunkowo późno, bo już po osiemnastce, natomiast pamiętam, że kiedy miałem sześć, siedem lat fascynowała mnie grafika komputerowych gier. I był to bardziej szok estetyczny niż artystyczny.

Jaki impuls, obraz, kreacja doprowadziły do powstania „Oczy Mony” – debiutanckiej powieści i zarazem mocno subiektywnego „przewodnika po sztuce i życiu”?

Nie było jednego dzieła, które spowodowało, że zacząłem myśleć o stworzeniu tej książki. Pojawiało się wiele inspiracji. Jest natomiast dwóch artystów, którzy sprawili, że mam ochotę w ogóle pisać o sztuce. Pierwszy z nich to Gustave Courbet, drugi Kazimierz Malewicz. Tym, co ich łączy, jest zamiłowanie do wolności.

Wyrażone w jakichś konkretnych dziełach?

„Pogrzeb w Ornans” Courbeta i „Czarny krzyż” Malewicza. Oba umieściłem w książce. W obu bardzo ważny jest kontrast między bielą i czernią.

Mona Lisa przyciąga tajemniczym uśmiechem, pan skupił się na oczach bohaterki. Czego pan w nich szukał?

Dla Leonarda da Vinci umiejętność patrzenia (*saper vedere*) była bardzo ważna. Oczy stanowiły dla niego narzędzie odkrywania świata, więc nie tylko tajemniczy uśmiech Giocondy, lecz także jej spojrzenie zaprasza nas do tego poznawania. To, co dzieje się z Moną, sprawia, że bohaterka otwiera się też na inne sposoby odbierania sztuki, zwłaszcza w kontakcie ze współczesnymi dziełami [np. takich artystek jak Louise Bourgeois czy Marina Abramović – przyp. red.].

Czy spotkał się pan z porównaniem swojej powieści do opublikowanego w 1991 r. i wprowadzającego w filozofię „Świata Zofii” norweskiego pisarza Jostaina Gaardera?

Miałem przyjemność spotkać się niedawno z Gaarderem. Powiedziałem mu, że czytałem jego książkę, kiedy miałem 17 lat i przygotowywałem się do matury z filozofii. „Świat Zofii” nie był dla mnie bezpośrednim źródłem inspiracji, ale pamiętałem o nim, pisząc „Oczy Mony”. Jedno, do czego nie przyznałem się Gaarderowi, to wynik mojego egzaminu – zaledwie 9 punktów na 20 możliwych.

Kilkaset lat, kiedy powstały przywołane przez pana dzieła; rok podzielony na 52 tygodnie i tyle samo „lekcji sztuki i życia”. Jakim kluczem kierował się pan, wybierając dzieła do swojej książki? Czy miał pan pulę obowiązkową?

W puli obowiązkowej był „Czarny krzyż” Malewicza. Planowałem go od początku. Jeśli chodzi o wybór reszty, zależało mi na tym, żeby propozycje były spójne z postacią Henry’ego – dziadka Mony. Musiałem sobie wyobrazić, co chciałby pokazać i przekazać wnuczce. W jakich dziełach – w tak krótkim czasie – szukałby „całego piękną świata”. Był to więc bardziej wybór literacki niż czysto estetyczny.

Przywołajmy kilka dzieł, na których opiera się konstrukcja stworzona przez Henry’ego. Rozpoczyna



ją obraz „Wenus i trzy Gracje składające dary młodej dziewczynie” (1475/1500) Botticellego, a kończy wypełniony czernią z niewielkimi elementami bieli „Obraz 200x200cm” (2002) Pierre’a Soulagesa (znakomitym wydawnictwem posunięciem jest uzupełnienie książki dodatkową obwolutą, która po rozłożeniu prezentuje wszystkie opisane prace).

W tej książce są zarówno dzieła ikoniczne takich autorów, jak Rafael, Michał Anioł, Rembrandt, Picasso, jak i prace, które można nazwać „krokiem w bok”, znacznie mniej znane. Starałem się to traktować wymiennie. Z jednej strony dzieła sztandarowe, obowiązkowe, a z drugiej mniej rozpoznawalne, ale takie, które mogą wzbudzić naszą ciekawość. Za każdym razem trzeba jednak pamiętać, że ten zestaw był podyktowany koncepcją książki, narracją dziadka Henry’ego.

Jest pan przygotowany na dyskusje i spory dotyczące wyboru?

Bardzo wielu czytelników jest sfrustrowanych. Zwracają mi uwagę, że przywołałem to, a nie inne dzieło, ale na tym polega przywilej pisarza powieści, że nie trzeba tłumaczyć swoich decyzji [uśmiech].

Wspomniał pan, że jest w Polsce po raz pierwszy. Czy autor, który zabrał czytelników do muzealnych sal, zaplanował też odwiedzenie któregoś z muzeów w Warszawie i Krakowie?

Tak naprawdę lubię nie tylko sztandarowe ekspozycje, skupiające się na sztukach pięknych. Interesują mnie np. muzea przemysłu czy twórczości ludowej. Mam nadzieję, że poza dużymi kolekcjami na ekspozycjach narodowych i takie uda mi się odwiedzić. Jestem ich bardzo ciekaw.

Easy Rider

Zmarły 133 lata temu w wieku zaledwie 37 lat Arthur Rimbaud był buntownikiem i prekursorem dzisiejszej kultury transgresji. Zrobił ze swego homoseksualizmu/biseksualizmu powód do chwały. A przynajmniej taki wizerunek zbudowała mu postępową krytyka literacka. Był zaciekle wrogiem Kościoła katolickiego.

Na ciekawym blogu „Notatki z lektury” autor o nicku la polaquita tak pisze o autorze „Sezonu w piekle”: „Człowiek niespokojny, nie mogący usiedzieć więcej niż parę tygodni na jednym miejscu. Silna, ale nieszczęśliwa osobowość”. „Syn zimnej, praktycznej matki, która, wraz z bratem i czterema siostrami, wychowywała go bez ojca”. „Wolał opuszczać miejsca i ludzi bez oglądania się wstecz, ciągle naprzód, choć bez celu”.

Był człowiekiem nieszczęśliwym: „Świat jest tak wielki, gdzieś przecież MUSI być jakiś kawałek ziemi, na którym wreszcie znajdę zadowolenie”. Uciekał przed swoimi demonami. W innych sprawach przenikliwy Rimbaud nie rozumiał, że zabiera je w sobie w najodleglejsze nawet miejsca na ziemi. Nie dostrzegał, że od demona nieuporządkowania wewnętrznego nie sposób uciec. Trzeba go pokonać.

Tak racjonalizował swoje słabości: „Poeta robi z siebie jasnowidza przez długie, bezmiernie i wyrozumowane rozregulowanie wszystkich zmysłów. Wszystkie postacie miłości, cierpienia, szaleństwa; sam znajduje i wyczerpuje wszelkie trucizny, aby zachować z nich kwintesencję. Niewysłowiona tortura, do której potrzeba mu całej wiary, całej nadludzkiej siły i od której staje się wielkim chorym, wielkim przestępcą, wielkim potępionym – i najwyższym Mędrcom! – Bo dochodzi do nieznanego! Kultuował przecież swoją duszę bardziej niż ktokolwiek inny! Dochodzi do nieznanego i kiedy, oszalała, traci na koniec rozeznanie swoich wizji, wtedy je zobaczył!”. Poeta nie został jednak mędrcom, stał się kaleką.

W wieku 22 lat zaciągnął się do armii holenderskiej, popłynął na Jawę i szybko zdezerterował. Osiadł w Adenie, został przedstawicielem firmy handlowej. Siedem lat przed śmiercią założył własną firmę w Harar w Abisynii. Zajmował się m.in. handlem bronią.

La polaquita: „Przez te wszystkie lata nieustających podróży ciągle jest niezadowolony, narzeka na nieznośną nudę i samotność, wścieka się, że musi zarabiac pieniądze, by przeżyć, że musi być tam, gdzie może, a nie gdzie chce; nie ma żadnych ideałów ani celów”. „Jest wiecznie

*Ideologia buntu w sztuce,
niezakorzenienia, które
jakoby mają być
warunkiem sztuki,
to śmieci. Do znudzenia
eksploatowana przez
ostatnie trzy czwarte wieku
mitologia Drogi ukrywa
wypływający z niedojrzałości
przymus ucieczki przed
odpowiedzialnością i nie
ma w sobie nic z wolności*

zmęczony, ale i niespokojny, organizuje nowe ryzykowne karawany, szuka współników, handluje z możliwymi tej części świata. Narzeka na osamotnienie, żałuje, że się nigdy nie ożenił”. Z rozproszonych notatek i listów „wylania się bardzo smutny obraz nadludzko cierpiącego człowieka (amputowana noga, przerzuty w rękach i głowie, nieznośne bóle i niezdolność poruszania się), który jednak do ostatniej chwili ludzi się, że wyzdrowieje, zamawia drogą protezę (a tymczasem w kikucie rośnie nowy ogromny guz), wierzy, że



ROBERT TEKIELI

choć kaleka, wróci do Hararu w Abisynii i rozkręci nowe niekończące się podróże”.

Biedny, niekochany chłopak, szukający ojca w przygodnych relacjach seksualnych, szukający matczynego ciepła, bo nie dostał go od matki; uciekający przed konsekwencjami własnego wewnętrznego chaosu. Genialny, nieszczęśliwy człowiek, który zabił swój wielki talent. Nie zrobił z siebie wieszcz, czerpiąc „wszelkie trucizny” z cierpienia i szaleństwa. Jego nazwisko stało się za to symbolem obyczajowego buntu, przekraczania granic, łamania tabu z wszystkimi tego konsekwencjami. „Rozszerzanie barier poznania zmysłowego” prowadzi do duchowego zniewolenia, nie do artystycznych wzlotów.

Sztuka jest bezwzględna suką. Nie ma znaczenia podział na buntowników i klasyków. Ba, nie istnieje podział na autorów i autorki. Istnieje tylko hierarchia. Wiersze opętanej Emily Dickinson w niczym nie ustępują poezji Rimbauta. Literatura nie uznaje ideologicznych protez. Czy Rembrandt się buntował? Może Gaudi? Kochanowski? Fra Angelico? Liczy się tylko wysokość lotu.

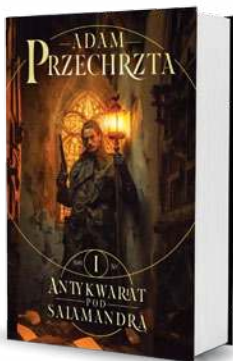
Ideologia buntu w sztuce, niezakorzenienia, które jakoby mają być warunkiem sztuki, to śmieci. Do znudzenia eksploatowana przez ostatnie trzy czwarte wieku mitologia Drogi ukrywa wypływający z niedojrzałości przymus ucieczki przed odpowiedzialnością i nie ma w sobie nic z wolności. A to, co 100 lat temu było artystycznym ekscysem, dziś formuje nasze dzieci. Popkultura stała się komercyjną karykaturą kultury przekroczeń. Jesteś tym, czym oddychasz. Oby uciekający przed sobą znaleźli ukojenie. 



WOJNA CYWILIZACJI

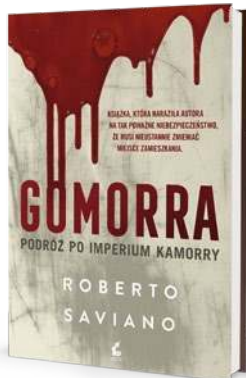
POPKULTURA

Może być „Antykwarjat pod Salamandrą” Adama Przechrztę to pierwsza część cyklu „Monsiur Magicus”, czyli „Magiczna Zielona Góra”. Osadzenie fabuły powieści w tym nieogranym jeszcze literacko a uroczym mieście to dobry, świeży pomysł. Jednak od autora „Demonów Leningradu” spodziewałem się więcej. Już jego „alchemiczny” cykl tracił gęstość, która zachwycała w serii o Razumowskim, a teraz dostaliśmy właściwie powieść fantasy dla młodzieży. Sprawy są wykładane na ławę, akcja toczy się jednym nurtem, jak w „Tomku na wojennej ścieżce”. Postać głównego bohatera nie zaciekawia, a uniwersum, w którym trwa wojna magów, nie jest w stanie wzbudzić fascynacji. Nie iskrzy również na styku świata magicznego ze światem mugoli. A owa „magiczność” jest po części papierowa, nie budzi niepokoju, co udaje się niektórym autorom fantasy, którzy dużo wiedzą o regułach rządzących światem okultyzmu. Rzecz nie jest zła, raczej przeciętna, ale może cykl jeszcze się rozkręci.



POPKULTURA

Warte Powoli zbliżają się wakacje. Klasyfikacje w liceach już za trzy tygodnie, więc dla uspokojenia nerwów sięgnąłem do klasyki. I zawiodłem się w trakcie powtórnej lektury dwóch powieści Johna le Carré – dotyczącego tematyki końca zimnej wojny „Nocnego recepcjonisty” oraz zbyt literackiego „Krawca z Panamy”, ale trzecie sięgnięcie na głęboką półkę okazało się strzałem w dziesiątkę. „Gomorra – podróż po imperium kamorry” Roberta Saviano dalej poraża swą reportażową gęstością. Opis degradacji Neapolu pod rządami zorganizowanej siatki przestępczej, która okazała się dalece bardziej bezwzględna i wpływowa od sycylijskiej mafii, ma swoją siłę, a dziś ina-



czej niż w chwili premiery „Gomorri” w 2006 r. oceniamy opisywaną tu językiem konkretnie ingerencję Chin w sprawy europejskie. Neapol, otwarte na oścież drzwi do serca Europy, których wcale nie muszą wyważać pekińczy totalitaryści. Marksizm i przestępczość zawsze się przenikały.

Warte „Krucjata. Prawo serii”, napisany przez Wojciecha Tomczyka serial kryminalny TVP sprzed dwóch lat, stał się dziś hitem Netfliksa. Mocno mnie to dziwiło podczas oglądania kolejnych odcinków i dopiero w trakcie siódmego intryga została zapętlona tak, że byłem w stanie zapomnieć o odstręczających mnie wcześniej naiwnościach. O formułowanych na serio przez policjantów zarzutach opartych o jeden fakt albo wręcz przypuszczenie czy o lekceważeniu realiów i logiki, np. bandyci strzelają do policjantów z długiej broni, uciekają, a nikt ich nie ściga, nie ma obławy.

Każdy odcinek „Krucjaty” to nowe zabójstwo czy porwanie. Ginią ludzie z pierwszych stron gazet. Znana dziennikarka telewizyjna – sadomasochistka, bankier, juror talent show, polityk transwestyta. Przestępcę/przestępców (?) ściga doświadczony zespół z Wydziału Zabójstw i Terroru Kryminalnego Komendy Stołecznej Policji. Przestępstwa powoli układają się w odkrywany wzór.

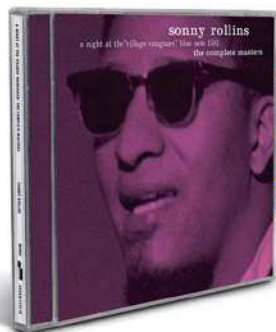
Świetny jest centralny duet aktorski. Julian Świeżewski i Tomasz Schuchardt stworzyli postaci, którym wierzymy i którym kibicujemy. W ogóle dobrze została dobrana mieszanka nowych i sprawdzonych twarzy. Wybitną zaś kreację stworzył Paweł Tomaszewski. Wychowanemu na Zapasiewicz, Walczewskim, Wilhelmim trudno jest mi dziś znaleźć jakiegokolwiek aktora, który mógłby zbliżyć się do ich dokonań. Tomaszewski zaskoczył mnie bardzo pozytywnie.

W finale serialu truskawką na torcie jest przenikliwe spojrzenie na mechanizmy rządzące naszą rzeczywistością po 1989 r. Jak potężną władzę utrzymał konglomerat biznesowo-przestępczy animowany przez ludzi komunistycznych i postkomunistycznych służb? Jak bardzo zinfiltrowane są dzisiejsze służby w kraju, gdzie miliarder z dziesiątki najbogatszych Polaków jest słupem? Czy każdego da się kupić, czy polskie państwo jest warte ryzykowania życia dla jego powagi, co tak naprawdę ostatecznie rządzi światem: siła czy wartości?

Robert Tekieli, Polskie Radio

Fot. Archiwum TVP, materiały prasowe

Sonny Rollins,
„A Night at the
Village Vanguard:
The Complete
Masters”, Blue Note
Records 2024



Noc w nowojorskim klubie

W latach powojennych Harlem był sceną jazzowej rewolucji zwanej bebopem. Eksperymentowano z harmoniami ze współczesnej muzyki symfonicznej i mocnym rytmem.

3 listopada 1957 r. dwa tria pod wodzą saksofonisty tenorowego Sonny'ego Rollinsa dały trzy pełne pasje sety koncertowe w kameralnym nowojorskim klubie Village Vanguard. Po jednym po południu, wieczorem i w nocy. Wszystkie zostały zarejestrowane przez Rudy'ego Van Geldera, a rok potem ukazały się w okrojonej wersji, zdobywając jednak wielki rozgłos. Nieżyjący już Van Gelder jest odpowiedzialny za ukształtowanie brzmienia jazzu. Ustawiał mikrofony w taki sposób, by uchwycić dźwięk bezpośrednio, z instynktownym realizmem, przenosząc słuchacza gdzieś obok grających muzyków. Tak jest również w tym przypadku. W 1976 r. odnaleziono resztę taśm, w latach 80. i 90. zostały one zrekonstruowane, a teraz słuchacze otrzymują kompletną, audiofilską winylową edycję tego jednego z najwspanialszych albumów jazzowych w historii.

Walter Theodore „Sonny” Rollins został na nim uchwycony w jednym z najlepszych momentów swojej kariery. Żartobliwy i żywiołowy innowator, zachowujący harmoniczną swobodę w improwizacjach znanych melodii („Old Devil Moon”, „A Night In Tunisia”), często daleko odchodząc od oryginałów, którymi się jednak swobodnie bawi, zachowując ich pełną integralność. Zasłynął bowiem z umiejętności tchnięcia nowego życia w popularne piosenki. Te nagrania definiują też nowy, bardzo oszczędny styl, w którym brak fortepianu, przez co niemal cały ciężar gry spoczywa na saksofonie wspieranym nienachalnymi, asertywnymi sekcjami rytmicznymi. Po południu zagrał bowiem z Donaldem Bailey'em i Pete'em La Rocą, a wieczorem z basistą Wilburem Ware i perkusistą Elvinem Jonesem, których uznawał za najlepszych, z jakimi wówczas przyszło mu występować.

Trudno nie wspomnieć o polityce. Rok później Rollins nagrał „Freedom Suite”, swego rodzaju muzyczny manifest przeciw rasizmowi. W młodości otarł się o środowiska komunistyczne, bo jego babka znajdowała się pod wpływem ideologa czarnego nacjonalizmu Marcusa Garveya. Wygrała muzyka, gdyż od dziecka potrafił grać po 10 godzin dziennie, najpierw w szafie, a potem na moście, wyrastając na jednego z najsłynniejszych saksofonistów jazzowych w dziejach.

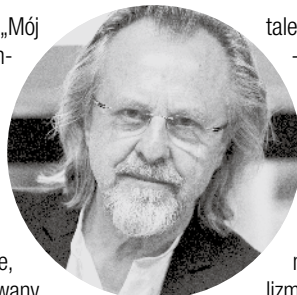


Maciej Walaszczyk

I nicjały A.P. to skrót od „Andrzej Paweł”, którym podpisywał swoje zeszyty w szkole. Był absolwentem prawa, chciał zostać dyplomatą, a w końcu śladem dziadka skrzypka został muzykiem. Pochodził z Konina, gdzie w latach 70. założył swój pierwszy zespół, komponując muzykę dla szkolnego teatru. Podobno przychody z jego pierwszych tantiem były przekazywane przez ZAiKS na konto artysty kabaretowego Jana Kaczmarka.

Znakomicie operujący nastojem i melodią, skomponował muzykę do 70 filmów, takich jak „Plac Waszyngtona”, „Mój przyjaciel Hachiko” czy „Paweł, Apostoł Chrystusa”. Najśłynniejszą jest oczywiście nagrodzona Oscarem (2005) i Złotym Globem (2004) ścieżka dźwiękowa do „Marzyciela” Marka Forstera. Kameralna, oszczędna, rozpisana przede wszystkim na fortepian, na którym gra Leszek Możdżer, pozostaje dowodem jego niewątpliwego talentu. Samodzielnie wyreżyserował trzy spektakle multimedialne, m.in. „Czekając na kometę Halleya”. Grał na fidoli Fischera, 80-strunowej cytrze, na bazie której został skonstruowany niewkacz – zaprojektowany przez kompozytora i wykonany w latach 80. przez poznańskich lutników Stefana i Jakuba Niewczyków. Już wtedy miał na koncie współpracę z Teatrem

Marzyciel, muzyk i menedżer **Jan A.P. Kaczmarek** (1953–2024)



Laboratorium Jerzego Grotowskiego, Teatrem Ósmego Dnia, gdzie stworzył własną Orkiestrę Ósmego Dnia.

Od 1989 r. mieszkał w Stanach Zjednoczonych. Poza muzyką filmową podejmował się również tworzenia muzyki z okazji ważnych rocznic, m.in. 100-lecia powstań śląskich („Rapsodia Śląska”), utworów upamiętniających wydarzenia poznańskiego Czerwca 1956 czy jubileuszu 25-lecia NSZZ „Solidarność” („Kantata dla wolności”), a nawet obrad okrągłego stołu. Zrecznie łączył bowiem talent kompozytora i menedżera. I tutaj zabawna dziś historia – w 2011 r. podjął się skomponowania „Fanfary dla A2”, uświetniającej otwarcie odcinka autostrady Nowy Tomyśl–Świecko, któremu przysłuchiwała się śmietanka naszych ówczesnych melomanów: Bronisław Komorowski, Lech Wałęsa, Aleksander Kwaśniewski, Jan Kulczyk czy Sławomir Nowak. Motyw jego pomysłu ilustrował też spot ORLENU „Razem napędzamy Polskę” z 2018 r. Jan A.P. Kaczmarek potrafił zachować jednak niezależny osąd na temat zjawisk politycznych, m.in. neoliberalizm uważał za plagę, która wypaczyła sens demokracji.

Jego życie przerwała ciężka choroba. Polska straciła wybitnego kompozytora i swojego reprezentanta na świecie.

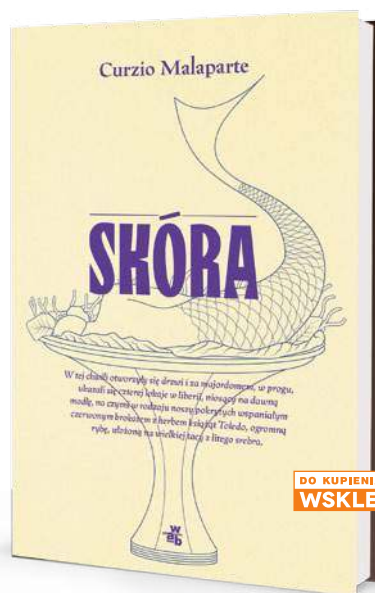
Dantejska „Skóra”

Malaparte oprowadza po Neapolu niczym Dante po piekielnych kręgach – po świecie ludzi upodlonych, po „końcu historii”, gdzie bezsilna ludzkość jest świadkiem konsekwencji własnej autodestrukcji

To opowieść o tym, co działo się w Neapolu wyzwolonym przez wojska amerykańskie i brytyjskie w 1943 r. A raczej „zwycięstwie cudzoziemców nad cudzoziemską armią” na tle brudu, nędzy i chaosu wojny, renesansowo-barokowych dekoracji oraz homeryckich pejzaży „Iliady”. Curzio Malaparte był włoskim dziennikarzem, a w tym konkretnym momencie oficerem łącznikowym przy naczelnym dowództwie Stanów Zjednoczonych we Włoszech. Swoją fabularyzowaną opowieść oparł na własnych obserwacjach. Niczym Dante oprowadza czytającego po kolejnych piekielnych kręgach Neapolu, którego mieszkańcy bez względu na status społeczny stali się dla aliantów „niewygodnymi świadkami ich własnego zwycięstwa”. W miejscu dialogów z Wergiliuszem toczy swoje rozmowy z Jackiem, a czasem Jimmym.

Choć z powodu faszystowskiej przeszłości Gustaw Herling-Grudziński nie miał sympatii do autora, który napisał wojenne reportaże z tomu „Kaputt”, a także „Technika zamachu stanu”, za którą został uwięziony przez Mussoliniego, to po latach w „Dzienniku pisanym nocą” potwierdzał jego relację. Ci, którzy wsadzali do więzienia na rozkaz Mussoliniego, z dnia nadzień robią to w imieniu Roosevelta, Churchilla i Stalina. Jeszcze wczoraj w imię „tyranii”, dziś w imię „wolności”. Wyzwoliciele okazują się parweniuszami o kiepskich manierach i gustach, na których z zażenowaniem spogląda służba w pałacu księcia Toledo, podając podsmażaną wieprzowinę z puszki na porcelanie Capodimonte, zrabowanej z jednego z neapolitańskich pałaców.

Dla zwycięzców Europa ze swymi katedrami, muzyką, muzeami, bibliotekami, poematami, zwycięskimi lub przegranymi wojnami, wykształcona, wyrafinowana, dowcipna była niepokojąca i niepojęta, wywoływała zazdrość, niechęć i niezrozumienie. Neapol, dumna i wspaniała stolica starego Królestwa Obojga Sycylii, zdaje się być wręcz osaczony przez zastępy homoseksualistów z całego świata, którzy postanowili zamienić pierwszy skrawek wyzwolonej Europy w „metropolię homoseksualizmu”. „Bitwa pod Cassino zaostrzała się, kolumny rannych wracały na



Curzio Malaparte, „Skóra”,
W.A.B. 2024

noszach w kierunku Via Appia, dwadzieścia cztery godziny na dobę bataliony czarnych kopaczy drążyły groby na wojennych cmentarzach, a na ulicach Neapolu wdzięczne zastępy Narcyzów spacerowały, kołysząc się na boki i oglądając się łakomie za ładnymi żołnierzami amerykańskimi i angielskimi o krzepkich barkach i różowych policzkach”. Młoda inteligencja nie tylko szuka wrażeń w seksualnych perwersjach, dzieli odtąd świat, kulturę, politykę na tę faszystowską lub komunistyczną. Dekadencjizm, „burżuazyjnych” estetów zastępuje więc – jak pisze Malaparte – marksistowska pederastia, „zapowiadając wielką rewolucję współczesności, przygotowaniem tragedii Europy”. Z historycznej sceny schodzi definitywnie świat arystokracji, wolnościowe ideały zastępuje pożądanie, rygory moralne – odmowa jakiegokolwiek odpowiedzialności, poczucie społecznego i politycznego obowiązku

– puste intelektualne ćwiczenia. „Być może jesteśmy kurwami, pedalami i czymś jeszcze gorszym [...]”. Chcemy być wolni: to wszystko” – wyjaśnia jeden z nich. Dominuje surowy realizm opisu. Widzimy kobiety sprzedające się za paczkę papierosów, za które można kupić trzy bochenki chleba, obraz dziecięcych targów u stóp pałaców Monte di Dio i Chiaramonte, na których pośród małych niewolników marokańscy żołnierze szukają odpowiedniego „towaru”.

Natykamy się też na kilka poloników: żołnierzy 2. Korpusu Polskiego, ks. Lubomirskiego – adiutanta gen. Andersa czy ppłk. Michałowskiego – podobnie jak Malaparte pełniącego wtedy rolę oficera łącznikowego przy US Army, a w tle słyszymy pełen chopinowskich motywów Warsaw Concerto Addinsellego. Znajdujemy też realistyczny opis bombardowania Hamburga przez alianckie lotnictwo i piekielną udrękę ludzi próbujących uchronić skórę od zetknięcia z fosforem i tlenem. Bo dla ratowania własnej skóry człowiek zrobi wszystko – „to wielka przemiana, jaka zaszła w XX w.” – zauważa Malaparte. Kiedyś cierpiano, by uratować swą duszę, dzisiaj dokonuje rzeczy wspaniałych, ale i strasznych, by tylko ocalić własną skórę. To współczesna cywilizacja wyzuta z Boga. „Nic się dziś nie liczy oprócz skóry”.

JAROSŁAW NOWAK

ANTROPOLOG, WSPÓŁTWÓRCA PROGRAMU „ZABÓJCZE POTRAWY”

Ekstremalna podróż po różnorodności świata

Pudding z wieprzowej krwi, gotowana ropucha czy jajko z kilkunastodniowym zarodkiem pisklęcia. A także dania z kota i koby, która chwilę wcześniej szkywała się do ataku. Do tego potrawka z pościętego w paski byczego jądra. To w Wietnamie.

W Laosie przychodzi czas sprawdzenia – na własnych kubkach smakowych i odruchach ciała – głównych założeń kuchni laotańskiej: wszystko, co zawiera białko i witaminy, ląduje na talerzu. Na stół trafia więc m.in. toksyczna skolopendra (tak przesiąknięta trucizną, że smakująca niczym antybiotyk), robaki wodne, pieczone nietoperze i kwaskowate larwy czerwonych mrówek. Przede wszystkim trzeba się jednak zmierzyć z najbardziej ekstremalnymi kulinarnymi doświadczeniami i traumami. Dla Jarosława Nowaka to rytuał, podczas którego zjada się kożę w całości, łącznie z jej wnętrznościami, czyli jelitami (cienkim i grubym wraz z zawartością).

Kambodża przestaje szokować smażonymi szczurami i tarantulami, a także pieczonymi konikami polnymi i grillowanymi plastrami miodu z larwami pszczoł. W kraju, który w latach 80. XX w. doświadczył terroru i ludobójstwa, przychodzi refleksja, że wielki głód jest w stanie zweryfikować niemal każdą zasadę kulinarną, zastępując ją jedną: jeśli coś żyje i się rusza, można to zjeść. Potwierdza to przed kamerami antropolog i podróżnik otwarty na najbardziej szokujące kulinarne doświadczenia.

Efektem najnowszej podróży Jarosława Nowaka przez Półwysep Indo-



chiński jest trzygodzinny program „Zabójcze potrawy”, który można oglądać na kanale Zoom TV (emisja premierowych części co sobotę po 22.00, ale są też powtórki).

– Każdy kęs Jarka jest nie tylko podróżą przez ogrom osobliwych smaków, lecz także stanowi klucz do poznania historii, tradycji i dziedzictwa społeczności, które stoją za tymi ekstremalnymi doznaniem kulinarnymi – zapewniają przedstawiciele nadawcy, który zdecydował się pokazać telewizjom „Zabójcze potrawy”.

Tymczasem sam bohater i współtwórca programu – przedstawiany jako „antropolog i obieżyświat, dla którego Azja jest drugim domem”; podróżnik, który pół roku spędził z Papuasami w Nowej Gwinei, przejechał Tajlandię na motocyklu, mies-

kał z buddyjskimi mnichami czy wędrował po górach Bhutanu, Nepalu i Indii – podkreśla, że „Zabójcze potrawy” to przede wszystkim „podróż po różnorodności świata”. Otwierająca oczy i umysł na zróżnicowanie kulinarnych tradycji różnych zakątków globu.

To również podróż uświadamiająca, że całkiem blisko – geograficznie i historycznie – moglibyśmy natrafić na szokujące (z dzisiejszej perspektywy) kulinarne praktyki. Wystarczy wspomnieć wielki głód na Ukrainie w latach 1932–1933, doświadczenie syberyjskich wywoźek czy wojennej okupacji. A powszechne w Polsce jeszcze 100 lat temu nie tylko kulinarne tradycje, kazały wykorzystywać każdą część ubijanych zwierząt.

Zresztą także niektóre współcześnie serwowane w naszym rejonie potrawy – choćby flaki (nie wspominając o czerninie) czy pocziwa kaszanka w parze z kiszonymi ogórkami – u innych nacji mogłyby wywoływać kulinarne dylematy.

– Zawsze byłem otwarty na inne kultury – podkreśla Jarosław Nowak. – Odkąd pamiętam, poszukiwałem odpowiedzi na pytanie, jak jest tam dalej, za krawędzią mappa mundi [w dosłownym tłumaczeniu płótna świata, najwcześniejszej, średniowiecznej mapy – przyp. red.]. Wciąż poszukuję, chcę się dowiedzieć. Dlatego zostałem antropologiem – wydaje mi się, że podróżowanie, w które wpisane jest poznawanie inności, nie tylko przybliża nas do odległych miejsc i ludzi, lecz także daje odpowiedzi na bliskie nam pytania.

Jolanta Gajda-Zadworna



SŁODKO-SŁONY

W kozim żołądku

ANNA MONICKA

Uwielbiam podróżować i zawsze staram się wybierać miejsca, w których mogę poznać jakieś ciekawe smaki. Cenię naszą tradycyjną kuchnię, w końcu na niej wyrosłam, ale mam z nią do czynienia zazwyczaj w czasie rodzinnych imprez u moich rodziców lub sióstr. Zdecydowanie bardziej ciągnie mnie w stronę dań śródziemnomorskich. W tamtych rejonach królują świeże warzywa i zioła, ryby, pachnąca oliwa, którą można jeść po prostu z pieczywem, oliwki i rewelacyjne sery. Gdy zdarza się, że wyruszam do Włoch, Grecji czy Turcji, najchętniej żywię się w małych tawernach, bo fascynuje mnie prostota i świeżość dań, które smakują genialnie, chociaż perfekcyjną kompozycję tworzy kilka zaledwie składników.

Zwożę więc do domu głównie przyprawy i staram się odtworzać potem we własnej kuchni potrawy, które wpadły mi w oko. Gdy spaceruję po mieście, nigdy nie omijam pojawiających się w różnych nieoczekiwanych miejscach włoskich, arabskich, hinduskich czy tureckich delikatesów, w których mogę kupić świeże oliwki, octy balsamiczne i sery. Ostatnio w pobliżu Ogrodu Saskiego odkryłam taki cudny sklep – delikatesy mięsne i orientalne. Chociaż sama unikam mięsa, machający nożem rzeźnik zrobił na mnie wrażenie nie mniejsze niż asortyment: świeżutka jagnięcina, baranina, koźlecina, przygotowane na miejscu kielbaski, szaszłyki – i całkiem spora kolejka zagranicznych klientów.

Skręciłam w stronę chłodziarki z serami i jogurtami. Labneh i feta natychmiast wylądowały w moim koszyku, ale zwróciłam też uwagę na tulum peyniri, rzadko u nas spotykany ziarnisty kruchy ser, który nabiera mocy zaszyty w koziej skórce, a konkretnie żołądku. Może być owczy, kozi lub krowi – ten ostatni jest najdelikatniejszy w smaku. Wybrałam właśnie taki, żeby zbyt wyrazisty aromat nie odstraszył mi dziecka od tej nowinki kulinarnej. Ubity w słoju z ziarenkami czarnuszki ścina się nożem cienkimi plasterkami. Najlepiej smakuje, gdy posypiemy nim surówki z rzymskiej sałaty z pomidorami, kaparami, zielonym ogórkiem i kalarepką, ale idealnie sprawdzi się też w risotto czy jako posypka na wierzchu dyniowej zupy kremu albo białego chłodnika z ogórkami i miętą. Nada wspaniałego aromatu grillowanej cukinii czy rybie. Jest idealny na upalne dni.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Tarło karpia

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Kilka dni temu miałem okazję obserwować w Wiśle tarło karpia. Z płytkiej, przybrzeżnej, zmaczonej wody co chwilę wylaniał się grzbiet okazałej ryby z charakterystyczną długą płetwą grzbietową. Czasem zdarza się, że karpie podczas tarła wyskakują z wody; te nie skakały, ale widowisko i tak było spektakularne, tym bardziej że rozgrywało się tuż przy brzegu, pomiędzy zacumowanymi barkami. Karpie musiały mieć dobrze ponad pół metra długości. Gęsto ułożone duże łuski o barwie ciemnego złota wyglądały jak u formy dzikiej. Całości dodawała uroku zanurzona wodna roślinność.

Wbrew pozorom tarło karpia w naszych wodach nie jest czymś oczywistym. Po pierwsze, woda często jest zbyt zimna, co może zniechęcić ryby do rozrodu (ciepła woda jest też potrzebna do rozwoju ikry). Po drugie, karpie nie są naszymi rodzimymi rybami. Wywodzą się prawdopodobnie ze zlewiska Morza Czarnego. Do Polski trafiły przypuszczalnie z cystersami w XIII w.

W naszych wodach karpie, wspomagane zresztą hodowlami i zarybieniami, przyjęły się bardzo dobrze. Co ważne, przez tyle wieków ich obecności trudno wskazać jakieś negatywne oddziaływanie tego jednak obcego naszemu ekosystemowi gatunku.

Przykład karpia pokazuje, jak złożone bywają kwestie ochrony przyrody. W swoim pierwotnym środowisku dzikie karpie nazywane sazanami (pełnołuskie i wydłużone, tak jak opisane karpie z Wisły) są zagrożone. Jest ich mało, środowisko jest poddawane silnej presji, w dodatku krzyżują się z odmianami hodowlanymi.

U nas karp przyjął się, nie powodując, jak wspomniano, szkód. Stawy karpiove wpisały się w krajobraz, a istniejąc od wieków, stały się oazami dzikiej przyrody, obfitującymi w płazy, małże i rzadkie gatunki ptaków. Są jednak kraje, w których sytuacja wygląda inaczej, w związku z czym karp znajduje się na światowej liście 100 najniebezpieczniejszych gatunków inwazyjnych.

W tym katalogu znajduje się także jeleń szlachetny, ozdoba polskich lasów, a zarazem niszczytel w lasach południowoamerykańskich. Z kolei wawrzynek wilczczyko, wywodzący się z Europy, u nas rzadki, chroniony i hołubiony przez przyrodników, w USA jest uznawany za roślinę inwazyjną – tak jak u nas nawłóć kanadyjska, zagłuszająca nadrzeczne łąki.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Skojarzenia

Trudno uciec od skojarzeń związanych z wojną, niemiecką okupacją, gdy miało się ojca więźnia KL Sachsenhausen-Oranienburg i matkę zesłaną w wieku 18 lat na roboty do niemieckiego rzeźnika w Malborku. Ich opowieści wryły się w moją pamięć na stałe. To od nich się dowiedziałem, że rodzice mogli wziąć ślub dopiero po wojnie w 1945 r., gdyż Polaków pod okupacją niemiecką obowiązywał zakaz zawierania małżeństw, dla kobiet do 25. roku życia, dla mężczyzn do 28. roku życia. Polityka Niemców wobec Polaków miała doprowadzić do całkowitego biologicznego wyniszczenia. Niemieccy ideolodzy i propagandyści przestrzegali naród niemiecki przed zbytnim rozwojem biologicznym polskiej ludności, która według ich obliczeń w 1960 r. miała liczyć nawet 60 mln. W 1942 r. jeden z volksprädigerów (kaznodziejów ludowych) na lotnisku we Lwowie ostrzegał lotników i żołnierzy Wehrmachtu przed narodem polskim, gdyż „cehuje go niezwykła inteligencja i młodość”. Niemkom zakazano aborcji, którą uznano za zbrodnię przeciwko państwu. Od 1943 r. kobiecie przylapanej na aborcji groziła kara śmierci, jednocześnie aborcja eugeniczna była, jak w Rosji za Stalina, legalna już od 1933 r. Kiedy jednak na aborcję zdecydowała się Polka, niemiecki szpital przyjmował ją bez kolejki i nie kazał płacić. Niech te fakty wezmą sobie do serca współczesne polskie proaborcjonistki.

Według niemieckich planów czasu wojny polska ludność miała służyć wyłącznie gospodarce niemieckiej, ale tylko do pewnego czasu. Po zwycięstwie nad Rosją wszystkich Polaków, tych którzy jeszcze ocalili, planowano przesiedlić za Ural.

Kiedy czytam o latach okupacji, że ówczesny system rządzenia nie uznawał żadnego innego dobra społecznego, gdyż wysuwał na pierwsze miejsce jedynie dobro narodu niemieckiego, albo gdy czytam, że całe ówczesne sądownictwo poddano nadzorowi władzy administracyjnej, albo gdy dowiaduję się, że jednostka nie miała żadnych praw, a jedynie obowiązek wykonywania rozporządzeń i nказów władzy, mam niestety skojarzenia z obecną Unią Europejską. Podobne pojawiły się tuż po 13 grudnia 2023 r., gdy do władzy doszła ekipa Donalda Tuska, postępująca niezgodnie z prawem, wbrew interesowi społecznemu, stosując siłę fizyczną zamiast siły argumentów. To dlatego dwa tygodnie temu pisałem, że dyskusje o możliwości kontynuacji budowy CPK

są mało produktywne, gdyż Tusk realizuje przede wszystkim politykę niemiecką, a ta zakazuje mu wszelkich inwestycji w Polsce. W tym sensie jest jakimś gauleiterem, a jego ministrowie podlegają bezpośrednio centralnym władzom partyjnym, które jednoosobowo uosabia Tusk. Nie dziwi zatem deklaracja nowej minister kultury Hanny Wróblewskiej: „W sprawie mediów publicznych podstawowy komunikat jest taki, że się nie zatrzymamy, idziemy ścieżką wyznaczoną przez ministra Sienkiewicza”. I dalej: „Jeśli komuś się wydaje, że przyszła miła pani zamiast siepacza Sienkiewicza, jest w błędzie”. Ta pani bez żadnej żenady nazywa swojego poprzednika „siepaczem”. To zapowiedź kontynuacji linii bezprawia w kulturze, która zaistniała po 13 grudnia. Dla odwrócenia uwagi wspomina o jakichś „konsultacjach społecznych” w sprawie mediów i oczywiście podkreśla, że „kultura to coś, co łączy Polaków”. Zdanie jakby z dawnego kabaretu, w którym w roli mecenasa i animatora kultury wystąpił Janusz Gajos: „Kultura to jest takie coś... dla narodu... takie coś, co się w pale nie mieści”.

Gauleiter Tusk nie widzi potrzeby spotkania z rolnikami. Nazywa ich chuliganami, kpi z ich zdrowia. To oficjalna polityka UE, w której z rolnikami i ich związkami zawodowymi nikt nie rozmawia. Są przegrani jako zbyt mała grupa społeczna, a poza tym konserwatywna oraz finansowo i gospodarczo jeszcze niezależna od rządów. W ich miejsce ma wejść produkcja z Ameryki Południowej i Środkowej, Ukrainy oraz wielu innych krajów, z którymi Komisja Europejska podpisała już stosowne umowy. Po całkowitym zniszczeniu indywidualnego rolnictwa w Europie nikt już nie zaprotestuje przeciwko tzw. Zielonemu Ładowi.

Skojarzenia z okupacją to także odpowiedź polskich rolników z ZR „Orka” do Tuska. Rolnik czytający w Sejmie tekst w języku niemieckim wyjaśnił, że to dlatego, iż premier najwidoczniej nic nie rozumie po polsku.

Skojarzenia wprost to również scena z pamiętnego posiedzenia Sejmu z zaprzysiężenia rządu Tuska. Kiedy ten zadeedykował polityczne zwycięstwo swoim dwóm dziadkom, na mównicy pojawił się Jarosław Kaczyński: „Ja nie wiem, kim byli pańscy dziadkowie, ale wiem jedno – pan jest niemieckim agentem”. Jak dotąd premier nie zareagował żadną prawną formą protestu. Być może dlatego, że historia jego dziadka Józefa Tuska (działacza organizacji polonijnych w przedwojennym Gdańsku, zesłanego na roboty przymusowe, aresztowanego przez gestapo, więźnia KL Stutthof, w 1944 r. żołnierza Wehrmachtu, który po trzech miesiącach dołączył do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie) pełna jest zaskakujących zdarzeń, o czym można przeczytać w oficjalnym wydaniu Wikipedii, tekście jak dotąd nieskorygowanym przez wnuka Donalda.

www.wojciechreszczyński.pl



OGNIEM NA WPROST

Mr. Smith poszedł na wojnę



Andrzej Rafał Potocki

Anglik z Manchesteru Marcus Smith po wyłączeniu w Budapeszcie ruszył pieszo w stronę granicy z Ukrainą. Po 8 dniach, 6 godzinach, 36 minutach i 14 sekundach – jak podaje w komunikacie Okręgowa Komenda Uzupełnień na Zakarpaciu – trafił na miejsce i zaciągnął się do Sił Zbrojnych Ukrainy”. Skąd taka determinacja u Brytola, który w życiu nie był na Ukrainie? „Przez ostatnie kilka lat – wyjaśnia Smith – obrazki z wojny w waszym kraju są widoczne na ekranach telewizorów całego świata. Uważam, że zasługujecie na duży respekt i szacunek, ponieważ walczyście o pokój w waszym kraju. Przyjechałem tu, ponieważ chcę spróbować pomóc wam w tej wojnie. Niestety, Putin nie chce pokoju, a ja czuję, że nie będzie chciał poprzestać na Ukrainie. Będzie chciał więcej i więcej, a to może doprowadzić do III wojny światowej, w której będzie Hitlerem bis. Będzie podbijał kolejne kraje, mówiąc: »Chcę to, i to też! I to moje zasady!«. Właśnie dlatego przybyłem tu, żeby walczyć za Ukraińców. Mam nadzieję, że w ten sposób nie dopuszczę do wojny światowej”. Smith jest pilotem i brakuje mu tylko odpowiedniej maszyny, żeby skutecznie walczyć. Ale Zachód i Europa dalej boją się tzw. eskalacji konfliktu i nie chcą przekazać Ukrainie swoich F-16. Mr. Smith dał im przykład, jak to się robi.

dalekiego zasięgu, a także pocisków manewrujących lub balistycznych. Urlop może przysługiwać nie tylko jednej osobie – dowódca może go przyznać grupie (do trzech osób), która bezpośrednio się przyczyniła do zniszczenia kaczajskiego sprzętu i wozów bojowych. Natomiast za likwidację sztabu dywizji i wyżej proponuję trzy dni pobytu w Polsce. Skoro nasz rząd tak popiera Tryzubów, powinien zafundować bohaterom urlop w hotelu klasy Hilton z utrzymaniem i pełnym wyżywieniem oraz dodatkowymi atrakcjami wieczorem, jakie lubią żołnierze. Oplaci się.

Sytuacja pod Charkowem. Wygląda na to, że Moskal wybrał kierunek natarcia przez rejon Wołczańska. Zajęcie tego miasta otworzyłoby mu drogę na Kupjańsk i na południe wzdłuż Dońca. Jednak Wołczańsk jest daleki od zdobycia. Stanowi pierwszą poważną przeszkodę dla rosyjskiego natarcia. Przedzielony przez pół rzeką Wołczą, z ubogą siecią dróg i zaledwie trzema mostami, z czego jednym poważnym, wraz z sąsiednimi miejscowościami tworzący naturalny system fortów. Walki toczą się na ulicach, ale stabilną sytuację Moskale mają tylko na północnym skraju miasta, a ich granicą jest rzeka Wołcza. Na ich korzyść działają wzgórza na północ od Wołczańska i północnym brzegu Dońca, które opanowali. Do tej pory przejście 5 km od granicy zajęło Roskom pięć dni, czyli średnia prędkość natarcia wyniosła 1 km na dobę. Blitzkrieg po rusku. Czemu idzie im jak krew z nosa? Otóż Moskale atakują głównie pieszo, bez wsparcia pojazdów opancerzonych. Ze względu na ukształtowanie terenu, ale przede wszystkim z powodu masowego zniszczenia ich sprzętu zanim dojechał do linii granicy. Ukraińcy dokonali tego artylerią raketową średniego zasięgu, czyli z głębi swojego terytorium, ale dzięki naprowadzaniu dronami, jak i bezpośrednio pociskami Stugna i Javelin. Ogromną rolę odegrały też masowo użyte drony kamikadze, które latały tak gęsto, że Ruscy musieli się zatrzymać, żeby oczyścić teren z ukraińskich operatorów dronów (strzelając po wszystkim, jak leci). Moskal, owszem, wszedł na parę kilometrów, ale ugrzązł, bo ukraińska artyleria odcięła im logistykę. Wleźli i... zabrali się do rabowania! Oni są niereformowalni. Nawet nie potrafią bitwy dokończyć, zanim zaczną kraść.

Współpraca: „Skipper”

Ukraińska armia w ramach tzw. świadczeń socjalnych wprowadza nowe zasady przydzielania urlopu. I tak: jeden dzień wolnego będzie przysługiwał za zniszczenie lekkich dronów o małym zasięgu, natomiast za zniszczenie kołowego pojazdu opancerzonego lub ciężarówki, broni przeciwpancernej, sprzętu radiolokacyjnego, bezzałogowych systemów powietrznych średniego zasięgu oraz sprzętu elektronicznego wykorzystywanego przez grupy zwiadowcze dzielny wojak otrzyma dwa dni urlopu. Najbardziej punktowane, bo aż trzy dni wolnego, jest rozwalenie samobieżnej jednostki artyleryjskiej lub wieloprowadnicowego systemu raketowego, powietrznego pojazdu bojowego, transportera opancerzonego, pojazdu dowodzenia i kontroli, bojowego wozu piechoty lub systemu artyleryjskiego. Taka sama liczba dni „wolnych od pracy” będzie się należała za zniszczenie ciężkich bezzałogowych systemów powietrznych

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Syndrom Bucholza

Jest taka scena w „Ziemi obiecanej” Wajdy, gdy bezwzględny fabrykant Herman Bucholz (gra go Andrzej Szalawski) każe sobie czytać listy, w których skrzywdzeni przez niego ludzie wyzywają go od najgorszych. W miarę, jak słucha tych listów, staje się coraz bardziej rozbawiony, coraz bardziej zadowolony, a wręcz zachwycony. Czy z niczym się to państwu nie kojarzy? Bo mnie coraz bardziej z postawą Tuska.

Skupianie na sobie krytyki poprzez celowe podejmowanie niedorzecznych decyzji (choćby tylko personalnych, ale nie tylko), pełne agresji i ulepione z kłamstw przemowy, wypieranie się wcześniej wypowiedzianych tez jest jak prowokowanie do nienawiści, do krytyki, a także do rozpacz czy lęku. I Tusk zdaje się to uwielbiać. Kocha słuchać, że ludzie przezeń cierpią, że jest im źle. To go bawi i podnieca, nakręca do kolejnych prowokacji. W tym już dawno nie ma polityki, to już chyba tylko czysta psychiatria.

Premier mówi kłamstwami, ale nie zależy mu na tym, aby ludzie mu wierzyli, bo to – tak jak prawo i konstytucja – jest mu obojętne. Wystarczy, że będą słuchać i powtarzać to samo. Nie muszą wierzyć, mają powtarzać. Ma od tego swoich sługusów, którzy ze strachu o posadę powtórzą wszystko, co wódz każe im powtórzyć. Mało tego, będą powtarzać na wyścigi, kto piękniej, kto coś mocnego od siebie doda, kto z większym namaszczeniem powtórzy nazwisko premiera.

Ta choroba już dawno unieważniła nie tylko konstytucję, nie tylko wszelkie przepisy prawa, a nawet wszechobecne w normalnej polityce pozory – ta choroba unieważniła normalny ludzki wstyd, przyzwoitość i aksjomaty prawdy.

Kłamstwo, oszustwo, złe intencje są tkanką, z której jest ulepiony obecny premier. Gdyby je z niego usunąć, z Tuska zostałby tylko pukiel rudych włosów.

Pomału przyzwyczajamy się do nienormalności, a niektórzy zaczynają się w niej nawet wygodnie urządzać. Przyzwyczajamy się, że stracimy suwerenność, że władza będzie poza granicami Polski, że chory Zielony Ład zniszczy nasze rolnictwo i odbierze ludziom pracę, że auta trzeba będzie postawić na kółkach, że dzieci zamiast zadań domowych będą się gapić w smartfony. Normalność będzie tylko wspomnieniem, a z czasem zostanie zapomniana, uznana



**Aleksander
Nalaskowski**

*Im jesteśmy bardziej
zeterminowani,
im bardziej pokazujemy
niezadowolenie,
tym większą radość
sprawiamy Tuskowi*

za archaiczną. A pragnienie normalności za atawizm. Ale czemu się dziwić, jeśli „polskość to nienormalność”, jeśli prawo jest prawem tylko w wersji „jak my je rozumiemy”, jeśli zachowania i tyrady Tuska to fontanny laboratoryjnie wręcz nieskazitelnej nienawiści? Jeśli cierpienie, oburzenie, krzywda, lęki, a wreszcie lży bezsilności sprawiają mu niewysłowioną przyjemność, z której nie zamierza rezygnować?

Już wiemy, że nasze wielkie marsze, protesty rolników, listy otwarte, nasz cały bunt na nic się nie zdadzą. Im jesteśmy bardziej zeterminowani, im bardziej pokazujemy niezadowolenie, tym większą radość sprawiamy Tuskowi. Im więcej może nam pokazać pogardy,

tym chętniej ją pokazuje. W takich chwilach nawet najwytrwalsi wojownicy mają przebłysk myśli, że skoro to wszystko nic nie daje, to może trzeba stąd wyjechać? Ale wyjechać się nie da, bo ojcowizna, bo rodzina, bo tęsknota, bo procesje Bożego Ciała, całe nasze życie, które nie zmieści się w żadnym bagażniku.

Gdy już mnie zmęczyły i zbrzydziły wszelkie dysputy polityczne, komentatorzy, tępota polityków i jad wyzwick, co rusz rzucanych w przestrzeń społeczną, gdy życie publiczne stało się już nie do zniesienia i przestało rokować na jakkolwiek

poprawę, spakowałem walizkę, zatankowałem auto i zwiąłem tam, gdzie normalność jest normalna, gdzie cisza jest dojmująca, a spokój przeszywa zapomnianym dreszczem radości. Jest takie miejsce w Polsce i nie są to bieszczadzkie poloniny ani mazurskie jeziora czy puste plaże nad Bałtykiem. To miejsce, gdzie historia spleta warkocz z godnością, a tradycji i piękna strzeże Jan Długosz, Stanisław Wyspiański, Wincenty Pol, Ludwik Solski, Karol Szymanowski, Józef Ignacy Kraszewski, Teofil Lenartowicz, Adam Asnyk i inni. I nie przeszkadza mi w tym Żmudzin, który mówił o sobie, że jest Bałtem. To miejsce to rzecz jasna krakowska Skalka, ukochana paulińska Skalka, naznaczona męczeńską krwią św. Stanisława ze Szczepanowa i wielkością Polaków z krypty.

Wystarczy tam pojechać, posiedzieć kilka kwadransów w samotności i ciszy, a pomału wracają do łask pojęcia normalności, szlachetności i nade wszystko spokoju. Bardzo, bardzo polecam.

Michał Korsun prezentuje:
Czy Trzaskowski zmieni herb Warszawy?



Wycinki z przeszłości

Takim sympatycznym zdjęciem „Przyjaciółka” świętowała Dzień Dziecka w 1974 r. Wewnątrz numeru taki fragment: „Macierzyństwo niesie ze sobą wiele radości, ale są też momenty trudne i niewesołe. Niektóre Czytelniczki piszą nam o ironicznych uśmiechach koleżanek, które już jeżdżą syrenką czy fiatem – »a ty, zamiast używać życia, obwiesiłaś się dzieciakami«. Inne piszą o niechęci niektórych pracodawców do kobiet rodzących dzieci.

Więcej jest jednak – i to nas cieszy – listów od matek, które są szczęśliwe i cieszą się ze swego macierzyństwa. Z okazji Dnia Dziecka Waszym dzieciom – tym dorosłym i malutkim – życzymy dużo szczęścia. Wam zaś życzymy wiele radości i satysfakcji, jaką daje wychowanie dzieci na dobrych, uczciwych i pracowitych ludzi”.

Słowa aktualne, zatem z radością przedrukowujemy je 50 lat później.

(mk)



W drodze do likwidacji i delegalizacji demokracji

Wyobrażam sobie wniosek o delegalizację PiS” – ogłosił na antenie swojej telewizji rządowej pięciomiesięczny minister Borys Budka. Większość może nie kojarzyć resortu, którym kierował (aktywów państwowych), bo nie przysłużył się Polsce niczym szczególnie w tym czasie, chyba że za taką zasługę dla naszego kraju można uznać wyrzucenie ze spółek Skarbu Państwa menedżerów, którzy dbali o wzrost zysków swoich przedsiębiorstw i zastąpienie ich aparatchykami „uśmiechniętej koalicji”.

Budka mógł co prawda zapisać się na kartach historii jako polityk, który „dowiódł” obietnicę paliwa za 5,19 zł, ale przecież politycy PO już tłumaczyli, że „dwa razy obiecać, to jak raz dotrzymać”, a ogólnie „obietnice wyborcze wiążą tylko tych, którzy w nie wierzą”.

Wracając jednak do deklaracji Borysa Budki – ten ważny polityk Platformy odsłonił prawdziwe intencje swojej partii i cel komisji ds. wpływów rosyjskich. Chodzi w niej o to, żeby reseciarze mogli już ostatecznie domknąć system i zlikwidować największą partię demokratyczną w Polsce, jaką jest Prawo i Sprawiedliwość. Uśmiechacie się już?

Może się wydawać, że to wszystko jest jakąś groteskową farsą rodem z politycznego kabaretu, ale dla wielu obywateli i demokracji jako takiej ta rzeczywistość wcale nie jest śmieszna, a wręcz niebezpieczna. Kolejne komisje, zmieniające się jak w kalejdoskopie, mają też inny cel: przykryć brak wypełnienia obietnic, które zostały złożone w kampanii wyborczej i nie doczekały się realizacji.

Ogłoszone niedawno ściganie ruskich wpływów to nie tylko wyraz hipokryzji, bo przecież polowanie ogłosili ci sami, którzy chcieli się układać z Rosją „taką, jaka ona jest”, ale tworzenie krajobrazu politycznej dezorientacji. W tle tego chaosu prawdziwe problemy kraju pozostają nierozwiązane, a temat rosyjskich wpływów w Polsce i na Zachodzie ośmieszony.

A gdyby tak zamiast wniosków o delegalizację przeciwników rządzący zaczęli prowadzić odpowiedzialną, propolską politykę?



Samuel Pereira

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika			
CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przewoju w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZA

Ciekawostka socjologiczna

Słabości potrafią nas zwieść na manowce. Oto moje notatki z ich odwiedzin.

Mam słabość do amerykańskiego pisarza Raymonda Chandlera, który powieść kryminalną wzniosł na wyżyny sztuki. Najbardziej lubię jego książkę „Długie pożegnanie”, czytałem chyba ze trzy razy. Nie dziwota, że w księgarni, widząc na okładce tytuł „Krótkie pożegnanie” autorstwa nieznanego mi wcześniej Mariusza Czubaja, książkę kupuję. Tym bardziej że z tyłu okładki inny polski pisarz obiecuje: Czubaj „tym razem wziął na warsztat Chandlera”.

Powieść sensacyjna, współczesna, akcja toczy się w Polsce po wybuchu wojny na Ukrainie, kończy przed wyborami 15 października. Bohater to były glina, który rozwiązuje pewną sprawę. Książka jest napisana sprawnie, podczas lektury w pociągu można by przejechać swoją stacją.

A teraz na podstawie garści cytatów przedstawiam czytelnikom „Sieci” wgląd w Polskę, jaki oferuje powieść.

CYTATY

Najpierw jest nihilizm: „Kula ziemską staczała się po równi pochyłej i nie było dla niej ratunku. Czyli było całkiem normalnie. Bohater snuje namysł: I nie ma nic bardziej kłamliwego od prawdy. Bo to ona i jej ostateczność rodzi wszelkiej maści fanatyków, nawiedzonych psycholi lub przynajmniej odklejonych od świata mniej groźnych marzycieli”.

Bohater ma pragnienie: „Chciałbym dożyć roku dwa tysiące setnego, bo za osiemdziesiąt lat Polaków ma być mniej o dziesięć milionów i pragnąłbym chociaż jeden dzień żyć w takim luksusie”. Widać, że tu wylania się głębsza myśl – najlepiej jakby polskość zniknęła w ramach ewolucji.

A oto ilustracja zaburzenia świata przez polskość. Bohater spotyka znajomego, który idzie na pocztę: „Tam



Każdy kraj ma takiego Chandlera, na którego zasługuje

zawsze są kolejki – mówi. – I kupa tych świętych obrazków i kalendarzy. Więcej niż na Jasnej Górze. Księga wypieków siostry srazji-Anastazji. Człowiek idzie nakleić znaczek, a odruchowo klepie zdrowaśkę...”

Dotarłszy gdzieś na północne Mazowsze, słyszy: „Wcześniej nie było tu nic, a psy czekały wiadomo czym. To znaczy przed wojną był sztetl, który Niemcy zniszczyli, czego zaś oni nie zrobili, dokończyli nasi”.

Bohater pogłębia refleksję: „Za rok może być już po wszystkim, bo szalenieć ze Wschodu postanowi coś wystrzelić, a my poradzimy sobie z tym tak koncertowo jak pod Bydgoszczą. Takimi nieszczególnie interesującymi myślami zabijałem czas”. Właśnie!

Bohater przegląda wiadomości: „Awantura o zboże techniczne z Ukrainy... Co to jest zboże techniczne? Aha, takie, które nie nadaje się do jedzenia. U nas prawie wszystko jest techniczne. Nie nadaje się. Rząd jest techniczny. Policja jest techniczna. Wojsko. Szkoły i szpitale też. Może nawet ja jestem techniczny?”

Na wiadomość, że w policji jest dużo wakatów, reaguje: „Może powinniście zlikwidować garnizon pod willą na Żoliborzu?”

Wreszcie niechący autor/narrator odkrywa swe głębsze przeświadczenie, że nie wierzy w podmiotowość Polski: „Poza tym w naszej udręczonej ojczyźnie zbliżają się wybory. Za tydzień wszystko się rozstrzygnie. Politycy obiecują złote góry, a zewsząd syczy się jad. Tak wygląda szczękościsk po polsku i toczenie śliny. Nie bardzo jest gdzie przed tym uciec”.

Przecież jesteśmy zaściankowym krajem niezdolnym do bycia cywilizowanym państwem.

ODDAŁ DUCHA CZASÓW?

Gdybym chciał się utrzymać w poetyce oraz światopoglądzie prof. Czubaja – autor pracuje na Uniwersytecie SWPS – to bym napisał, że każdy kraj ma takiego Chandlera, na którego zasługuje. Ale, dalibóg, nie chodzi o żaden kraj, tylko o warszawkę. O warszawkowych pogubieńców. Na ile środowiskowo typowy jest głos pokolenia pogubionych z profesorem antropologii kulturowej na czele?

Wygląda jakby z bogactwa tysiącletniej historii niezwykłego kraju i narodu autor wyniósł jedynie umiejętność władania językiem polskim oraz pudło stereotypów, które w istocie są narzędziem różnych propagand z różnych czasów. Narzędziem nieraz obsługiwany z zewnątrz w celu rozpuszczenia Polski, jeszcze niedawno w masie sowieckiej, a teraz w supereuropejskiej.

Andrzej Zybertowicz

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

SALON

DZIENNIKARSKI

W POLSCE PL

SOBOTA 9:15

OGŁĄDAJ NAS 

NA POZYCJI
polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat **196**

NA POZYCJI
N E T I A **192**

NA POZYCJI
 **32**

NA POZYCJI
 **vectra** **825**

NA POZYCJACH
 **339** dekodery
dawniej UPC Mediabox

121 dekodery
KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

E-booki na długi weekend

**Już teraz sprawdź przepisy na dania z grilla
i zaplanuj wycieczki blisko natury**
– to wszystko znajdziesz w świetnych e-bookach Sieci Extra



Smaczne Wakacje. 60 przepisów na całe lato

Aż 60 przepisów na dania grillowane i zapiekane, warzywne i mięsne, ciepłe i na zimno. Tradycyjne receptury i potrawy w nowoczesnym wydaniu, które łączy jedno: wszystkie smakują znakomicie! Wystarczy kilka ciepłych wiosennych dni i można zaczynać wielkie grillowanie.



Wędrówki blisko natury. Wakacje z przyrodą

18 pasjonujących opowieści, dzięki którym dowiedzie się m.in.: jak obserwować przyrodę, jak ratować pisklęta i ranne ptaki, co potrafią pająki, jak korzystać z alpakoterapii, czy walenie to szpieczy Rosji, gdzie mieszkają nietoperze, które góry są nadal dzikie, gdzie można spotkać 100 tys. gęsi.

JAK ZDOBYĆ E-BOOKI NA DŁUGI WEEKEND?

**Wystarczy wykupić cyfrową prenumeratę
tygodnika Sieci już od 5,90 zł**

Zamów na:

siec.wpolityce.pl/oferta



Każdy nowy subskrybent znajdzie e-booki w zakładce Moje wydania/Sieci Extra